

W 1214 roku 27 lipca wypadła w niedzielę. Niedziela jest dniem Bożym i cała należy do Boga. Sam znałem jeszcze wieśniaków, którzy, zmuszeni złą pogodą, przystępowali do żniw w niedzielę z drzeniem serca; wyraźnie odczuwali wiszący nad nimi gniew niebios. W XIII wieku dobrzy parafianie czuli się tym gniewem o wiele bardziej zagrożeni. A kapłan zakazywał w tym dniu nie tylko pracy fizycznej. Próbował nakłonić owieczki, by nie dopuszczały się w czas niedzielny żadnej z trzech nieczystości: ani obrotu pieniądzem, ani zmysłowości, ani rozlewu krwi. Niedziela powinna pozostać nieskalana. Dlatego też w owych czasach nikt chętnie nie obracał pieniędzmi w niedzielę. Dlatego w niedzielę pobożni małżonkowie nie zbliżali się zbyt do żon, a pobożni wojowie starali się nie sięgać po miecze. A mimo to w niedzielę 27 lipca 1214 roku tysiące wojowników pogwałciło zakaz. W pobliżu mostu w Bouvines, we Flandrii, bili się z furją i zapałem, a na czele walczących stali król Niemiec i król Francji. Wyznaczeni przez Boga do czuwania nad ziemskim porządkiem, namaszczeni przez biskupów, a jako monarchowie, pełniący funkcję na poły duchowną, powinni przecież byli bardziej niż ktokolwiek inny przestrzegać nakazów Kościoła. A jednak odważyli się stanąć do boju właśnie w niedzielę i, zwoławszy towarzyszy broni, rozpocząć bitwę. Prawdziwą bitwę, nie drobną utarczkę. Co więcej, była to pierwsza od ponad stu lat bitwa, jaką król Francji ośmielał się wydać nieprzyjacielowi. A przecież zwycięstwo, którym Bóg obdarzył swych wybrańców, okazało się tak znakomite

jak żadne z tych, które pozostawały jeszcze w pamięci ludzkiej. Był to triumf godny Cezara bądź cesarza Karola, którego sławią pieśni. Z tej przyczyny na wpół zżęte pola w Bouvines posłużyły owego dnia za scenę wiekopomnym wydarzeniom. Wydarzenia są pianą historii, przypominają pękające na jej powierzchni większe lub mniejsze bańki, których rozpryskiwanie powoduje fale. Fala roznosi się raz bliżej, raz dalej. Zdarzenie, o które nam chodzi, pozostawiło bardzo trwałe ślady. Niektóre pozostały niezatarte aż po dzień dzisiejszy. Zdarzenie historyczne żyje tylko dzięki takim śladom. Bez nich jest niczym. O tych to właśnie śladach będzie więc mowa w niniejszej książce.

Istnieją dwa rodzaje śladów. Ślady pierwszego rodzaju, rozproszone, zmienne i niezliczone, istnieją w pamięci człowieka naszych czasów. Czasem wyraźne, czasem nie, mogą być trwałe lub ulotne. Pamięć o Bouvines nie przypadkiem przetrwała aż do dnia dzisiejszego, dołożono do tego rozlicznych starań. Pamiętam, na przykład, pewien obrazek z mojej pierwszej książki do historii. Przedstawiał on coś w rodzaju wielkiego skarabeusza, na wpół przywalonego leżącym koniem i zapalczywie wymachującego łapkami. Na pokrywach skrzydeł skarabeusza widniały wymalowane kwiaty lilii, a głowę jego chroniło stalowe pudło; ze wszystkich stron groźnie sterczały ku niemu rozmaite ostrza i haki. Wyjaśniono mi, że był to król Francji i że to on, mimo wszystko, miał zwyciężyć. Wszyscy Francuzi mojego pokolenia, a także ci, którzy chodzili do szkoły w okresie pierwszych czterdziestu lat XX wieku

i ostatnich dwudziestu pięciu lat wieku XIX, widzieli ten obrazek, gdy mieli osiem-dziesięć lat. Wcześniej słowo *Bouvines* rozbrzmiewało bez przerwy w kwadrach szwoleżerów, na postojach Wielkiej Armii; raz było godłem szwadronów, to znowu hasłem podawanym szeptem przy zmianie warty. Tak było z pokolenia na pokolenie. Nazwa zwycięstwa stała się nieodłączną częścią długiej litanii od Tolbiac do Marignano, litanii błagalnej, pochwalnej, litanii ku pokrzepieniu serc. Do dzisiaj nie zamiknęło echo tych patriotycznych fanfar. W okresie przygotowań do wydania serii historycznej o "trzydziestu dniach, które stworzyły Francję" i wśród których „niedziela w Bouvines” figuruje jako jedyne pomyślne wydarzenie wojskowe obok Poitiers, echo to brzmiało jeszcze żywiej. Warto by zrobić remanent śladów przetrwałych do naszych czasów, jakże trudnych do uchwycenia, lecz jakże istotnych dla zrozumienia zbiorczego obrazu przeszłości, warto byłoby zmierzyć na różnych poziomach kulturowych ich trwałość, wyrazistość i odniesienia uczuciowe. Takie badania stanowiłyby początek pasjonującego studium nad świadomością historii w społeczeństwie; niestety wymagałyby one użycia metod i instrumentów, które są mi nie znane. Jako historyka, obchodzą mnie tylko ślady pierwszego rodzaju, te, które zwiemy dokumentami.

One także są żywe i obecne. Ale żywe obecnością materialną, a więc dotykalną, możliwą do opisanie i do zmierzenia. Są one jednocześnie martwe: ślady te stanowią coś w rodzaju konglomeratu wspomnień. Są fundamentem, zniszczonym co prawda i popękanym,

zawalającym się i pokruszonym, lecz jeszcze solidnym, na którym opierają się ślady istniejące wyłącznie w pamięci ludzkiej. Są jakby wykazem, kopalnią, warstwą macierzystą; rezerwą materiału o ograniczonej ilości, bez szans na jej powiększenie, gdyż praca erudytów została już ukończona. Oni to odnaleźli stopniowo wszystkie szczątki, które następnie zebrali, odkurzyli, zabalsamowali, skatalogowali i oznakowali. Uporządkowali. Tym sposobem powstało nieprzemijające świadectwo, a także nagrobek dla wydarzenia. Wszystkie te szczątki są zniszczone, stwardniałe, podziurawione i wytarte. Niektóre mało czytelne. Niektóre otarły się bezpośrednio o wydarzenie. Ale liczne dokumenty to tylko ślad pierwotnego śladu, który zaginął. Weźmy taki przykład: w roku 1214 wybudowano w obrębie murów miasta Arras bramę Św. Mikołaja. Przez co najmniej cztery stulecia przechodzący pod bramą ludzie mogli odczytać dwa umieszczone na niej napisy. Jeden, zwrócony na zewnątrz, podawał po łacinie datę wzniesienia budowli oraz nazwisko budowniczego. Drugi napis zredagowany był po francusku, a więc dostępny większej liczbie ludności. Zawierał on poematy: czterdzieści dwa wiersze, zrymowane w roku 1250, opiewały pamięć księcia Ludwika, który za czasów powstania bramy panował nad miastem Arras i hrabstwem Artois, oraz jego ojca, dobrego króla Filipa. Ten ostatni – donosił napis – poróżnił się był z ludźmi z naprzeciwka, z Flamandami; lecz Bóg przyznał jemu honor zwycięstwa i zaledwie w jeden dzień udało mu się pokonać na polu bitwy Ottona, fałszywego cesarza, i pojmać

w niewolę pięciu hrabiów. Ponad trzystu rycerzy zostało tego dnia pochwyconych lub zabitych. Wydarzenie miało miejsce trzydzieści sześć lat wcześniej, między Bouvines a Tournai, w lipcową niedzielę, pięć dni przed początkiem sierpnia. W publicznym tym obwieszczeniu dodawano jeszcze – lecz tu już pamięć i chronologia zawiodły – że niedaleko stamtąd inny król Francji, na długo przedtem, bo w końcu X wieku, zwyciężył już był innego cesarza, również Ottonem zwanego. Ten napis z Arras, połączenie tablicy pamiątkowej i sprawozdania ze zwycięskiej bitwy, podobny do tablic z Carrousel, musiał zostać zauważony przez każdego, kto opuszczając miasto udawał się na północ.

Na skraju posiadłości kapetyńskich, na wprost Flandrii i Cesarstwa, napis taki stawał się trofeum. Miał on zachować w ludzkiej pamięci wspomnienie o wydarzeniu dawnym, ale w tej okolicy wcale jeszcze nie przebrzmiałym, miał utwierdzać coraz bardziej, w miarę upływu czasu, poczucie wspólnoty ekonomicznej i wojskowej. Ale nie tylko. Napis celowo przedstawiał triumf spod Bouvines jako jedno z ogniw łańcucha sławnych zwycięstw i porównywał, dzięki jednakowemu brzmieniu imion powalonych wrogich monarchów, dwa odległe o 250 lat zwycięstwa, które, mimo że królewskie, uważane były już wtedy za narodowe. Wyryty w najtrwalszym materiale poemat miał przetrwać niczym napisy nagrobne do końca wszechczasów, tym sposobem nigdy nie zagięłaby pamięć o wydarzeniu.

A przecież napis też okazał się nietrwały. Dawno już uległ zniszczeniu. Lecz mimo że kamień zagiął,

tekst się zachował. Co najmniej dwie osoby zadbały o to, aby nie przepadł. Było to na początku XVII wieku, za czasów Peiresca i pierwszych antykwariuszy, gdy historia, ta poważna, uczona, była jeszcze w powi-  
jakach, ale gdy wymagano już od niej, by opierała się na źródłach pewnych. Tekst został przepisany, częściowo przez Ferry'ego de Locre, proboszcza kościoła Św. Mikołaja w Arras, zbierającego materiały do kroniki Belgów, a w całości przez Antoniego de Mol, adwokata i ławnika, również z Arras, zainteresowanego przeszłością swego miasta. W ten sposób świadectwo uniknęło zniszczenia, a wraz z nim pewna określona strefa pamięci, przechowywana od ponad trzech i pół wieku pod postacią inskrypcji na bramie. Ta „akcja ratunkowa” miała decydujące znaczenie: obie kopie zostały opublikowane w dwóch dziełach, z których jedno ukazało się w 1611, a drugie w 1616 roku. Niestety, żadne z nich nie dotrwało do naszych czasów. Ale dzięki nauce współczesnej dokument na nowo stał się dostępny. W 1856 roku Victor Le Clerc wydał ponownie tekst, opatrzony odpowiednim komentarzem krytycznym. Każdy może go dziś przeczytać na stronach 433—436 tomu XXIII *Histoire littéraire de la France*. Ślad został utrwalony dla potomnych, spoczywa na półkach niejednej biblioteki, pomiędzy innymi śladami, w zasięgu ręki, gotowy do wykorzystania. I jest szansa, że zachowa się jeszcze przez długi czas, bez wątplenia o wiele dłużej, niż wzbudzać będzie zainteresowanie.

Zachowanie pamięci o bitwie pod Bouvines zależy od istnienia takich właśnie śladów, rozlicznych, wza-

jennie się uzupełniających, pochodzących z różnych źródeł, z różnych stuleci, nawet takich jak sześciometrowej wysokości obelisk, wzniesiony w 1863 roku w pobliżu pola bitwy. Lista dokumentów jest zamknięta. Od dawna już wzięte one zostały w krzyżowy ogień pytań. Przez ostatnie dwadzieścia lat XIX i pierwsze trzydzieści pięć lat XX wieku najlepsi mediewiści francuscy, niemieccy i angielscy, zwłaszcza w latach 1881–1888 i w latach 1913–1914, darzyli owe dokumenty szczególnym zainteresowaniem. Prawdziwość ich została wówczas poddana najbardziej szczegółowym próbom. Powiedziane zostało absolutnie wszystko i w sposób wysoce adekwatny na temat przebiegu bitwy i sieci intryg, których była ona zarówno przyczyną, jak i skutkiem. To zwalnia autora niniejszej pracy z obowiązku ponownego, w tym samym duchu przeprowadzonego badania źródeł informacji: nie przyniosłoby to niczego nowego. Czytelnik sam może zajrzeć do tamtych książek, w większości przestarzałych, lecz pouczających i, z małymi wyjątkami, dobrze napisanych. Jeśli zależy mu na czasie, niech sięgnie po III tom wielkiej *Histoire de France* pod redakcją Lavisse'a (s. 166–202), wydanej w 1901 roku. Zawarte w niej streszczenie jest bardzo dobre. Poprawek wymaga jedynie opis metod walki oraz szacunkowa liczba uczestników: znajdzie je Czytelnik w studium J. F. Verbruggena *De Krijgskunst in West Europa in de Middleeuwen, IX. tot begin XIV. euwen* (Sztuka wojenna w zachodniej Europie w wiekach średnich, IX – początek XIV w.), opublikowanym w 1954 roku.

Osobiście chciałbym dokonać innego oglądu wydarzeń. Dla historii pozytywistycznej – o której przed chwilą wspomniałem i która posiada niezaprzeczalną wartość – bitwa pod Bouvines wpisywała się w sposób naturalny w rozwój historii władzy. Pamiętny dzień stanowił jakby węzeł, grubszy niż inne, na nieprzerwanym łańcuchu decyzji, prób, wahań, sukcesów i porażek, które można by wszystkie uszeregować na jednym, jedynym wektorze, obrazującym ewolucję państw europejskich. Powyższe mniemanie wyznaczało historykowi dwa zadania. Najpierw należało ustalić, co rzeczywiście wydarzyło się w tym miejscu 27 lipca 1214 roku. Trzeba było w tym celu zebrać dokumenty, tak jak uczyniłby to sędzia śledczy, wykryć w nich fałsz, wydobyć prawdę, skonfrontować świadków, sprowadzić do minimum istniejące rozbieżności, a dla uzupełnienia luk przebadać wszystkie hipotezy i wybrać z nich najpewniejsze. Następnie umieścić „prawdziwe zdarzenie” na właściwym miejscu, w pozycji zarazem przyczynowej, jak i skutkowej, biorąc pod uwagę okoliczności towarzyszące. Oba te zamierzenia są, prawdę mówiąc, nieosiągalne. Wiemy przecież doskonale, że każdy, kto przygląda się bitwie, nawet jeśli czyni to z odległego wzniesienia, jest jak Fabrycy: odbiera całość wydarzeń jako bezładny zamęt. Całkowita prawda o wirze, w którym splotło się tego dnia, między dwunastą w południe a piątą po południu, tysiące powiązanych ze sobą działań, była i będzie niedostępna. A ponieważ przyczyny i skutki tej bitwy są w pełnym tego słowa znaczeniu niezliczone, niewiadomy jest również



ich wzajemny wpływ. Tymczasem próba sprostania dwóm wymienionym tu zamierzeniom zmuszała historyków do pominięcia kontekstu epoki, czyli do traktowania wydarzenia z roku 1214 jak wydarzenia im współczesnego. Historia pozytywistyczna, pretendująca do naukowości, za nic nie chciała zrezygnować z dokładności punktowej i dlatego nie potrafiła się ustrzec licznych błędów interpretacyjnych i anachronizmów. Cała jej uwaga skupiała się na działalności politycznej, jej motywacjach i skutkach, toteż podświadomie patrzyła ona na Filipa Augusta tak jak Racine na Pompejusza, a więc jak na wyraziciela pewnej woli, zamiaru przeciwstawionego innym woleom i zamiarom, przy założeniu niezmienności „natury ludzkiej”. Uwagi jej uszły pewne subtelne przesunięcia, które w ciągu dwudziestu pokoleń zmodyfikowały w Europie zachowania ludzi, a ich działaniom nadały inne znaczenie. Chodzi o tego typu powolne zmiany, które nie pozwalają nam uważać rycerza spod Bouvines za dziecięce stadium kirasjera spod Reichshoffen.

Z tego właśnie powodu chciałbym spojrzeć na bitwę i pamięć, która po niej pozostała, oczyma antropologa, inaczej mówiąc dokonać próby ujrzenia ich obu w kontekście kulturowym, całkowicie różnym od tego, jaki dziś tworzy nasz stosunek do świata. Ten zamiar pociąga za sobą trzy równoległe zabiegi. Jako że ślady wydarzenia nie mogą ulec poprawnej interpretacji, jeśli nie zostaną uprzednio umieszczone w systemie kulturowym, na którym się odcisnęły, należy posłużyć się całą istniejącą wiedzą o ówczesnej kulturze, w celu

przebadania pochodzących z tamtych czasów świadectw. Z drugiej strony, ponieważ samo zdarzenie jest nieprzeciętnej wagi, pozostałe po nim niezwykle głębokie ślady pozwalają zgłębić to wszystko, o czym wspomina się rzadko lub wcale; dają nam one skupioną w pewnym określonym punkcie czasu i przestrzeni garść informacji o sposobach myślenia i działania, a ponieważ chodzi tu o bitwę, są to przede wszystkim informacje dotyczące funkcji wojskowej i ludzi, którzy w tamtym społeczeństwie podejmowali się jej. Bouvines to wspaniałe pole do obserwacji dla każdego, kto chciałby położyć podwaliny pod socjologię wojny w północno-zachodniej części Europy u progu XIII wieku. I w końcu ślady rzucają też nowe światło na środowisko kulturowe, w którym wydarzenie miało miejsce, a następnie przetrwało. Ukazują one, w jaki sposób percepcja faktu rozprzestrzenia się jak fala i powoli, w miarę przybywania przestrzeni i czasu, traci na zasięgu i ulega zniekształceniom. Spróbuję więc również – lecz będzie to z mojej strony wyłącznie próba i propozycja kierunku badań – zaobserwować wpływ, jaki wyobraźnia i zapomnienie wywierają na informację, jak następuje podstępne wkradanie się do niej cudowności i legendy, a także, na przykładzie różnych form kome-  
moracyjnych, prześledzić los wspomnienia w łonie zmiennego systemu wyobrażeń umysłowych.

\* \* \*

Najlepiej więc będzie, jeśli, mając powyższe na celu, przedstawię Czytelnikowi od razu na wstępie naj-

bliższy w czasie, najjaśniejszy i najrozleglejszy ślad. Jest nim pisana prozą kronika Wilhelma Bretończyka.

Tekst ten pochodzi z dworu króla Francji. Podaje oficjalną relację o bitwie, wpisując się tym samym w stuletnią już prawie wówczas tradycję historiograficzną. Tradycja owa ma swoje korzenie w opactwie Saint-Denis. W krypcie tamtejszego klasztoru, w podziemiach sanktuarium, o którym opowiadano, że nie kto inny, tylko Chrystus we własnej osobie rozpoczął jego budowę, obok grobu świętego patrona, uważanego przez wielu, wbrew krytykom doktorów, za ucznia świętego Pawła, znajdowały się sarkofagi ze zwłokami Dagoberta, Pepina Krótkiego, cesarza Karola Łysego, Hugona Kapeta i prawie wszystkich królów Francji. Cmentarz ów był jakby przejmującym symbolem ciągłości monarchii przez kolejne trzy dynastie: Merowingów, Karolingów i Kapetyngów. Władza królewska opierała się na tych grobach bardziej niż na Reims, mieście chrztów i koronacji. Po ceremoniach namaszczenia właśnie w opactwie składano insygnia władzy, tam przybywał król, gdy miał poprowadzić wojsko na ratunek kraju, po królewski proporzec – chorągiew świętego patrona. Kiedy Suger, przyjaciel z lat dziecięcych dziada Filipa Augusta, króla Ludwika VI, został obarczony na początku XII wieku godnością opata Saint-Denis, przede wszystkim zaznaczył uroczyście, jaka była według niego najważniejsza funkcja klasztoru. Aby uświadomić to wszem i wobec w sposób jak najbardziej olśniewający, podjął zakrojoną na wielką skalę odbudowę kościoła. W mistrzowskiej syntezie, z której

wyłoniła się sztuka gotycka – sztuka królewska, „sztuka francuska”, jak ją zwano w tamtych czasach – połączył cesarską estetykę znaną Mozy z estetyką Neustrii oraz z formalnymi innowacjami, jakie właśnie pojawiły się na południu Galii: w ten sposób nowa bazylika wyrażała złączenie całego królestwa pod berłem jednego władcy, ogłoszonego spadkobiercą w prostej linii Karola Wielkiego. W tym samym czasie, gdy Kapetyngowie obrali Paryż (zamiast Orleanu) na swą główną rezydencję, Suger przeniósł z Saint-Benoit-sur-Loire do Saint-Denis-en-France misję głoszenia chwały monarszej za pomocą słowa pisanego. Sam zredagował biografię Ludwika VI. Napisał ją na wzór istniejących żywotów świętych i królów, wybrańców Boga naznaczonych ponadnaturalną cnotą i magiczną mocą uzdrawiania chorych. Po nim mnisi z Saint-Denis uważali już za swój obowiązek pisanie, dla zbudowania potomności, relacji o tym, jak człowiek, którego koronę przechowywali i którego doczesnej powłóce zapewniali bezustanne i zbawienne modły, wywiązywał się w swoim czasie z godności królewskiej.

Na początku panowania Filipa Augusta owa działalność piśmiennicza znacznie się wzmogła. Po pierwsze dlatego, że autorytet króla Francji bez przerwy wzrastał, po drugie, wszyscy zachodni książęta świadomi byli coraz bardziej faktu, że w związku z rozpowszechnieniem się pisma panegiryk stał się źródłem prestiżu i skuteczną bronią w coraz ostrzejszej rywalizacji pomiędzy okrzepłymi państwami. Między rokiem 1185 a 1204 skompilowana została więc w Saint-

Denis *Historia regum Francorum*. Można przypuszczać, że została ona ułożona przez pewnego dokładnego i powściągliwego w słowach pisarza imieniem Rigord. Przed wstąpieniem do zakonu – a była to, być może, owego wstąpienia przyczyna – Rigord, który przybył z Południa, rozpoczął już był pisanie opowieści o czynach panującego suwerena. Kontynuował swą pracę w klasztorze do 1206 roku. Pierwszą wersję *Gesta Philippi Augusti* przedstawił po łacinie w roku 1196, a następną – cztery lata później. W tym czasie Wilhelm Bretończyk należał już do najbliższego otoczenia króla, któremu wiernie służył, jeżdżąc do Rzymu na niełatwe negocjacje w sprawie rozwodu Filipa Augusta i jego powtórnego małżeństwa. Uzyskał w ten sposób całkowite zaufanie pana, który powierzył mu wychowanie swego nieślubnego syna, Piotra Karola. Bardzo szybko awansował.

Wilhelm zalicza się do parweniuszy kultury, jakich w tamtych czasach było pełno. Ktokolwiek, pochodząc z niskich sfer, chciał podówczas wspiać się po drabinie społecznej, musiał dostać się jakoś do szkoły i nauczyć się dobrze mówić i pisać.

Książętom ludzie o takich umiejętnościach byli coraz bardziej potrzebni i wynagradzano ich sownie. W tamtych czasach istniały jedynie szkoły przygotowujące do funkcji duchownego. Szkoły klasztorne były niedostępne dla osób z zewnątrz. Pozostawały więc szkoły przykatedralne i przykapitulne. Ale dostęp do nich mieli jedynie klerycy. Tak więc nie było innego wyjścia, jak przystąpić do Kościoła, nawet jeśli zamie-

rzało się później nieco od niego oddalić, wybierając zawód opiekuna ksiąg, nadwornego doradcy, lekarza lub facecjonisty, jak uczyniło to już wielu byłych studentów, których pralaci na próżno starali się zatrzymać na wyłącznej służbie Bożej. W wieku 12 lat Wilhelm opuścił Bretanię, w której niewiele można się było nauczyć, i udał się do kraju „francuskiego”, gdzie uczono lepiej. Najpierw studiował w Mantes, potem na najlepszych, bo paryskich, uczelniach. Wydaje się, że powrócił szukać szczęścia w rodzinnych stronach, lecz bez większego sukcesu. Między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia fortuna w końcu uśmiechnęła się do niego; udało mu się dostać do kaplicy królewskiej, w której liczni jego koledzy wiedli już dostatni żywot. Taka służba, poświęcona modlitwie i wszelakim pracom wymagającym wykształcenia, mogła wówczas zaprowadzić do najbardziej korzystnych stanowisk. Kto potrafił wykazać się posłuszeństwem i sprytem, miał zapewnioną piękną przyszłość. Kapetyng podporządkował sobie hierarchię kościelną i w jego mocy leżało znalezienie intratnych stanowisk dla ludzi, którzy potrafili mu się przypodobać. Wszyscy oni mogli spodziewać się na starość łakomej prebendy kanonika. A kto zagrał umiejętnie, mógł nawet zostać biskupem. Tak właśnie uczynił Wilhelm. Po roku 1200 i po swojej rzymskiej misji staje się niezbędny. Król potrzebuje go i ciągle trzyma u swego boku. Obecny jest przy oblężeniu Château-Gaillard. Jego rola jako kapelana polega na nieustającej modlitwie, śpiewanej wraz z innymi, modlitwie, która ma otaczać osobę królewską i wpisywać

najmniejszy jej gest w modulacje odpowiedniego psalmu:

Pod Bouvines, w zgiełku bitewnym, za plecami Filipa Augusta, Wilhelm nadal śpiewa. I tutaj właśnie objawia się jego geniusz. Jako pierwszy nadaje sprawie pierwszoplanowe znaczenie. W otoczeniu królewskim zwycięstwo uznano szybko za wydarzenie niezwyklej wagi, więc aby zadowolić władcę, Wilhelm od razu zrehabilitował przesadzone sprawozdanie o biegu wypadków. Co więcej, postanowił umieścić swoją opowieść w bezpośrednim przedłużeniu kroniki Rigorda, doprowadzonej zwięźle przez jakiegoś innego mnicha do roku 1210. Wystarał się w Saint-Denis o tekst tej kroniki. Poddał go skrótom. Lukę zapełnił opisem kilku najwybitniejszych czynów, jakimi mógł poszczycić się jego pan, a które utkwiły mu w pamięci. Napisał w ten sposób historię całego panowania. Tym samym dokonuje się pewna przemiana godna jak największej uwagi: zadanie pisania historiografii przechodzi z rąk mnichów do rąk kleryka, przechodzi z opactwa na dwór królewski. Jest to oznaka nieugiętości uwalniającej się nieco od liturgicznych uroczystości władzy, która zaczyna się zeświecczać. O przemianie tej świadczy również ilość miejsca poświęconego w opowieści sprawom wojennym. Mnich Helgaud, autor żywota króla Roberta Pobożnego, interesował się sto pięćdziesiąt lat wcześniej wyłącznie modlitwami, jałmużną, pielgrzymkami i cudami, pozostawiając innym skrybom troskę o opis samych wojen. Wilhelm Bretończyk opisuje prawie wyłącznie wojnę. Przede wszystkim chodzi mu

o wstawienie Bouvines. Więcej opowiada o samym dniu niż o pięciu poprzedzających go latach. Cała reszta jest dla niego wyłącznie wstępem do bitwy, którą uważa za swego rodzaju „spełnienie”. Do tego stopnia, że właśnie na roku 1214, czyli na szoku wywołanym tym wydarzeniem, zamyka pierwszą wersję swego dzieła.

Tak więc otrzymujemy od niego opis bitwy, oczywiście starannie spreparowany i kładący, gdzie tylko można, nacisk na wszystko, co powiększa chwałę Kapetyngów. Opis na tyle uczciwy, na ile może być uczciwy pisarz na służbie królewskiej, który musi zadbać o własną starość, lecz opis szczegółowy, precyzyjny i jasny, nie za bardzo obarczony retoryką, pragnieniem podobania się i wykazania kulturą klasyczną, jednym słowem – najlepsze świadectwo. Tekst napisany został po łacinie, językiem uczonych i księży, albowiem dom króla, pomazańca Bożego, wyświęconego jak biskup, był przede wszystkim kaplicą. I w tej właśnie kościelnej formie tekst został przyjęty przez zakonników z Saint-Denis, którzy włączyli go do wielkiego zbioru, uzupełnianego za każdym nowym panowaniem. W 1274 roku opat klasztoru postanowił przetłumaczyć go na język ludu, a wraz z nim całość dzieła historiograficznego, do którego należy opowieść Wilhelma. Jest to oznaka jeszcze jednej mutacji w kulturze, wyraz troski o udostępnienie oficjalnej historii królestwa szerszej publiczności, tym wszystkim, którzy nie skończyli szkół, a byliby tej historii ciekawi. Tekst tego właśnie tłumaczenia wybrałem do zaprezentowania: został na-



pisany wspaniałą, rytmiczną i szybką prozą. Poddany został niewielkiej adaptacji, mającej na celu ułatwienie czytelnikowi zrozumienia, przy zachowaniu jednocześnie stylu oryginalnej wypowiedzi. Najpierw jednak, aby czytelnik mógł prześledzić bieg wypadków, niezbędne jest przedstawienie głównych aktorów, ustalenie dekoracji i streszczenie w bardzo krótkim prologu intrygi, o której w ogóle nie ma mowy w opowieści Wilhelma, a która przecież prowadzi do poranku pod Bouvines.

# WYDARZENIE

## Wprowadzenie na scenę

W antycznym teatrze, jak zwyczaj każe, wszystkie role grali mężczyźni. Ale tu wszystkie postacie są i tak płci męskiej, ponieważ rzecz jest o sztuce wojennej. Prawdę mówiąc, można by się spodziewać, że tu i ówdzie wystąpią na scenie, chociażby na dalszym planie, owe gromady kobiet różnej profesji, włóczące się w tamtych czasach za każdym wojskiem; nawet za armią krzyżowców. Lecz tym razem są one nieobecne. Zarówno dla Wilhelma, jak dla jego słuchaczy Bouvines to sprawa poważna, chodzi o bitwę, o fakt podniosły, jakby o świętość i uroczystość zarazem. I nie ma tam miejsca dla kobiet, tak samo jak w liturgii. Albowiem zarówno Wilhelm, jak i wszyscy inni pisarze, którzy jako pierwsi uwiecznili pamięć bitwy, są ludźmi Kościoła. Kobieta jest dla nich wyłącznie ozdobą światowych próżności, nieważnym pionkiem w grze, w ulubionych przez młodych rozrywkach. Może być niebezpieczną ułudą, pułapką zastawioną przez diabła, narzędziem pokusy, okazją do upadku. A więc żadna postać kobieca nie znajdzie dla siebie miejsca po stronie dobra, po stronie zwycięstwa: po stronie króla Francji. Nieliczne kobiety są wszystkie po stronie przeciwnika. Bretończyk w swojej kronice kreśli portret jednej tylko kobiety: hrabiny-matki Flandrii, która w obozie przeciwnika jest matroną stojącą na czele całego rodu. To za jej przyczyną został przekazany tytuł najgorszemu wrogowi Filipa, dobrego króla, tytuł, którym teraz się

chełpi. Postać jej ukazana jest jako coś w rodzaju czarownicy, wróżki wchodzącej w układy z duchami i rzucającej uroki. Urodziła się w Hiszpanii. I jak wszystkie kobiety pochodzące z tego zanieczyszczonego obecnością Maurów i Żydów, zakazanego, udziwnionego i poddanego władzy szatana kraju, do naturalnej perversji, właściwej swojej płci, dodała jeszcze uprawianie czarów. Zdradza, aby w końcu sama zostać zdradzona. W *Filipidzie* – rozszerzonej i zrymowanej wersji swojej własnej kroniki – Wilhelm dwa razy wspomina jeszcze o postaciach kobiet, ale za każdym razem bardzo krótko. Jedna z tych wzmianek zabarwiona jest kurtuazją, lecz trudno orzec, co ona oznacza: pochwałę, ukłon w stronę arystokratycznych mód, które powoli torowały sobie drogę na surowy dwór kapetyński, czy zasugerowanie na swój sposób, że przeciwnik wiąże się z lekkoduchami? U progu bitwy flamandzki rycerz Jan Buridan krzyknął do otaczających go towarzyszy ku pokrzepieniu serc: „Niech każdy myśli o swojej damie.” Zaś druga wzmianka jest wyraźnie pejoratywna. Jeśli Wilhelm Bretończyk w ogóle wspomina o owej damie, którą zdrajca, hrabia Boulogne, zabiera ze sobą, a która nawet nie jest jego żoną, tylko konkubiną – co więcej, siostrą najohydniejszego przywódcy band, awanturnika Hugona z Boves – to czyni tak tylko po to, żeby podkreślić niecność przeciwników króla Francji. Nurzają się w rozpuście. Są ludźmi rozkoszy cielesnych.

Za to dokładnie jest opisana obecność koni. Żaden z nich nie jest wymieniony z imienia, ale chwalone są

za waleczne czyny i obżałowywane, a jeden z nich, rymak cesarza Ottona, odegra rolę pierwszoplanową. Śmierć jego zadźwięczy silniejszym echem i wzbudzi większą żałobę niż cierpienia większości uczestników bitwy. Obecne są jeszcze inne postacie, co prawda niewidzialne, ale rozwijające niezmordowaną działalność poza zasięgiem naszych zmysłów. Świętych na próżno by szukać w kronice. Lecz każdy wie, że są pośród walczących, przybyli na odsiecz wiernym ze świętym Dionizym, patronem królestwa, na czele. Jest również święty Lambert, patron Liège; to on jest głównym przeciwnikiem wrogów Kapetynga. Wilhelm wspomina również o wznoszącej się nad tłumem Pallas, ale tylko po to, aby wykazać się lekturą klasyków; bogini jest jak rekwizyt z opery. Ale Bóg jest obecny naprawdę. Jest również „Nieprzyjaciół”, czyli Diabeł.

Wszelako scena zapełniona jest przede wszystkim rycerzami. W trakcie akcji wszyscy są uzbrojeni. Ów tłum rycerzy dzieli się wyraźnie na dwie grupy; jedni walczą pieszo, drudzy konno. Dwie grupy o bardzo nierównej liczebności. Pierwsi są dużo, dużo liczniejsi. Lecz całe światło reflektorów skupia się na drugich. W rzeczywistości ten podział na pieszych i na konnych, najbardziej widoczny i najbardziej decydujący na polu bitwy, nie całkiem pokrywa się z tym, co w rozumieniu ówczesnym oddziela rycerzy, tę par excellence kawalerię, od plebsu, od ludu, biedoty, od pospólstwa. Na tym podziale, jakże podstawowym, opierają się wówczas wszystkie, funkcjonujące co najmniej od dwu wieków, wizje społeczeństwa. Odpowiada on teorii trzech sta-

nów, sformułowanej po raz pierwszy zaraz po roku tysięcznym w uczonych kręgach hierarchii kościelnej, a dokładniej mówiąc, przez biskupów najgoręcej broniących zachwianego autorytetu władzy królewskiej. Od tamtych czasów nikt nie wątpi, że ludzkość dzieli się z woli Bożej na trzy odrębne kategorie, z których każda posiada określoną funkcję i których harmonijna współpraca, pod postacią wzajemnej wymiany usług, stanowi podstawę społecznego porządku. Jedną z warstw, najliczniejszą, ma za zadanie pracować, zapewnić w pocie czoła ludziom z dwóch pozostałych warstw bezczynność i dobre warunki materialne, które pozwolą im oddać się całkowicie wyznaczonej im misji. Do tych wyznaczonych wybrańców należą, po pierwsze, ci, których zadaniem jest modlitwa, funkcja niezmiernie ważna, mająca' sprowadzić na całą ludzkość łaskę niebios. Pozostała grupa to wojownicy, rycerze wybrani przez Boga, obdarzeni wrodzoną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie „cnotą”; otrzymują oni w wieku lat dwudziestu poświęconą przez duchownych broń, której powinni używać tylko w słusznej sprawie, w obronie kleryków, mnichów lub „bezbronnego ludu” oraz dla szerzenia wiary chrześcijańskiej.

Zgodnie z powyższą, panującą wówczas ideologią, z uświęconą wizją harmonii ciała społecznego, tylko rycerze mieli prawo do kompletnego wyposażenia wojownika, wyposażenia, którego symbolem jest miecz, zgodnie z tradycją frankijską – długi miecz, a podstawowym elementem – koń bojowy. Postęp sztuki wo-

jennej, jaki dokonał się w ciągu XII wieku, potwierdził decydujące znaczenie konia. Tymczasem na polu pod Bouvines, mimo że wszyscy piesi są ludźmi nisko urodzonymi, a żaden rycerz, dopóki rumak jego nie zostanie całkiem powalony i niezdatny do użytku, nie walczy pieszo, można jednak zauważyć jeźdźców nienależących do rycerstwa, o których jednak, jeśli walczą po „dobrej” stronie, mówi się, że są waleczni. Są to „pachołkowie”, pochodzący z ludu pomocnicy, których książęta, w swoim własnym interesie, wtajemniczyli w arkana jazdy konnej. Nikt ich nie myli ze szlachetnie urodzonymi rycerzami, mimo że uzbrojeni są prawie tak samo. Do walki zdejmują tzw. zbroję bieliźnianą, która nie męczy podczas jazdy i którą noszą zwiadowcy. Aby uchronić ciało od ciosów, oblekli się w metalowe pancerze. Zachowane z tych czasów fragmenty zbroi są niezmiernie rzadkie. Albowiem już od dawna zaniechano zwyczaju, iż zmarli zabierali ze sobą ekwipunek do grobu, co było niezwykle korzystne dla archeologów. Nie przechowywano już także broni przestarzałej, nie odstawiano jej na strych w domostwach seniorów. Była ona natychmiast przekuwana na nową, ponieważ żelazo było w tamtych czasach rzadkością. Wszystko więc, co wiemy o narzędziach walki, pochodzi z przekazów wizualnych. Źródło bardzo niepewne. Trudno jest nawet określić z całą pewnością datę powstania większości dzieł, czy to rzeźb, czy obrazów. Co dopiero mówić o pewności, czy artysta wiernie przekazał to, co sam zobaczył, czy odtwarzał tylko wcześniejsze modele. Można jednak, opierając się na

pieczęciach, iluminacjach, płaskorzeźbach i złotniczych ozdobach relikwiarzy, spróbować odnaleźć zarys sylwetek wojowników spod Bouvines. Przy pierwszym spojrzeniu uderza ogromna różnorodność i brak harmonii. Uzbrojenie jest całkowicie różne, w zależności od osoby rycerza, co wynika z rozpiętości stopnia zamożności: każdy zbroi się, jak mu na to pozwala fortuna i jak tylko może najlepiej.

Dorzućmy jeszcze, że dla wszystkich obecnych – z niewieloma wyjątkami, jak Wilhelm Bretończyk, który reprezentuje Kościół, lub stojący obok niego w pobliżu króla urzędnik królewski – wojna jest sensem życia. Jest ich najważniejszą misją, największą rozkoszą i najlepszą okazją dorobienia się. A zatem podstawą obrony, najlepszą inwestycją jest ekwipunek wojskowy. Nie sposób wyobrazić sobie lepszego użytku z dochodów jak gromadzenie przedmiotów mających na celu zwyciężenie przeciwnika i uchronienie własnej osoby od zguby. Tak się składa, że na początku XIII wieku nastąpiło w tej części świata przyśpieszenie obiegu pieniądza. Zarówno za pośrednictwem instytucji senioratu, jak i przez wymianę pieniędzy gromadzi się coraz obficie w rękach ludzi, dla których wojna jest zawodem, w rękach szlachty i mieszkańców grodów handlowych, z których pochodzi większość „pachołków”. To powoduje, że wydatki wojenne stałe rosną i ten stały, trwający już ponad sto lat przepływ pieniądza stoi u podstaw rozwoju hodowli koni, a także metalurgii żelaza. Zbrojenie jest wówczas, tak jak w ciągu całej historii ludzkości, jedną z dziedzin, w której następuje

najszybszy postęp techniczny. I rzeczywiście, w opisie bitwy pod Bouvines znaleźć możemy wzmiankę o kilku najnowszych wynalazkach.

Niektóre z nich ułatwiają atak. Do istniejącego od dawna uzbrojenia zaczepnego – kopii i długiego miecza, przydatnych zwłaszcza do wysadzania z siodła i ogłuszania przeciwnika podczas następujących po sobie ataków – dochodzą teraz narzędzia zakrzywione w kształcie haków i spiczaste, o wiele bardziej agresywne. Jako podstępne, uznawane są za niegodne i złowrogie. Wilhelm Bretończyk mówi o nich tak, jakby mówił o kobietach. Uważa, że wiążą się ze złem i z diabłem. Pojawiają się w obozie przeciwnika, przede wszystkim w rękach prostych wojowników, piechoty, lub w rękach wojowników potępianych – najemników. Nowa broń jest bardzo niebezpieczna, lecz skuteczna. Wręcz zbyt skuteczna i dlatego nie przynosi honoru. Brak tu szacunku dla reguł gry. Haki obalają porządek społeczny, ponieważ dzięki nim żołnierze z pospólstwa mogą powalić w pył wojowników wysokich rodów, ściągając ich za chropawe części zbroi. Są pożałowania godnym symbolem buntu. Świetnie naostrzone noże mogą wkradać się w złącza zbroi i docierać aż do miękkiego ciała, przebijając je. A więc zabijać, co między rycerzami jest niedopuszczalne.

W odpowiedzi na tak wielkie udoskonalenie narzędzi agresji, obrona rozwija się jeszcze szybciej. Owi walczący w bitwach książęta chcieliby, oczywiście, odnieść zwycięstwo, ale jak najmniejszym kosztem. Przede wszystkim, jak każdy, boją się śmierci, a więc pra-



gną się jak najlepiej osłonić. Za czasów bitwy pod Bouvines najważniejszym udoskonaleniem uzbrojenia było rozbudowanie zbroi. Dawniej pokrywała ona czaszkę, tułów i uda, lecz ręce, nogi, podbrzusze, twarz i szyja pozostawały odkryte na ciosy. Aby zmniejszyć powyższe braki w obronie, dodano do zbroi nowe elementy. Teraz do starej kolczugi, długiej, rozciętej koszuli, utkanej z drobnych, żelaznych oczek, przyczepia się rękawy i metalowe nogawice, które obejmują ramię aż do nadgarstka, a nogi aż do kostek; kark i broda schowane są pod osłoną, przechodzącą na szyi w tzw. *ventaille* powoli osłona owa znika pod hełmem, który zakrywa coraz bardziej twarz, przybiera kształt pełnego walca z kilkoma szparami do patrzenia i oddychania. W ten sposób ulegają zmniejszeniu otwory, przez które może prześliznąć się śmierć. Kto chce zabić, musi starannie celować w szpary na oczy lub szperać w pachwinie, gdzie specjalne otwory oddzielają nogawice od kolczugi, musi rozpruć całość... istny majstersztyk. Nowoczesna zbroja stanowi rzeczywiście zabezpieczenie. Dodaje śmiałości, pozwala uganiać się za chwałą bez wielkiego lęku. Na tymże postępie technicznym opiera się zmiana etyki, szereg drobnych przesunięć na skali hierarchii cnót. Umożliwia to rozpowszechnienie wśród rycerstwa odwagi, tej nowości XII wieku. Ale na cały ów wspaniały i podnoszący na duchu sprzęt, na owo uzbrojenie, bez którego nie ma bohatera, trzeba móc sobie pozwolić.

W miarę jak zbroja staje się coraz doskonalsza, cena jej idzie w górę. Okres, o którym mowa, to właśnie

czasy, w których większość rycerstwa, mimo że ich dochody pieniężne powiększają się coraz bardziej, może z ledwością nastarczyć potrzebom wyruszających na wojnę synów, którzy przestali już być giermkami. Zapasy pieniądza są zbyt małe, a stara broń, zachowana jeszcze w domu, przestarzała; od biedy można by jej użyć, lecz gra stałaby się wtedy niebezpieczna, a pogoń za wyczynem zbyt wiele wymagałaby śmiałości. Trzebaż więc zrezygnować z chwały? Pozostaje jeszcze senior lenny, którego jednym z podstawowych obowiązków, a jednocześnie podstawą prestiżu, jest uzbrojenie w odpowiednim czasie synów swoich wasali. Ale on także unika wydatków, musi bowiem wyposażyć własne dzieci. Przez dłuższy czas udaje, że o niczym nie wie. Do tego stopnia, że coraz liczniejsi w królestwie Francji młodzieńcy gryzą wędzidło i starzeją się w niekończącym się oczekiwaniu na pasowanie na rycerza. Jak gdyby zatrzymali się na samym progu rycerstwa. Ich uzbrojenie, ich status, dany im tytuł „giermka” czy „pazia”, z którym się obnoszą – aby nikt nie pomylił ich z ludem, nie posiadającym oczywiście żadnego uzbrojenia, aby podkreślić ich przyrodzoną możliwość zostania rycerzami pewnego szczęśliwego dnia – są identyczne jak te, które nadawano dotychczas, na czas ściśle określony, towarzyszącym dorosłym wojownikom młodzieńcom, którzy nosili za nimi zbroje, uczyli się zawodu, wykazywali odwagę. To właśnie z powodu wysokiej ceny nowoczesnego uzbrojenia masa walczących na polu pod Bouvines jest tak niezwykle pstrokatą. Że nie wspomnę o piechocie. Żołnierze ci wywodzą

się z biedoty, większość została zwerbowana w gminach na rozkaz księcia, po prostu nie dopisało im szczęście; może wydali ich sąsiedzi, bo trudno było z nimi współżyć, lub nie udało im się ukryć na czas. Biedni ci nieszczęśnicy uzbrojeni zostali w co popadło. Dla ochrony ciała mają tylko sztylpy i skórzany kaftan, w najlepszym wypadku żelazne nakrycie głowy; z góry skazani są na śmierć. Jeźdźcy, niezależnie od tego, czy wywodzą się ze szlachty, czy nie, mają często jeszcze na głowie stary, spiczasty hełm, jaki znamy z tkaniny z Bayeux, z szerokim otworem na nos, a nogi i brzuch chronią, jak mogą, tarczą od zadawanych z dołu ciosów.

Tylko bogaci mogą się dobrze opancerzyć. Im ktoś mocniejszy, im bardziej możny, tym jest cięższy i bardziej niezgrabny, tym mniej widać mu twarz. Książęta opancerzają również swe rumaki, nie pozostawiając bez ochrony ani skrawka skóry. W żaden sposób nie można ich rozpoznać. Stąd waga znaków herbowych, zawołania, proporczyka niesionego w pobliżu każdego dowódcy, figur heraldycznych naszytych na tzw. *côtes à armer*, będących rodzajem powiewnych szat, którymi pokryta jest zbroja; ale szaty te drą się szybko, a powiewające strzępy nie pozwalają rozpoznać właścicieli. Pomyłki zdarzają się często. Niech tylko jeden z walczących przechwyci od drugiego w zapale walki oznakę, staje się kimś innym: uważany jest za bardziej lub mniej groźnego niż w rzeczywistości, a zdumieni przeciwnicy stwierdzają, że zbliżający się rycerz okazuje się waleczniejszy albo też tchórzliwszy lub bardziej

znienawidzony, niż się tego spodziewali. Musi więc każdy wyrzaskiwać jak najgłośniejsze imię poprzez otwory w hełmie. Zamęt bitewny to wirujące godła, pomieszany zgiełk nawoływań i inwektyw oraz mozaika nieczytelnych znaków w pyłe zdeptanych zbóż.

Uwięzieni w brzęczących pancerzach i pokryci barwnymi strzępami, bohaterowie wydają się na pierwszy rzut oka wtopieni całkowicie w zmieszana ciżbę, której nie sposób policzyć. Iluż ich było? Relacja Wilhelma dostarcza, kilku orientacyjnych liczb, ale brak jakiegokolwiek liczby globalnej. Badacze próbowali na podstawie innych źródeł oszacować liczebność walczących. Wyniki tych prób, bardzo różne, są niepewne. Oto najnowsze i najpewniejsze liczby, jakie podaje J. F. Verbruggen. Według niego Filip August zwołał do bitwy co najmniej tysiąc trzystu rycerzy, tyle samo konnych pachołków i cztery do sześciu tysięcy pieszych; po stronie przeciwnej walczyło bez wątpienia nieco więcej rycerzy i stanowczo więcej pieszych. W sumie na polu bitwy znajdowało się około czterech tysięcy jeźdźców i trzy razy tyle piechoty. Dokładniejsze świadectwa, zwłaszcza dokumenty obrachunkowe oraz spisy jeńców – ustalane z największą starannością, jako że chodziło o pieniądze – i poręczycieli okupu pozwalają zidentyfikować z nazwiska niecałe trzysta osób. Z wyjątkiem czterech nazwisk, lista ta składa się z samych rycerzy. Tak jak już powiedziałem, tylko rycerstwo odgrywało pierwszoplanowe role, reszta uczestników to drobni figuranci. Mimo to nawet korpus rycerski jest nam prawie nie znany. Tym bardziej, że owe trzysta

nazwisk pozwala co najwyżej umiejscowić daną osobę w ramach rodu, seniorii, w danej okolicy lub prowincji. O samym człowieku żadnej wiedzy nam nie przynosi. Koniec końców zaledwie garstka osób wyłania się z ciemności. Oto one, podzielone na dwa obozy, jak w grze w szachy, ulubionej w tamtych czasach przez książąt i dozwolonej, bowiem opartej na taktyce, a nie na hazardzie, a więc nie uwłaczającej Bogu. Białe i czarne pionki. Należy przez to rozumieć – w ten sposób dochodzimy do właściwego naświetlenia opowieści, do jej manichejskiej symboliki, rządzącej w tamtych czasach całokształtem idei – żołnierzy Dobra i żołnierzy Zła.

\* \* \*

Filipa dzieli zapewne kilka dni od pięćdziesiątych urodzin, co w tamtych czasach oznacza początek starości. Trzydzieści pięć lat temu możnowładcy królestwa przywiedli go do katedry w Reims, gdzie prałaci namaścili mu ciało oliwą ze świętej ampułki i konsekrowali go, w najmocniejszym tego słowa znaczeniu, udzielając mu, jak biskupom, Boskiej mocy i wszelkich cnót, które ona ze sobą niesie. Ojciec jego, król Ludwik VII, żył jeszcze wtedy. Był jednak znużony, niezdolny do działania. Przeżył o kilka miesięcy wybór i koronację swego pierworodnego, który został od tej chwili pełnoprawnym monarchą w wieku lat czternastu. Poprowadzić lud Franków ku zbawieniu i utrzymać ich berłem i mieczem w pokoju i sprawiedliwości – cały ten ciężar spoczął na barkach rozczochranego młodzieńca. Od

trzydziestu pięciu lat, co wiosną, Filip dosiada rumaka i prowadzi swoich do walki. Do niezliczonych potyczek, które w okresie żniw lub winobrania przekształcają się w sądy rozjemcze i w długie przemowy, podczas których rozgorzałe wśród książąt kłótnie uspokajają się na chwilę z korzyścią dla ludu Bożego, tzn. dla Kościoła i biednych. W 1190 roku, z nadzieją na wyzwolenie Grobu Świętego z rąk niewiernych, zapędza się dużo dalej, bo aż do Ziemi Świętej, jak niegdyś uczynił to jego ojciec. Nie udaje mu się zdobyć Jerozolimy. Ale podczas oblężenia Saint-Jean-d'Acre spełnił powzięte ślubowanie, rujnując zdrowie. Następnej jesieni opuścił armię krzyżowców i powrócił do kraju. Straciwszy oko, bardziej jeszcze zirytowany i niespokojny niż przed wyprawą, przebył całą Italię – Rzym, Sienę i Mediolan – i przekroczył Alpy, nim spadły śniegi. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Powoli pokonał własną nerwicę. Za czasów Bouvines ci, którzy go podziwiają, i ci, którzy mu schlebiają, mówią o nim, że jest „przystojnym mężczyzną, o zgrabnej sylwetce, twarzy uśmiechniętej, z czerwoną cerą, łysy, lubiący dobrze zjeść i wypić”. Mówią, że kocha życie, że jest „przezorny i uparty, że sąd ma szybki i łatwy”. Piszący te słowa pozostawali na służbie królestwa, dążąc do przedstawienia monarchy jako prawdziwego przyjaciela ludu, więc król według nich „lubi radzić się maluczkich”, inaczej mówiąc, jest nieufny wobec możnowładców i szuka popleczników z dala od kręgów arystokracji. Już trzy razy wstąpił w związek małżeński. Chorobliwa awersja, jakiej nabył w noc poślubną do

drugiej żony, Ingeborgi z Danii, spowodowała, że oddalił od siebie królową. Nie zważając na protesty Kościoła, szybko związał się z inną kobietą. Biskupi francuscy uznali ten związek, ale papież go wyklął i nałożył na króla, który jednak nie ustąpił, najsurowsze sankcje.

W 1214 roku kobieta zwana w Rzymie konkubina króla nie żyje już od trzynastu lat. Ale zaledwie kilka miesięcy wcześniej Ingeborga opuściła klasztor, w którym do tej pory przebywała z woli męża. Żyje po królewsku na dworze. Na psalterzu, którego używa do modlitwy, tylko dwie inne daty zostały zapisane przez nią na marginesie tej wspaniałej księgi; fakt ten świadczy wymownie o wadze i rozgłosie wydarzenia, które królowa zanotuje: 27 lipca „zwyciężył Filip, król Francji, w bitwie przeciwko królowi Ottonowi, hrabiemu Flandrii, hrabiemu Boulogne i kilku innym baronom”.

Od Hugona Kapeta poczynając, wszyscy królowie Francji jeszcze za życia wiązali ze swą władzą syna, który mógł później bezzwłocznie zasiąść na tronie. Filip, szósty przedstawiciel linii męskiej, posiada wystarczającą liczbę potomstwa. Poza bękartem, którego dała mu pewna młoda szlachcianka z Arras, a który zostanie biskupem w Noyon, ma dwóch synów i córkę. Dwoje młodszych dzieci, zrodzonych ze związku nieuznanego za ślubny, zostało zalegalizowanych decyzją papieską. Pierworodnego, Ludwika, Filip bynajmniej nie uczynił królem, mimo że zaczęły już dawać mu się we znaki bezustanne kawalkady. Ale wyręcza się nim dla realizacji swoich celów. Albowiem książę Ludwik, pan na Artois, dziedzictwie po matce, zawsze mu wiernie słu-

żył i coraz częściej zastępuje ojca na czele wojsk, gdy przychodzi toczyć wojnę z dala od Paryża. Powiązanie pierworodnego syna z godnością królewską za życia panującego monarchy nie jest już niezbędne. Od dawna dzieci Francji przestały się buntować przeciwko ojcu. Linia kapetyńska jest mocna, a zasada, że korona przekazywana jest z ojca na syna w porządku pierworództwa, całkowicie weszła w życie. Skomponowana około roku 1137 *chanson de gestes* pt. *Koronacja Ludwika* głosiła już, że dziedzictwo korony jest niepodważalne; nawet gdyby syn króla był imbecylem, sama korona stanowiłaby tylko potwierdzenie Boskiego wyboru. Filip jest podwójnie szczęśliwy: w Poissy urodził mu się już drugi wnuk (pierwszy, imieniem Filip, umrze w 1218 roku), który będzie Ludwikiem Świętym. Przyszłość dynastii jest zapewniona.

Król nosi przydomek Augusta. Został mu on nadany przez Rigorda, chcącego rozstawić nim monarchę, który potroił królewskie włości. Ale to imię posiada głębszy sens. Odwołuje się do Cezara, nikt o tym nie wątpi. Brzmi jak dążenie do cesarstwa. „Rzym prawnie należy do króla z Saint-Denis”, głosiła już *Koronacja Ludwika*, nie wolno zostawić go Niemcom. Kapetyńczyk, świadom, że jest najpotężniejszym władcą chrześcijaństwa, głosi w tym czasie, że pragnie podążyć śladem Karola Wielkiego, nie uznawać nad sobą żadnej ziemskiej potęgi i stanąć na czele całej społeczności chrześcijańskiej. Już Suger sto lat wcześniej pracował nad takim zrozumieniem karolińskiego dziedzictwa, gdy proponował zgrupowanie wokół opactwa Saint-



Denis, czyli wokół monarchii paryskiej, wszystkich emblematów kultury frankijskiego cesarstwa. Niezwykle szybki rozwój gospodarczy, korzystny zwłaszcza dla Ile-de-France i dla Paryża, przydawał królewskiemu miastu wspaniałego blasku i stanowił doskonałą pożywkę dla cesarskich aspiracji. Polityka matrymonialna władców przyczyniła się do dalszego ich umocnienia. Celem jej było jak najściślejsze połączenie rodu Karolingów z potomkami Hugona Kapeta. Miało to pewne znaczenie w czasach, gdzie wszystkie charyzmaty władzy wiązano z pochodzeniem. I rzeczywiście, najczystsza krew Karola Wielkiego płynie w żyłach Filipa Augusta, którego matka pochodzi z linii szampańskiej. Pierwsza żona króla, Izabela z Hainaut, również była z rodu Karolingów, więc książę Ludwik jest spokrewniony w większym stopniu niż sam monarcha z przodkami, którzy niegdyś zarządzali cesarstwem. To właśnie owe powinowactwa sprawiły, że w czasach, o których mowa, królewska krew nagle wysuwa się na pierwsze miejsce w systemie wyobrażeń, na których opiera się obraz monarchii. Wskazują na to liczne oznaki: nagła dbałość, z jaką pisarze na służbie królewskiej odtwarzają i sporządzają genealogie, jak również fakt, że począwszy od panowania Filipa Augusta młodsi synowie królewscy, mimo że nie wstąpili na tron, będą również chowani w grobowcach w Saint-Denis, gdzie do tej pory spoczywają wyłącznie zwłoki królów i królowych. Kapetyńczyk, bezsprzecznie wywodzący się od najdawniejszych Merowingów, których liczne i rozpowszechnione legendy przedstawiały jako po-

tomków Trojan, to znaczy założycieli Rzymu, jest powołany do panowania nad światem. Na progu XIII wieku profesorowie szkół paryskich, których Filip chętnie słucha i popiera, głoszą otwarcie, że Opatrzność najpierw z Grecji do Rzymu, a potem z Rzymu do Paryża przeniosła stolicę wiedzy. Starzejący się król, który wie, że wojsko Boże pod Bouvines, jest przekonany o tym, że Historia, w sposób zupełnie analogiczny, jego właśnie wybrała, aby powalił herezję i utrzymał w ładzie Bożym całe katolickie i rzymskie chrześcijaństwo.

Osoba Filipa, namiestnika Boskiej mocy, i niesiona przed nim świętość, proporzec symbolizujący opiekę nad wojskiem świętego Dionizego, patrona królestwa, stanowią na szachownicy Bouvines centrum obozu białych. Dzięki obejmującemu wszystkich jego uczestników stosunkowi hierarchii, obóz ten tworzy jeden zwarty korpus. Najbliżej króla Francji znajdują się, niczym wieże królewskiej obrony, członkowie jego rodu. Brakuje syna pierwородnego, który prowadzi akurat w imieniu królewskim wojnę na Południu, a także drugiego, jeszcze zbyt młodego. Obecni są za to dwaj stryjeczni bracia króla: jeden Robert, hrabia Dreux, nieco od niego starszy, drugi Piotr z Courtenay, hrabia Auxerre, nieco młodszy, który przywdzieje kiedyś cesarski diadem Konstantynopola. Obecny jest jeszcze jeden Kapetyńczyk, ale dalszego pokrewieństwa: Odon, książę Burgundów, pan jednego z pięciu wielkich księstw, którego nazwa dźwięczy jeszcze w łonie królestwa echem wspólnot etnicznych rodem z bardzo głębokiego średniowiecza. On również jest w wieku króla.

Teraz, wedle godności, kolej na hrabiów. Raul hrabia Soissons, dawny szwagier Roberta z Dreux; Jan hrabia Beaumont; Gaucher z Châtillon hrabia Saint-Pol, bratanek hrabiego Dreux i kuzyn Filipa Augusta; niedawny wróg króla Francji Arnulf hrabia Guines, który rok wcześniej najechał jego ziemie, ale obecnie stoi po stronie króla, jego własne włości dopiero co zostały obrabowane i spalone przez Flamandów. Należy tu jeszcze umieścić, mimo że brak im hrabiowskich tytułów, Mateusza z Montmorency, którego żona, córka hrabiego Soissons, jest siostrzenicą Roberta z Dreux; ich krewnego, wicehrabiego z Melun; a także Jana z Nesle, siostrzeńca hrabiego z Soissons, szwagra hrabiego Saint-Pol, a zarazem kasztelana Brugii, który, mimo że posiadłości jego rozciągają się na Pikardię i Flandrię, stoi wiernie po stronie Francji. Wszyscy oni należą do tego samego pokolenia co król. Jeden tylko spośród tej starszyny uchodzić może za młodzika, Henryk hrabia Bar, który objął już funkcje po ojcu, lecz zwany jest Młodym, ponieważ nie wstąpił jeszcze w związek małżeński. Ten, bardziej może od innych porywczy, młody mężczyzna, walczy również w gronie rycerzy drużyny (*mesnie*) królewskiej.

Wokół królewskiego, ozdobionego kwiatem lilii sztandaru skupia się grupa jeźdźców. Konie ich napierają z bliska na boki królewskiego rumaka. Grupa ta składa się z najstarszych towarzyszy Filipa, z jego odwiecznych przyjaciół, towarzyszy zabaw i uczt. Bartłomiej z Roye, Walter Młodszy, Jan z Rouvray, Wilhelm z Garlandii. Prawie wszyscy są w wieku króla.

W pałacu i poza pałacem pełnią funkcje zarządzających. Natomiast Piotr Mauvoisin („Zły Sąsiad”) i Gerard zwany Maciorą pochodzą obaj z Lotaryngii i działają z ramienia hrabiego Bar. Dalsze lub bliższe powinowactwa łączą wszystkich tych mężczyzn z rodem Kapetyngów i z hrabiowskimi rodzinami: Wilhelm z Garlandii jest, przez swą żonę, kuzynem Roberta z Dreux, szwagrem hrabiego Saint-Pol i teściem hrabiego Beaumont. Wilhelm z les Barres – zwany również Barryczykiem – stoi na czele dużej grupy, a sława jego rozniosła się szerokim echem po dworach, od kiedy w Saint-Jean-d'Acre, na oczach całej armii krzyżowców, walczył na kopie z Ryszardem Lwie Serce, królem Anglii i ozdobą kwiatu rycerstwa. Wilhelm piastuje urząd seneszala. Jest prawą ręką króla, któremu towarzyszy od lat z górą trzydziestu we wszystkich wyprawach.

Nieliczni rycerze, o których wspomina jeszcze Wilhelm Bretończyk – a niektórzy pod swymi sztandarami przyprowadzili własne oddziały – posiadają prawie wszyscy włości w Pikardii, jak Tomasz z Saint-Valéry, Hugo i Walter z Fontaine, Piotr Tristan, Hugo i Jan z Mareuil, lub w okolicach Soissons, jak np. bracia z Condune. Dwóch tylko pochodzi z Normandii, ale obaj od dawien dawna są wasalami króla Francji: zarówno Stefan z Longchamp, uważany za pechowca, jak i Wilhelm z Mortemer.

Znajdziemy również pośród walczących dwóch, uzbrojonych po rycersku, prałatów świętego Kościoła. Jeden z nich, Filip, brat hrabiego z Dreux, biskup

Beauvais, mimo duchownej sukienki oddaje się z zapalem walce, lecz nie za pomocą miecza – mógłby wtedy przelać krew, co jest niedozwolone – lecz po prostu maczugi. Mści się za stare urazy. Drugi duchowny to brat Guérin, „Wybraniec” z Senlis. Godny uwagi jest fakt, że mimo braku święceń został mu już przeznaczony fotel biskupi. Tak wielka godność wynagradza go za wieloletnią służbę królowi. Od chwili wstąpienia Filipa na tron stale wspomagał młodszego od siebie o lat osiem króla zarówno radą (jako rycerz zakonu szpitalników posiadał sztukę techniki wojskowej), jak i bronią. On jest Nestorem tej Iliady.

Wilhelm Bretończyk wymienia z nazwiska tylko jednego pachołka, Piotra z la Tournelle – postać wyjątkową; mimo nieszlachetnego urodzenia jest on tak waleczny, że mógłby należeć do rycerstwa – i jednego człowieka spośród piechoty, który z kolei jest bardzo typowym przedstawicielem swego stanu: wrodzona mu nikczemność sprawia, że tchórzliwie rani nożem w twarz hrabiego Flandrii. Wśród piechoty istnieją jednak zgrupowania, obdarzone odrębną osobowością, a chodzi tu o komuny miejskie. Są to sprzysiężeni mieszkańcy kilku miasteczek i wsi, którzy w zamian za określone przywileje zobowiązują się wobec króla do pewnych usług. Oprócz dotychczas istniejących komun król Filip dla potrzeb obecnej wyprawy utworzył немало nowych takich zgromadzeń. Albowiem w razie niebezpieczeństwa wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni należący do danej komuny podlegają mobilizacji. W przypadku bardziej odległych wypraw woj-

skowych członkowie komuny wspólnym wysiłkiem dostarczają określoną liczbę żołnierzy lub niezbędną do opłacenia żołnierzy najemnych ilość denarów. Pochodzące z 1204 roku spisy, zawarte na początku najstarszego z zachowanych do dziś kapetyńskich rejestrów, dowodzą istnienia trzydziestu dziewięciu komun, rozrzuconych od Artois do Poitou i od Normandii do Sens. Członkowie siedemnastu spośród nich obecni są pod Bouvines; reprezentują oni siedziby biskupie Noyon, Soissons, Amiens i Beauvais, miasta handlowe Arras, Montdidier, Montreuil, Hesdin, Corbie, Roye, Compiègne, a także federacje komun wiejskich, jak Bruyères, Cerny, Crépy-en-Laennais, Grandelain, Vailly i jeszcze jedną, której nazwa się nie zachowała.

Wszyscy występujący aktorzy, zarówno wielcy, jak i mali, zarówno sławni, jak i nieznani, poruszają się w poplątanej sieci niezliczonych wzajemnych zobowiązań i tworzą dzięki temu pewną całość o niezwykle spójnym charakterze. W grę wchodzi przede wszystkim więzy rodzinne; bowiem mimo egzogamicznych zakazów, do których przestrzegania nakłaniał Kościół w imię walki z jak najszerzej pojętym kazirodztwem, czynią one z ogółu rycerstwa, zarówno poprzez więzy krwi, jak i powinowactwo, jedną wielką rodzinę. Więzy te uzupełniają zależność wasalną, pomagają zachować zaprzysiężoną wierność, nie pozwalają dopuścić się zdrady, za którą grozi utrata lenna. Jeszcze bardziej decydującym czynnikiem jest długotrwała przyjaźń między rycerzami. Nawiązywana już w dzieciństwie, rozwija się podczas wspólnego giermkowania na dworze

pana, a przypieczętowana zostaje w Zielone Świątki wspólnym, uroczystym pasowaniem na rycerza; następnie podsycana jest przez lata polowaniem i wojną, radością wspólnych wypraw o świcie i wspólnym chwytniem najświetniejszych zdobyczy, których udział następuje wieczorną porą przy winie. Mimo że skażona kłótniami, niecierpliwością i wzajemnymi zaczepkami, leży u podstaw rzeczywistej jedności zgromadzonych pod sztandarami drużyn. Przyczyniają się do niej również więzy sąsiedzkie, a także poczucie przynależności do tego samego kraju, kraju, którego trzeba wspólnie bronić, a sławę jego powiększać. Takie oto sprawy łączą rycerzy i giermków zebranych wokół pana, władającego najmocniejszą okoliczną twierdzą lub obdarzonego hrabiowskim tytułem; one również leżą u podstaw braterstwa panującego w drużynach wywodzących się z komun.

*Ost* króla Francji to szereg mocnych więzów spójonych przyjaźnią dowódców i ludzie, w większości rówieśnicy, złączeni więzami krwi. Największa część przynależnych do niego wojowników pochodzi z okolic położonych w sąsiedztwie pola bitwy: z Artois, Pikardii, Soissonnais, Laonnais, Thiérache. Nieobecne są komuny z Ile-de-France i z Vexin, bowiem nie można było pozostawić Paryża bez żadnej obrony. Niewielu też jest pochodzących z tych dwu okręgów rycerzy, z których część walczy w tym czasie na Południu, w okolicach miasta Albi, pod dowództwem Szymona z Montfort, a część pod dowództwem księcia Ludwika nie opodal Andegawenii. Przybyło natomiast w ślad za

swym panem rycerstwo burgundzkie. Obecne jest również rycerstwo Szampanii, lecz nie przywiódł ich książę; ma on wówczas zaledwie dwanaście lat. Ani jednego z Burgundów czy mieszkańców Szampanii nie wymienia Wilhelm Bretończyk z nazwiska: dla niego są to już cudzoziemcy. Normanów też jest niewiele, jako że kraj ten przyłączony został niedawno dopiero do królestwa i nie jest całkiem pewny – rycerze łatwo mogliby przejść na stronę przeciwnika. Nie ma natomiast ani jednego rycerza, pachołka lub piechura z Południa; tamtejsze krainy to inny świat. Królewska armia pod Bouvines wywodzi się cała ze starej Francji, to armia frankijska.

\* \* \*

Od razu można zauważyć, że obóz przeciwnika jest bardziej niejednorodny. Wrą w nim rozmaite intrygi. Kościół rzymski obłożył go klątwą. Obóz ten jest nieczysty i padł na niego cień zła. Weźmy na przykład króla czarnego: w przeciwieństwie do króla białych, ma on dwa oblicza. Jedno z nich, zakryte, to twarz króla Anglii, Jana bez Ziemi A przecież ta właśnie twarz jest prawdziwa. To właśnie Jan kieruje z daleka całą grą. Jest tylko o dwa lata młodszy od króla Filipa, ale będąc ostatnim z synów Henryka Plantageneta nie dostał żadnego apanażu, stąd jego przydomek. Pokrzywdzony przez los, ani przez chwilę nie zaprzestał zdrady i spisków, najpierw przeciwko własnemu ojcu, potem przeciwko bratu, Ryszardowi Lwie Serce; wtedy złożył hołd królowi Francji, który judził go, wyśmiewając się



z niego ukradkiem. Pomimo wszystko, Ryszard nakazał na łożu śmierci baronom angielskim złożyć przysięgę na wierność Janowi. W wieku lat trzydziestu dwóch Jan został więc nareszcie królem i – a tego pragnął ponad wszystko – władcą ogromnych ziem senioralnych, które ojciec jego i matka, Alienor, posiadali na kontynencie: hrabstwa Andegawenii, tej kolebki rodzinnej, księstwa Normandii, które ze względu na kluczowe położenie tuż obok Paryża miało ogromną wartość, a także księstwa Akwitanii. Niezrównoważony, niezdolny pokierować przez dłuższy czas jakimkolwiek przedsięwzięciem wojskowym – dlatego też wyśmiewano jego „miękki miecz” – okrutny i zdradziecki bardziej, niż było to dozwolone księciu jego rangi, oddany zgubnej namiętności do kobiet (czyżby i tutaj chodziło o „miękki miecz”?), Jan bez Ziemi spędził życie na gwałceniu wszystkich istniejących zakazów moralności chrześcijańskiej i etyki rycerskiej. Współcześni mu twierdzą, że matka jego była czarownicą, że on sam miał w sobie diabelską krew i zgnił już ze szczętem od środka, że zupełnie oszalał, opętany przez czary i uroki. Dla Anglika Fulka Fitz-Warin „król Jan był człowiekiem pozbawionym sumienia, złym, skorym do sprzeczki i przez wszystkich dobrych ludzi znienawidzonym, a zarazem płaszczącym się tchórzem. Jeśli zasłyszał o jakiejś pięknej pani lub panience, żonie lub córce jakiegoś hrabiego, barona lub kogo innego, pragnął ją zniewolić, łudzając obietnicą lub darem, porwać siłą.”

Tragiczny ten kapryśnik odrzucał wszelkie propozycje zgody. Przez cztery lata pozostawał pod klątwą,

ponieważ w podobny sposób, jak żony swoich wasali, potraktował angielskie opactwa. Całe królestwo obłożone było wówczas klątwą, zabronione zostały wszelkie uroczystości liturgiczne, ku wielkiej rozpaczycy ludu, który błagał króla o okazanie skruchy, co uczynił na rok przed bitwą i werbalnie pogodził się z papieżem.

W lipcu 1214 roku Jan bez Ziemi przebywa z dala od Bouvines; oddalony o wiele dni drogi, wojuje nad Loarą, na ziemi przodków, w kraju, który rzeczywiście mógłby nazwać swoim. Ale stało się to z jego woli; to rozdane w jego imieniu czterdzieści tysięcy srebrnych monet było sprężyną bitwy.

Na samym polu bitwy zastępuje go inny król. Jakiegoś króla tam też było trzeba. Jest nim król niemiecki, Otton Brunszwicki. Jest siostrzeńcem króla Jana, synem jego siostry i księcia Saksonii, gwelfa Henryka Lwa. Jest jeszcze młody. Nie bardzo wiadomo, kiedy dokładnie się urodził: jedni podają, że w 1182 roku w Normandii, drudzy, że około 1175 roku w Niemczech. Pewne jest, że wychował się na dworze Ryszarda Lwie Serce. *Superbus et stultus, sed fortis* (pyszny i głupi, lecz odważny) – mówi o nim kronika z Ursperg. Ponieważ brat jego przebywał wtedy w Ziemi Świętej, ponieważ pięćdziesiąt koni z pięćdziesięcioma tysiącami srebrnych monet na grzbietach przybyło wraz z nim z Normandii, ponieważ król Ryszard miał wpływ w Nadrenii i nienawidził ówczesnego króla Niemiec, Hohenstaufa Filipa Szwabskiego, właśnie Ottona arcybiskup Kolonii przedstawił do wyboru kilku książętom niemieckim w 1198 roku, a następnie ukorono-

wał w Akwizgranie. Przez dziesięć lat ów antykról z ramienia partii gwelfów prowadził przeciwko swemu rywalowi niezbyt fortunną wojnę podjazdową. W 1208 roku uśmiechnęło się do niego szczęście. Kiedy został zamordowany Filip Szwabski, Otton poślubił jego córkę, przyjął do siebie na służbę jego doradców, zasypał ich angielskim złotem, sprawił, że wybrano go ponownie i następnego lata udał się do Italii, aby starać się o cesarski diadem, do którego uprawniał go tytuł króla Niemiec, krew i noszony przezeń tytuł drugiego odnowiciela Cesarstwa Zachodniego. Wywiódł w pole papieża, który nieopatrznie, zapominając, że w żyłach Ottona również płynie krew zdrajców, ukoronował go. I Otton natychmiast zdradził. Na wszystkich frontach przeciwstawiał się polityce Stolicy Apostolskiej i dwukrotnie obłożony został klątwą, raz w 1210 i następnie 1211 roku; 27 lipca 1214 roku klątwa owa zachowywała nadal swą moc. Za radą Filipa Augusta papież spowodował wybór w Niemczech nowego króla: jest nim Fryderyk Stauf, ukoronowany w wieku 15 lat, w 1213 roku, w katedrze w Moguncji.

Wyklęty i złożony z tronu cesarz, zwalczany w swoim własnym kraju, ścigany zemstą Boską, ściąganą na jego głowę przez biskupa Rzymu, znalazł się pod Bouvines, gdzie zwabiły go, jak zwykle, pieniądze angielskiego króla. Ale przybył również dlatego, że wiedział, iż spotka tam swego osobistego wroga, najbardziej zawziętego, tego, który stoi na drodze do jego zwycięstwa. Wiadome jest mu bowiem, że król Francji Filip intryguje przeciwko jego władzy i pretenduje do

dziedzictwa po Karolu Wielkim. Ottona otacza jego własny dwór oraz liczna i waleczna piechota, którą najął w krainie nadreńskiej i nad Mozą, gdzie pełno jest takich przygodnych żołnierzy. Z Saksonii i Dolnej Lotaryngii, tych części Cesarstwa, w których gibelin jest niepopularny, przybyło mu na odsiecz kilku panów: jego własny teść, książę Brabantu – lecz jest on również zięciem Filipa Augusta, co czyni go stronnikiem bardzo niepewnym, gotowym do zmiany frontu — „kosmaty” hrabia z Holandii oraz czterech innych hrabiów z Saksonii i z Nadrenii; ci są najwierniejsi, a każdy z nich przywiódł ze sobą drużynę rycerzy.

Po stronie Ottona Brunszwickiego jest jeszcze trzech książąt, nie pochodzących jednak z Cesarstwa. Wyłącznie okoliczności, a nie pokrewieństwo, przyjaźń lub przysięga wasala wiążą ich z królem Niemiec. Nienawiść do Filipa Augusta oraz subsydia króla Anglii spowodowały, że stanęli po stronie Ottona. Hrabia Salisbury Wilhelm Długi Miecz, nieślubny syn Henryka II i brat przyrodni Jana bez Ziemi, to jeden z największych zabijaków tamtych czasów. Dwadzieścia lat wcześniej, kiedy Ryszard Lwie Serce zlecił mu organizację turniejów, udawał jeszcze bohatera w królestwie Anglii. Ale w roku 1214 nasz fanfaron się zestarzał. Natomiast hrabia Flandrii, Ferrand, ma lat zaledwie dwadzieścia osiem, jest młody i porywczy. Jest synem króla Portugalii, a hrabstwo otrzymał dzięki swej żonie i nie może przeboleć, że dwa lata wcześniej, zaraz po ślubie, aby zostać wasalem króla Francji i otrzymać lenno, zmuszony był oddać nowemu panu, jako poda-

tek od spadku, dwie kasztelanie: Aire i Saint-Omer. Potem zerwał, i to zerwał niegodnie, swoją służbę lenną; rok temu król Filip spustoszył jego włości. Ferrand nie nawidzi go.

Trzeci wielmoża to hrabia Boulogne, Reginald z Dammartin. Własnością jego rodu była jedna z najsilniejszych twierdz Ile-de-France, a dziadek jego pełnił urząd skarbnika na dworze kapetyńskim. On sam wychował się na tymże dworze. W tym samym wieku co Filip August, był towarzyszem jego dzieciństwa i ręką króla pasowany został na rycerza. Jeszcze za czasów bujnej młodości dopuścił się zdrady w stosunku do Filipa, swego przyjaciela, ojca chrzestnego i seniora, co oczywiście popchnęło go w ramiona króla Anglii. Do kogóż innego miałby się zwrócić? Dwór Plantagenetów przygarniał wszystkich zdrajców; już ojciec jego w swoim czasie tam właśnie się schronił. Lecz Filip niezwłocznie dopuścił go powtórnie do łask i, aby sementować przyjaźń, wydał za niego swą cioteczną siostrę Marię z Chatillon. Jednak w roku 1190 Reginald rozstał się z żoną; zarysowała się przed nim zdobycz niesłychana, bardzo bogata dziedziczka, kobieta już dojrzała, wdowa po hrabim Boulogne. Wszyscy „młodzieńcy” z wysokich sfer zalecali się do niej i pragnęli poślubić, Reginald sprzątnął ją sprzed nosa Arnulfowi z Guines i został w ten sposób hrabią. Z tej fantastycznej zdobyczy zrodziła się sieć zacieklej zawiści – zawiści typowych między rodami, które potem często są podłożem rozmaitych perypetii polityki matrymonialnej, które rządzą postępowaniem rycerzy, a które uczy-

niły z hrabiego Guines, ale również z hrabiego Saint-Pol i całej rodziny z Dreux jego wrogów. Zawieść owa pozwala w dużej mierze zrozumieć postępowanie hrabiego Boulogne w stosunku do dworu francuskiego: od tej pory otaczali go tam wrogowie. Przez czas dłuższy ten wielce przystojny mężczyzna, waleczny rycerz, pan na najdogodniejszym porcie pomiędzy Francją i Anglią, hodowca najlepszych wierzchowców, władca zimnych mórz i łowisk śledzi, który na polu buwińskim przypiął sobie do hełmu dwa wielorybie fiszbiny, lawirował między dwoma królestwami. Jeszcze dziesięć lat wcześniej bronił dzielnie w Normandii interesów Filipa Augusta, a po zdobyciu Château-Gaillard król obsypywał go łaskami, wydał za brata Reginalda swoją siostrzenicę i zaręczył swego dopiero co narodzonego syna, Filipa Hurepela, z córką Reginalda. Boulogne warte było tego. A jednak teraz, od pięciu lat, Reginald z Dammartin, pewny kapetyńskiej nienawiści, należy do koalicji, którą utworzyli przeciwko Filipowi Jan, Otton i inni skrzywdzeni przez niego możnowładcy.

Spośród zgrupowanego pod sztandarami rycerstwa, zarówno z obozu koalicji, jak i z obozu Filipa, najwięcej wiemy o rycerstwie Flandrii, a to dlatego, że z niego właśnie pochodzi najwięcej jeńców spod Bouvines. Dokładny spis wyznaczonych za nich okupów dostarcza nam też nazwisk. Wyróżnia się kilka postaci: Walter z Ghistelle i Buridan z Furnes, Arnulf z Audenarde, który sprzeciwił się w 1212 roku małżeństwu Ferranda z dziedziczką hrabstwa i który często udaje się do Anglii. Oddzielna postać to Hugo z Boves. Najmłodszy

syn najmłodszej linii pikardzkiego rodu panów na Marle i na Coucy, którego przywódcy stoją po stronie kapełyńskiej, poluje na majątek; w swoim czasie zabił jednego z namiestników króla Filipa i z tego powodu musiał uciekać. A dokąd mógł uciekać? Do Jana bez Ziemi. Teraz rozdziela angielskie bogactwa: to on przyznaje prezenty i żołd. W oczach wszystkich obecnych najbardziej przekupny z najemników to właśnie on.

Najemnicy wojują po stronie zła, po stronie przeklętej. Wspierając piechotę niemieckiego króla i silne bandy komun flamandzkich, „Brabantczycy” walczą pieszo, zwartą grupą, szeroką falangą, jak to potrafią tylko zawodowi żołnierze, biorący udział w prawdziwej wojnie, tej, która niesie śmierć. Bóg ich nienawidzi. I zemści się. Dwa lata później wykończy Hugona z Boves, który ich najął, i zatopi go w morzu. Na razie opowieść ukazuje Brabantczyków walczących pod rozkazami Reginalda z Boulogne, który, o zgrozo, jak prawdziwy rozpustnik, wiezie ze sobą konkubiny. Z *routiers* czyni sobie osłonę i ostatnie schronienie dla swej nikczemności.

Pośród żołnierzy zła mamy także rozliczne wspólnoty interesów, łączące równie silnie jak w obozie dobra poszczególne grupy rycerzy, drużyny jeźdźców, oddziały ludzi z komun i kompanie najemników. Lecz brak pomiędzy nimi prawdziwych więzów. Przywiodły ich pod Bouvines wyłącznie chęć zysku, urazy, stare porachunki i troska o uniknięcie zemsty przeciwnika. Tak wyglądają czarni: więź między nimi niedoskonała,

bo brak im wspólnego celu. To biali zagrają naprawdę. I oni także zwyciężą.

\* \* \*

Rzecz dzieje się w Bouvines, tuż przy moście. Most ma znaczenie kapitalne. Tylko ten most i ciągnący się na jego przedłużeniu, na wschód w stronę Tournai i Hainaut, na południe w stronę Arras i Pikardii, trakt pozwalały w tamtych czasach przebyć dolinę rzeki Marcq, jej bardzo szeroko rozlany odcinek, pełen stojących wód, oddzielający od siebie dwie niziny; ryzykowne to było przedsięwzięcie, zwłaszcza po obfitych deszczach zimowych i wiosennych, jak to miało miejsce w 1214 roku. Tuż przy przejściu istniejąca od wieków wioska, własność mnichów z Saint-Amand, kilka drzew, nieco dalej, na skraju posiadłości, ufundowany przez Karolingów klasztor. Przebyć i zająć most oznaczało wznieść za sobą zaporę, za którą można się było bezpiecznie zatrzymać na postój, rozbić obozem, odzyskać siły, odczekać – co już w tymże właśnie miejscu Filip August uczynił dwa dni wcześniej. Ale przed mostem, na wschód, rozciąga się niewielka nizina, szeroka na jedną milę, długa na pięć, otoczona po bokach lasami. Środkiem zaś ciągną się tzw. *coûtures*, czyli szerokie połacie żyznej, zbożowej ziemi, na której 27 lipca rozpoczęto już żniwa i która jest jakby stworzona do zamaszystych jazd. Miejsce to, z wyglądu przypominające Pikardię, należało wówczas do hrabstwa Flandrii. O kilka kilometrów dalej, na wschód, ciągnie się wzdłuż rzeki Skaldy granica pomiędzy królestwem



Francji a Cesarstwem; niewiele dalej, na wschód, znajduje się hrabstwo Artois. Tam już król Filip jest u siebie; niegdyś było to dziedzictwo jego żony, teraz senioria pierworodnego. W Bouvines spotykają się ziemie flamandzkie, cesarskie i kapetyńskie.

\* \* \*

W tym to miejscu, między godziną dwunastą a piątą po południu, przecięte zostaną najbardziej splątane węzły zasupłanych od pewnego czasu w Europie intryg politycznych. U podstaw konfliktów leży życie: urazy i zawiści przywódców band, porywczość ludzka, sprawy rodzinne, rozwody, cudzołóstwa, niewybaczone afronty, które trudno przeboleć, nie dotrzymane obietnice, zdradzone przyjaźnie, pożądlivość i chęć wywyższenia się ponad innych, powalenie do stóp rywala po to tylko, aby go potem z dobrotliwym uśmiechem podnieść. Do walki o interes rodowy, o dwór, o dziedzictwo konflikty wciągają mężczyzn, gniewnych i przebiegłych, poządlivych i wspaniałomyślnych, mężczyzn przyzwyczajonych od dzieciństwa, od chwili gdy opuścili świat niewieści, do nieustannej konkurencji i starć. Bouvines to pojedynek zazdrośników, przybyłych na pole bitwy, aby zaznać rozkoszy bijatyki. Ale bitwa wiąże się również z polityką. Albowiem powolne wydobywanie się Zachodu z epoki zdziczenia i ubóstwa spowodowało stopniowe umocnienie niektórych seniorii. Zwłaszcza tych, które miały możliwość pobierania coraz większej ilości pieniądza: z jarmarków, z portów, z dużych miast i handlowych traktów, a także

od instytucji religijnych i handlowych, które potrzebo-  
wały pokoju, a więc nie skąpiły grosza na ten cel. Nie-  
którzy książęta i panowie, posiadający dziedziczną od  
dawien dawna władzę sprawowania nad całą okolicą  
sądu i karania, otoczeni przez kleryków, kształconych  
w rachunkach i prowadzeniu ksiąg i mających, dzięki  
uzyskanemu wykształceniu, nieco mniej prymitywne  
pojęcia o życiu, zdołali z powrotem narzucić pewne za-  
sady, których rozkład, zwany feudalnym, uczynił od  
bardzo dawna pustą literę prawa. Czy to okoliczny hra-  
bia, czy książę lub nawet król zaczynają powoli ukró-  
cać wybuchające co wiosną zamieszki, podczas których  
z każdego zamku, pod pretekstem obrony honoru, wy-  
fruwa niewielki rój konnych rozbójników, czyhających  
na pierwszą lepszą okazję do łupu. Zwierzchnik dyspo-  
nuje środkami, by zmusić partnera do przestrzegania  
etyki wasala i obowiązków lennych, związać ze swoją  
osobą pomniejszych panów, zgromadzić z ogólnym po-  
żytkiem całe rycerstwo danego okręgu pod wspólnym  
sztandarem, narzucić swoje sądy, ukarać wiarołom-  
ców, dowodzić na odległość dzięki najemnym pośred-  
nikom, a także zmusić do posłuszeństwa dlatego, że  
może więcej zapłacić, nająć żołnierzy. Poszerza się  
więc znacznie horyzont takiego pana. Co prawda, za-  
chowanie jego nie różni się niczym od zachowania pod-  
ległej mu gromady hreczkosiejów. Wszelkie decyzje  
podyktowane są żądzą władzy oraz zazdrością. Ale  
przeciwników ma równych sobie, panów na takich jak  
on włościach. I tym sposobem wojna przenosi się w in-  
ny wymiar, mimo że obraz jej pozostaje bez zmian.

W czasach, o których mówimy, pięć najważniejszych spraw zaprzęta uwagę możnowładców. Trzy z nich dotyczą całego chrześcijaństwa. Mając silne zabarwienie religijne, zwracają spojrzenia wszystkich na peryferie świata chrześcijańskiego. Najbardziej aktualna jest, bez wątpienia, sprawa Ziemi Świętej. Problem ten nie tylko nie znajduje rozwiązania, lecz ciągle się zaostrza. Ani wyprawa krzyżowa z 1190 roku, ani czwarta wyprawa krzyżowa z roku 1204, która zakończyła się złupieniem Konstantynopola, nie zdołały wyrwać Jerozolimy z rąk niewiernych. Papież chciałby rozwiązać ten problem w pierwszej kolejności i sprawa ta zaprzęta całą jego uwagę. W tym celu dokłada wszelkich starań, aby zmniejszyć istniejące w łonie ludu Bożego spory: ważne jest, aby rycerze przestali się bić między sobą i bawić we wzajemne wyniszczanie, a zjednoczyli swe siły w pogoni za niewiernymi, których powinni pokonać. Dodatkowa trudność i druga sprawa do rozwikłania to napór Maurów w Hiszpanii. Lecz właśnie została ona rozwiązana za pomocą jednej, jedynej bitwy: Las Navas de Tolosa. Tak samo jak trzeci problem chrześcijaństwa, herezja z Albi, zaraza zagrażająca wierze od wewnątrz, rozwiązany został również podczas jednej bitwy: bitwy w Muret. Pozostają jeszcze dwa ostatnie konflikty, dla których religia ma znaczenie znikome, jest dla nich bronią, pretekstem lub usprawiedliwieniem. W tych dwóch konfliktach ścierają się ze sobą cztery największe mocarstwa chrześcijańskiej Europy: papież, cesarz, król Francji i król Anglii. Trwa to od lat. Sprawy uległy takiemu splątaniu, że

trudno jest jedną od drugiej oddzielić, a w latach poprzedzających bezpośrednio Bouvines nasilenie ich osiągnęło stadium krytyczne.

Tak jak i w feudalnych księstwach, koncentracja władzy dokonała się również w łonie Kościoła. Na progu XIII wieku proces przekształcania się Kościoła w monarchię, i to jedną z najtrwalszych, ma się już ku końcowi. Co więcej: stojący na czele monarchii następca świętego Piotra pragnie zapanować nad światem i w imię prymatu ducha przewodzić, odwoływać, karać, a w razie potrzeby pozbawiać godności wszystkich jego możnowładców. Lotario hrabia Segni, który w roku 1198 został papieżem w wieku lat trzydziestu siedmiu i przybrał imię Innocentego III, jest jeszcze bardziej niż jego poprzednicy przekonany o wyższości stolicy rzymskiej. Ma również w ręku wszelkie atuty, aby jej rzeczywiście tę wyższość zapewnić. Legaci papiescy są zamieszani wszędzie w książęce intrygi i nawołują do pokoju w imię wyprawy krzyżowej. Liczni książęta otrzymali swe dobra w lenno od świętego Piotra, czyli właśnie od papieża. Ostatnio także Jan bez Ziemi. Jednakże jeden człowiek przeciwstawia się papieżowi. Człowiek, który piastuje urząd równie jak on uniwersalny: jest nim cesarz. Nie darmo cesarscy dworacy studiowali prawo rzymskie w bolońskich szkołach, teraz cesarz nazywa siebie spadkobiercą cesarów i pragnie nim być naprawdę. Cesarza mianuje papież. Zarówno dać, jak i odebrać pozostaje w jego mocy, więc może również cesarza odwołać. Ale cesarz, od czasów Karola Wielkiego i Ottona Wielkiego, jest przekonany

o tym, że sam Bóg obarczył go zadaniem oczyszczenia w razie potrzeby kurii rzymskiej, a nawet wypędzenia papieża, który okazałby się niegodnym. W każdym razie ma udzielać ochrony zagrożonemu drobnemu panu lennemu, jakim jest w Mieście i wokół Miasta biskup rzymski. W tej samej mierze, co wzrost potęgi ścierających się mocy i ideologii, również interesy papieżstwa w Italii przyczyniły się pięćdziesiąt lat wcześniej do rozjątrzenia odwiecznej rywalizacji. Przeciwno potomkom Fryderyka Barbarossy, którzy żądali korony niemieckiej, cesarskiego diademu i panowania nad północną Italią i z których jeden odziedziczył na dodatek królestwo Sycylii, Innocenty III popierał w Niemczech ich przeciwników, gwelfów. Postawił na Ottona Brunszwickiego. Wiemy, że Otton zawiódł zaufanie i zdradził. Ekskomuniki, którymi papież go obłożył, to jakby pierwsze objawy gniewu gracza, który zbiera dopiero swe karty. W roku 1214 postawił przeciwko siostrzeńcowi Jana bez Ziemi na kartę Fryderyka Hohenstaufa; ale i ona okazała się fałszywa.

W tym punkcie papieskie zamiary odpowiadają zamiarom Filipa Augusta i oba konflikty łączą się w jeden. Nie rozwiązana od stu pięćdziesięciu lat sprawa zaostrza się coraz bardziej. Stosunki między Kapetyngiem a jego najbogatszym wasalem, niezręczne od czasu, gdy książę Normandii zostaje królem Anglii, napięta się do ostateczności, gdy Plantagenet, hrabia Andegawenii, rozciąga swą władzę na księstwo anglo-normandzkie, a następnie na ogromne księstwo Akwitanii. Od tej chwili król Paryża zmuszony jest walczyć,

ile tylko starczy mu sił, aby rozdrobnić tak wielką potęgę, łatwo mogącą przyćmić jego własną. Filip usiłuje zrealizować ten zamiar od chwili wstąpienia na tron. W tym celu powraca wcześniej z Ziemi Świętej, zbliża się do Staufa i każdego lata zadaje sobie trud wojowania to tu, to tam przeciwko Ryszardowi Lwie Serce, który do śmierci zachowuje przewagę. Ale później, mając Jana „miękki miecz” za przeciwnika, król Francji znajduje się w lepszej pozycji. Od razu robi użytek z prawa feudalnego. Przy pierwszej okazji Jan bez Ziemi skazany zostaje przez sąd kapetyński na konfiskatę całego lenna za felonię. Filip pośpiesza z wykonaniem wyroku, udaje mu się zająć Normandię i Andegawenię, za co obwołany zostaje Augustem. Mimo że pozbawiony dziedzictwa, król Anglii stawia stanowczy opór; gromadzi wokół siebie wszystkich francuskich baronów skłóconych ze swym panem, którzy stawiają się na wezwanie ze strachu, z niechęci lub w nadziei na szantaż. Zbiera również, skąd może, pieniądze, których w Anglii nie brakuje i dzięki którym prowadzić może wojnę bardziej skuteczną. Nie zważając na klątwy rzucone przez papieża, przywłaszcza sobie pieniądze angielskiego Kościoła. Umie też świetnie podsycać nienawiść, jaką żywi do Filipa Reginald z Boulogne i Ferrand z Flandrii, wodzi za nos Ottona, obietnicą wysokich zarobków i grabieży zdobywa dla swej sprawy wszystkich najemnych rycerzy z Niderlandów. Tak wygląda zebrana przez niego potężna siła wojskowa, która zajdzie rywala od północy. On sam, jako że ojciec

jego pochodzi z Andegawenii, a matka z Akwitanii, zaatakujecie od południa.

Przez cały rok 1213 pionki zajmują miejsca. Filip zawiera ugodę z Innocentym III. Aby mu się przypodobać, sprowadza na dwór Ingeborgę. Papież ogłasza, że pozbawia Jana korony i oddaje Anglię na łup Kapetynga, który szykuje się do przebycia morza. Wtedy to hrabia Ferrand zrzuca maskę i przechodzi na stronę przeciwnika. O wyprawie za kanał La Manche nie może już być mowy; w ostatniej chwili Jan bez Ziemi kory się przed wysłannikami papieża. Wyprawa króla Francji wyrusza więc na podbój Flandrii. Była to zwykła, łupieżcza wycieczka, lecz pozwoliła ona Filipowi ocenić zawziętość przeciwnika: udaje mu się spalić Lille, a następnie Cassel i Douai, lecz traci flotyllę i miasto Tournai, podczas gdy Ferrand i Reginald docierają konno prawie do granic miasta Arras. W lutym 1214 roku nadchodzi wiadomość, że Jan wylądował w La Rochelle, w otoczeniu licznych żołnierzy, i że ręce ma pełne pieniędzy i chce odzyskać Andegawenię. Ale na wieść o nadejściu Filipa Augusta, który pospieszył na odsiecz, ucieka do Saintonge. Król Francji jest zbyt ostrożny, by puścić się za nim w pogoń. Pod koniec kwietnia pozostawia w Chinon swego syna Ludwika w otoczeniu najmłodszych rycerzy. Sam rusza na północ zmierzyć się z drugim niebezpieczeństwem. Nawołuje towarzyszy z Pikardii, z Ponthieu i z Artois; pospieszą znowu wszyscy tego lata rabować flamandzkie wsie. Z początkiem lipca Otton opuszcza Akwizgran. Dwunastego jest już w Nivelles. Dwudziestego pierw-

szego nadchodzą z Anglii pieniądze na żołd. Dwa dni później Filip konno przybywa z Péronne do Douai. Dwudziestego piątego armia jego rozbija się obozem pod Bouvines i dnia następnego wkracza do Tournai. Tegoż ranka Otton, hrabia Flandrii i hrabia Boulogne znajdują się w Mortagne, u spływu rzek Scarpe i Skaldy, o trzy mile dalej na południe. Wtedy to król Francji odkrywa położenie nieprzyjaciela. Zwołuje radę: kuzynów, księcia, hrabiów i rycerzy z królewskiej drużyny – na której każdy wygłasza swoje zdanie. Zwycięża pogląd, aby nie zagłębiać się dalej w niepewny teren, mając tak liczego wroga za plecami, lecz wycofać się skoro świt w stronę Francji. Armia przekracza ostrożnie buwiński most. Zatrzyma się nie opodal Lille i przyczai wśród bagien.

Powyższy prolog był niezbędny. Teraz zaś posłuchajmy głównego świadka wydarzeń.



# Dzień bitwy

(Relacja Wilhelma Bretończyka)

Teraz zaś trzeba nam opisać prześwietne zwycięstwo dobrego króla Filipa, a to najpiękniej, jak potrafiemy.

W Roku Pańskim 1214 [w onymż czasie, kiedy to, jakośmy rzekli, król angielski Jan wojował w Poitou w nadziei, iż odzyska utracone włości, i uciekł był, tak on sam, jak całe jego wojsko, przed księciem Ludwikiem], potępion i wyklęty cesarz Otton, którego król angielski Jan zwabił na swój żołd przeciw królowi Filipowi, zgromadził wojsk swoich zastępy w Hainaut na zamku w Valenciennes, na ziemiach należących do hrabiego Ferranda, sprzymierzonego z nim przeciw swemu lennemu władcy. Tam też posłał mu król Jan opłacanych z własnej kiesy świetnego rodu wojowników i nieustraszonych w boju rycerzy. Przybyli tedy Reginald hrabia Boulogne, Wilhelm Długi Miecz, hrabia Chester, hrabia Salisbury, książę Limburga, książę Brabantu, którego córkę Otton za żonę pojął, Bernard z Ostemale, Otton z Tecklemburga, hrabia Konrad z Dortmundu i Gerard z Randerode, oraz siła innych hrabiów i baronów z Niemiec, Brabantu, Hainaut i Flandrii. Dobry król Filip do zamku w Peronne zwołał swe rycerstwo, atoli szeregi jego były przerzedzone, jako że syn jego Ludwik wojował w owym czasie przeciw królowi Janowi w Poitou i miał u swego boku znaczne zastępy francuskich rycerzy.

Nazajutrz po dniu świętej Magdaleny król opuścił Peronne i wkroczył z wielką siłą wojska na ziemie Ferranda. Przebył Flandrię, paląc i niszcząc wszystko, co napotkał na swej drodze, i tak dotarł do miasta Tournai, które przeszłego roku Flamandowie podstępem zdobyli i wielkie w nim uczynili zniszczenia. Aliści król posłał doń brata Guerin i hrabiego Saint-Pol, ci zaś bez większego wysiłku je odzyskali. Otton opuścił Valenciennes i dotarł do zamku zwanego Mortagne. Zamek ów został zdobyty siłą i zniszczony przez wojsko króla Filipa, po tym jak wzięto Tournai, które jeno o sześć mil oddalone było.

W pierwszym tygodniu po dniu świętego Filipa i świętego Jakuba król powziął zamiar natarcia na wroga, lecz baronowie mu to odradzili, bowiem dostęp doń utrudniały wąskie drogi. Toteż król, idąc za radą baronów, odmienił swój zamiar i cofać się wojskom kazał, ażeby mogły dotrzeć do hrabstwa Hainaut jakowymś bardziej sposobnym gościńcem, a wkroczywszy, kamienia na kamieniu nie zostawiły. Nazajutrz zatem, a był to dzień szósty przed kalendami sierpnia, król wyruszył z Tournai i pragnął zatrzymać się tego samego dnia w zamku zwanym Lille, ażeby dać wytchnienie sobie i swemu wojsku. Wszelako sprawy potoczyły się inaczej, niż sobie umyślił, bowiem tegoż samego ranka Otton opuścił zamek w Mortagne i co koń wyskoczy podążać jął za królem w zwartym ordynku. Nic o tym król nie wiedział ani też żadne w nim podejrzenie nie powstało, iż ścigany jest przez wrogów. Za sprawą przypadku, czy może zrządzeniem Bożym, wicehrabia

Melun, wraz z kilkoma lekko zbrojnymi rycerzami, odłączył się od królewskich oddziałów i udał się w tę właśnie stronę, z której Otton nadciągał. Takoż i brat Guerin, Wybraniec z Senlis (bratem Guerin go zwiemy, ponieważ śluby zakonne złożył był w zgromadzeniu braci szpitalnych i habit zachował), mąż wielce roztropny, bystrego umysłu i wielkiej przenikliwości, od wojsk się odłączył i za tamtymi pojechał. Oddalili się obydwaj na blisko trzy mile i tak długo jechali, aż wspięli się na wzgórek, skąd zoczyli nieprzyjacielskie oddziały, w wielkim pośpiechu zdążające i ustawione w szyku bojowym. Kiedy to ujrzeli, biskup Guerin bez zwłoki zawrócił i w stronę króla pospieszył, natomiast wicehrabia Melun pozostał na miejscu ze swymi ludźmi, którzy nader lekko uzbrojeni byli. Gdy tylko biskup Guerin, nie straciwszy ani chwili, dotarł do króla i baronów, obwieścił im, iż wrogowie zbliżają się spieszenie w bitewnym szyku, i opowiedział im, co widział: okryte żelazem wierzchowce, rozwinięte sztandary, zbrojnych pachołków i piechurów maszerujących w pierwszych szeregach, co jest nieomylnym zwiastunem bitwy.

Usłyszawszy to, król nakazał zatrzymać pochód wojska, następnie zaś zwołał baronów i zasięgnął ich rady. Ci wszakże niechętni bitwie byli i nalegali, by podążać dalej. Gdy Otton i ludzie jego dotarli do małej rzeczki, przeprawili się przez nią stopniowo, jako że przejście było niełatwe. A kiedy już wszyscy byli na drugim brzegu, zachowywali się tak, jakby chcieli zmierzać do Tournai. Toteż Francuzi pomyśleli, że

wróg tam właśnie się kieruje. Jednakże brat Guerin podstęp przejrzał i wołał z pełnym przekonaniem, iż należy bić się lub też z wielkim wstydem i szkodą odjechać. W końcu zwyciężyło zdanie większości nad mniemaniem jednego. I tak ruszono w dalszą drogę, aż przybyto do niewielkiego mostu, który zwany jest mostem Bouvines (pomiędzy miejscowością Sanghin a osadą Cysoing). Większość wojska była już po drugiej stronie, a król zdjął zbroję i broń porzucił. Wszelako nie był się jeszcze przeprawił przez most, jak mniemali jego wrogowie. A zamiar ich był taki, by, jak tylko król przejdzie przez most, rzucić się bezzwłocznie na pozostałych rycerzy i zabić ich bądź wziąć w niewolę.

Kiedy król pokrzepiał się nieco w cieniu jesionowego drzewa, jako że utrudzon był wielce tak długą jazdą, jak i ciężarem zbroi (nie opodal stała mała kapliczka, wzniesiona ku czci świętego Piotra), przybyli doń wysłannicy tych, którzy znajdowali się w tylnych strażach. Jęli krzyczeć strasznymi głosy, że wróg jest tuż tuż i że sposobi się niecierpliwie do uderzenia na tyły, zaś wicehrabia Melun i towarzyszący mu lekkozbrojni rycerze i kusznicy, którzy powstrzymują zapędy nieprzyjaciela i odpierają ataki, znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie i niełacno im będzie długo stawiać czoło jego zuchwalstwu i zaciekłości. Wtenczas nastąpiło poruszenie w całym wojsku, a król skierował swe kroki do owej kapliczki, o której byliśmy wspomnieli, i wzniósł krótką modlitwę do Pana naszego. Kiedy zjawił się znowu, kazał podać sobie co rychlej broń, po

czym wskoczył na rumaka żwawo, a przepełniony był takim weselem, jak gdyby na gody się udawał czy na inszą zabawę. Wzniósł się wtedy okrzyk poprzez pola: „Do broni! Do broni!” Jęto dąć w trąby i rogi, a oddziały, które już przez most się przeprawiły, zawracać zaczęły. Wówczas też posłano po proporzec świętego Dionizego, który niesiony był przez najpierwszy oddział na czele całego wojska. Nie czekano nań wszakże, bo też i długo nie wracał, aż król pierwszy ruszył co koń wyskoczy i stanął w pierwszym szeregu przedniego oddziału, tak że nic nie dzieliło go od wroga.

Kiedy Otton i jego ludzie ujrzeli, iż król zawrócił, czego nie spodziewali się zgoła, zdumieni się i zdjęła ich nagła trwoga. Skierowali się wówczas w prawą stronę, posuwając się na zachód i rozciągnęli znacznie oddziały, tak że pokryły niemal całe pole. Stanęli po północnej stronie w ten sposób, iż promienie słońca padały im prosto w oczy, a było ono tego dnia niezwykle ostre i gorące. Król rozmieścił swoje szeregi zwrócone twarzą do wroga, po południowej stronie, tak że słońce świeciło Francuzom w plecy. I tak ustawiono oddziały w równym ordynku po obydwu stronach. Pośrodku szeregów francuskich, w pierwszej linii, zajął miejsce król, towarzyszyli mu zaś u boku Wilhelma z les Barres, tego najpierwszego z rycerzy: Bartłomiej z Roye, człek sędziwy i roztropny, Walter Młodszy, szambelan, mąż światły i rycerz przedni a rozważny, Piotr Mauvoisin, Gerard zwany Maciorą, Stefan z Longchamp, Wilhelm z Mortemer, Jan z Rouvray, Wilhelm z Garlandii, Henryk hrabia Bar, młodzian, lecz w boju czynami walecz-

nymi wsławiony, szlachetny siłą i cnotą; a był on kuzy-  
nem króla i właśnie hrabstwo objął we władanie po  
śmierci ojca swego. I było tam jeszcze wielu innych ry-  
cerzy, których tu nie nazwiemy, niepokalanej cnoty  
i zaprawionych w wojennym rzemiośle. Wszyscy oni  
znaleźli się w drużynie królewskiej, jako że umieli naj-  
lepiej strzec osoby króla i znana była ich wierność wo-  
bec niego oraz niepospolita waleczność. Po przeciwnej  
stronie stanął Otton pośród swoich ludzi; godło swe ka-  
zał wznieść, a był to złoty orzeł ponad smokiem, przy-  
twierdzonym na wysokiej żerdzi.

Zanim rozpoczęła się bitwa, król zagrzał do boju  
baronów i wsze rycerstwo. I lubo serca ich były już  
przepełnione pragnieniem walki, przemówił do nich  
krótko tymi oto słowy: „Szlachetni baronowie i rycerze,  
cała nasza nadzieja i ufność w Bogu. Otton i ci, co mu  
służą, są wyklęci przez naszego apostolskiego ojca, al-  
bowiem są wrogami i prześladowcami świętego Ko-  
ścioła. Pieniądze, jakimi są wspierani i opłacani, oku-  
pione są łzami biednych ludzi, a biorą się z grabieży na  
duchowieństwie i kościołach. My zaś, chrześcijanami  
będąc, postępujemy zgodnie z nakazami Kościoła  
Świętego i choć samiśmy jeno grzesznikami jako inni  
ludzie, oddajemy się w ręce Boga i Kościoła. Strzeże-  
my go i bronimy z największą gorliwością, tedy winni-  
śmy zaufać żarliwie miłosierdziu Pana naszego, który  
pozwoli nam wrogów naszych [i Jego] pokonać i zwy-  
ciężyć.” Gdy król tak przemówił, baronowie i rycerze  
zwrócili się doń o błogosławieństwo. [Wtedy wznosił  
prawicę i zaniósł do Pana modlitwę, ażeby spłynęło na

nich jego błogosławieństwo.] Wtenczas rozbrzmiały spiżowe trąby i ruszyli na wroga z wielką i nadzwyczajną śmiałością.

W onej godzinie u boku króla znajdował się jego kapelan niniejsze słowa piszący, a z nim pewien duchowny. Gdy tylko uszy ich dźwięk trąb posłyszały, jeżeli wielkim głosem intonować psalm: *Benedictus Dominus Deus meus, qui docet manus meas ad proelium*, itd., i tak aż do końca, potem zaś: *Exurgat Deus*, również do końca, i *Domine, in virtute Tua laetabitur rex*, a starań wielkich dokładali, bowiem łzy serdeczne i łkania były im przeszkodą. Potem zaś z najgłębszą pokorą przypominali Bogu cześć i najszczerze uczucia, jakie żywił król Filip dla Świętego Kościoła, jak również zniewagi i krzywdy, jakich doznał on i doznaje z rąk Ottona i Jana angielskiego. Ten ostatni, sypiąc pieniędzmi i obietnicami, podburzył wszystkich wrogów przeciw królowi w jego własnym królestwie i siła z nich przeciwko swemu lennemu władcy stanęło miast życia jego bronić przed wszelkim nieprzyjacielem.

Pierwsze starcie nie odbyło się w pobliżu króla, bowiem zanim rycerze z jego oddziału ruszyli do boju, wielu już walczyło przeciw Ferrandowi i jego ludziom na prawym skraju pola, o czym król nie wiedział. Pierwsza linia francuskich oddziałów rozmieszczona była tak, jakośmy to już opisali, i rozciągała się na tysiąc czterdzieści kroków. Pośród tej grupy znajdował się brat Guerin, Wybraniec z Senlis, w pełnym rynsztunku, atoli nie po to, by walczyć, lecz by wspierać baronów i inszych rycerzy, i zagrzewać ich do boju ku

chwale Boga, króla i królestwa, a także do obrony własnego życia. A byli tam Odon, książę Burgundii, Mateusz z Montmorency, hrabia Beaumont, wicehrabia Melun i wielu innych szlachetnie urodzonych wojowników, a wśród nich hrabia Saint-Pol, którego niektórzy podejrzewali o korszachy z wrogiem. Ten zaś, wiedząc o owych pomówieniach, rzekł bratu Guerin, iż król sam w tym dniu się przekona, jak dobrym jest hrabia zdrajcą. W tymże oddziale znajdowało się stu osiemdziesięciu rycerzy rodem z Szampanii. Brat Guerin ustawił ich w taki oto sposób: jednych przesunął z pierwszego szeregu do tyłu, jako że znał ich tchórzliwość i lęклиwe serce, tych zaś, którzy zdali mu się dzielni i skorzy do boju i w których waleczność wierzył niezbitcie, ustawił w pierwszym szeregu i tak do nich się ozwał: „Szlachetni rycerze, pole jest rozległe, rozsłońcie przeto szeregi, ażeby wróg was nie otoczył; nie trzeba bowiem, byście niczym tarczą wzajem się osłaniali. Ustawcie się tak, abyście pospołu wszyscy walczyć mogli, niby jeden szereg.” To powiedziawszy, posłał za radą hrabiego Saint-Pol stu pięćdziesięciu konnych pachołków, ażeby bitwę rozpoczęli. Uczynił tak po to, aby szlachetnie urodzeni wojownicy Francji, których z imienia nazwaliśmy, zastali wroga w kontuzji i niepokoju.

Wszelako Flamandowie i Niemcy, pałający żądzą walki, wielce urażeni się poczuli owym natarciem pachołków, spodziewając się ataku rycerzy. Toteż nie raczyli się ruszyć z miejsca i wyczekawszy, aż się zbliżą, zgotowali im nader srogie przyjęcie; siła koni uśmierci-



li i zadali ludziom wiele ran, nie zabijając jednak, z wyjątkiem dwóch jeno. Żołnierze ci, rodem z doliny Soissons, wielką śmiałością i walecznością się odznaczyli i bili się równie dzielnie pieszo jak konno.

Walter z Ghistelle i Buridan, rycerze o mężnych sercach, zagrzewali towarzyszy ze swego oddziału do boju, przywołując czyny ich druhów i przodków, a nie było po nich znać strachu, jakby walczyli na turnieju. Kiedy wysadzili z siodła i powalili wielu z rzeźzonych, pacholców, nie bacząc dłużej na nich, w inną stronę pola się udali, ażeby zetrzeć się z rycerstwem. Wtenczas ruszyli do boju niektórzy rycerze rodem z Szampanii i poczęli zmagać się z nimi, dorównując im walecznością. Po skruszeniu kopii za miecze chwycili i jęli ciąć się strasznymi ciosami. Wtedy to wdał się w owe zapasy Piotr z Remy z towarzyszami: pojмали oni siłą Waltera z Ghistelle i Jana Buridana, i prowadzili w niewolę.

Atoli jeden z rycerzy tamtym towarzyszących, który zwał się Eustachy z Malenghin, jął krzyczeć zuchwale wielkim głosem: „Śmierć Francuzom!” Wówczas otoczyli go Francuzi, a jeden schwycił go i głowę mu łokciem do piersi przycisnął, potem zerwał mu hełm, inny zaś dźgnął go nożem pomiędzy brodą a brzuchem, przesywając mu serce, tak że ów w ciężkich męczarniach znalazł śmierć, którą w swym wielkim zuchwalstwie groził Francuzom. Gdy Eustachy z Malenghin został w ten sposób zgładzony, zaś Walter z Ghistelle i Buridan znaleźli się w niewoli, zdwoiła się odwaga Francuzów, bojaźń wszelka ich opuściła

i wzmożonymi siłami do boju ruszyli, jakby pewni byli zwycięstwa.

Po konnych pachołkach, wysłanych przez biskupa na rozpoczęcie bitwy, ruszył do walki Walter hrabia Saint-Pol ze swymi ludźmi, a byli to rycerze znamienici i męstwem się odznaczający. Rzucił się pomiędzy wrogów z taką zajadłością, z jaką zgłodniały orzeł spada na stado gołębi. Gdy się znalazł w ciżbie, wielu z nich raził swymi ciosami i wiele ciosów nań spadło. Wtedy to pokazała się dzielność jego serca i krzepkość ciała, bowiem powalił wszystkich, których dosięgał, zabijając ludzi i konie, i nie biorąc nikogo w niewolę. Tak siekł na prawo i lewo i wroga mordował z pomocą swych ludzi, że przedostał się poprzez zgraję nieprzyjaciół, potem zaś z drugiej strony na nich natarł, otaczając ich zewsząd.

Następnie ruszył do bitwy hrabia Beaumont z równą walecznością; także i Mateusz z Montmorency ze swymi ludźmi, książę Odon z Burgundii, w otoczeniu wielu przednich rycerzy, i wszyscy oni ruszyli do boju z sercami żądnymi walki i wydali wrogom swoim prześwietną bitwę. Książę Burgundii, człek okazałej postury i nieco ociężały, obalon został, bowiem zabito pod nim wierzchowca. Kiedy kompani jego ujrzeli, jak leży na ziemi, zgromadzili się wokół i co rychlej wydzwignęli go na innego konia. Znalazłszy się w siodle, bolał wielce nad owym upadkiem i poprzysiągł pomścić hańbę. Wzniósł kopię i żgnął konia ostrogami, potem zaś ruszył w najgęstsza ciżbę wrogów, dysząc okrutnym gniewem. Nie baczył, kędy ciosy jego raziły ani

kogo nimi dosięgał, lecz zemsta jego na wszystkich jednako spadała, jak gdyby każdy z nieprzyjaciół śmierci jego konia był winien.

W innej części pola potykał się wicehrabia Melun, a miał w swym oddziale rycerzy sławnych i w walce wyćwiczonych. Natarł na wroga w innym miejscu z taką mocą jak hrabia Saint-Pol; przebił się przez gąszcz wrogów i z drugiej strony ku nim się zwrócił. W potyczce tej Michał z Harmes ugodzony został kopią skroś tarczę i kolczugę i ranny w udo.

Razem z koniem obalił się na ziemię, jako że do siodła był przytwierdzony. Takoz Hugo z Maleveine i inni rycerze padli na ziemię, albowiem ubito pod nimi wierzchowce. Jednakże podźwignęli się odważnie i bili się pieszo równie mężnie jak w siodle.

Hrabia Saint-Pol, po zażartej i długiej walce, utrudzon znacznie licznymi ciosami, jakie rozdawał wokół i jakie nań spadały, wycofał się z bitewnego zamętu, ażeby nieco wytchnąć i ochłonać. Twarzą obrócił się ku wrogom. I kiedy tak zażywał odpoczynku, wzrok jego padł na jednego z rycerzy, którego wrogowie tak szczelnie otoczyli, że przedrzeć się doń zdawało się niemożliwością. Luboć hrabia nie odzyskał jeszcze tchu, nałożył hełm, przywarł czołem do szyi rumaka, objął ją silnie obiema rękami i, ubódłszy go ostrogami, przedarł się przez tłum wrogów, docierając do owego rycerza. Wówczas uniósł się w strzemionach, dobył miecza i jął siec tak straszliwymi ciosami, że w swej wielkiej dzielności rozproszył i przegonił rzesze napastników. Kiedy uwolnił już z ich rąk swego rycerza,

nieustraszoną odwagą lub szaleństwem powodowany na szwank wystawiwszy własne życie, powrócił między swe zastępy, gdzie czekali nań jego ludzie. Jak prawili potem ci, co to widzieli, życie jego było w wielkim niebezpieczeństwie, bowiem został ugodzony dwunastoma kopiami w jednej chwili, atoli wobec takiego męstwa nie zdołano powalić na ziemię ani jego, ani jego wierzchowca. Dokonawszy tego prześwietnego czynu i pokrzepiwszy się nieco wśród swoich rycerzy, którzy w tym czasie zażywali wytchnienia, znów wdział zbroję i rzucił się w najgęstsze szeregi wroga.

W owej chwili tak gwałtowne i zaciekle toczyły się z obu stron zmagania, a trwały one już od trzech godzin, że Pallas, bogini wojny, przelatywała nad walczącymi, jak gdyby nie wiedziała jeszcze, komu przyznać zwycięstwo. Wreszcie cały ciężar bitwy skupił się wokół Ferranda i jego ludzi; obalony na ziemię, poturbowany i okaleczony wieloma ciężkimi ranami, został skrępowany i wzięty do niewoli wraz z wielką liczbą swoich rycerzy. A bił się tak wytrwale, że był jak półżywy i niezdolny do dalszej walki, kiedy poddał się Hugonowi z Mareuil i Janowi, jego bratu. Kiedy Ferrand pojmany został, pozostali jego towarzysze, którzy bili się nie opodal, uciekli, a część znalazła śmierć lub niewolę.

Gdy Ferrand doznawał tak dotkliwej porażki, powrócił porzecz świętego Dionizego i nadciągnęły oddziały komun miejskich, które znajdowały się daleko w przodzie przy rozstawionych namiotach, a zwłaszcza oddziały z Corbie, Amiens, Arras, Beauvais, Compie-

gne. Przyłączyły się one do królewskiego zastępu, kędy powiewało monarsze godło ze złotymi liliami na błękitnym polu, a dzierzył je w owym dniu rycerz zwany Galonem z Montigny. Rycerz był to przedni i krzepki, lecz człek niebogaty. Wojska komun miejskich wyprzedziły rycerzy i ustawiły się przed królem naprzeciw Ottona i jego ludzi. Ci jednak, rycerze wielkiej dzielności, zmusili je rychło do odwrotu w pobliże króla i rozgromiwszy je, dotarli blisko monarszego oddziału. Wilhelm z les Barres, Wit Mauvoisin, Gerard zwany Maciorą, Stefan z Longchamp, Wilhelm z Garlandii, Jan z Rouvray, Henryk hrabia Bar i siła innych szlachejnych wojowników, którzy w oddziale królewskim umyślnie zostali umieszczeni dla ochrony władcy, ujrawszy, iż Otton i otaczający go Teutoni zamierzają przedrzeć się do króla i w jego to osobę chcą godzić, murem przed nim stanęli, ażeby stawić czoło teutońskiej zawziętości i ją powstrzymać. Król, o którego życie drżeli, znajdował się za ich plecami. I kiedy tak bój toczyli z Ottonem i Niemcami, nieprzyjacielscy piechurzy przedarli się naprzód, z nagłą króla napadli i na ziemię go z konia ściągnęli włóczniami i żelaznymi hakami. I gdyby go nie chroniły męstwo niezwykle oraz zbroja niepospolitych zalet, niechybnie by zginął z ich rąk. Wszelako pozostała u jego boku garstka rycerzy, a pośród nich Galon z Montigny, wymachujący chorągwią, by zawezwać posiłki, oraz Piotr Tristan, który sam z konia zsiadł i piersią własną króla osłaniał. Oni to rozgromili i wybili napastników, król zaś wskoczył na siodło z niewiarygodną zwinnością. [Kiedy już się

na koniu znalazł, a zastępy piechurów, co go były powaliły, zostały rozproszone i wybite, królewski oddział zwarł się z ludźmi Ottona.]

Wówczas zaczęło się straszne starcie, a trupy końskie i ludzkie słały się gęsto, bowiem każdy bił się najdzielniej, jak mógł. Wtedy to padł na oczach króla Stefan z Longchamp, rycerz świetny, bogoboyny i bezgranicznie oddany. Uderzony został nożem, który poprzez otwór w przyłbicy w sam mózg się zagłębił. Nieprzyjaciel posłużył się w tej bitwie nie widzianą dotąd bronią, a były to długie i wysmukłe noże z trójgraniastą klingą od czubka po rękojeść, które im służyły i do cięcia, i do kłucia. Wszelako miłosierdzie Boskie zrządziło, że tak miecze Francuzów, jak ich męstwo, co nigdy nie osłabło, wzięły górę nad okrucieństwem wroga i jego wymyślną bronią. Bili się bowiem tak wytrwale i zażarcie, że zmusili do odwrotu cały oddział Ottona i dotarli tak blisko do cesarza, że Piotr Mauvoisin, tęższy we władaniu bronią niż rozumem, chwycił konia jego za wędzidło i zamierzał wyciągnąć go spośród walczących. Zmiarkował jednak, iż niemożebne było zamiar ów w czyn wprowadzić, tylu bowiem wojowników wokół cesarza się cisnęło i szczelnie go chroniło. Gerard zwany Maciorą, nie opodal się znajdujący, żgnął go nożem [który w dłoni dzierzył] w pierś, a kiedy ujrzał, że nie sposób ciosu głęboko zadać [z powodu nadzwyczajnej grubości pancerza, jaki w naszych czasach chroni rycerzy, będąc całkowicie dla razów nieprzenikliwym], zamierzył się po raz wtóry, by poprawić pierwsze uderzenie. Wszelako mierząc w Ottona, napotkał wysoko

podniesiony łeb jego wierzchowca i zadał mu tęgi cios między oczy, zaś nóż, pchnięty z wielką siłą, przeniknął do mózgu. Koń, rażony tak strasznie, strwożył się i jął rozpaczliwie szamotać. Naraz pomknął w stronę, z której był przybył, tak że Otton plecami do naszych rycerzy się obrócił i chyżo umknął. Pozostawił na pastwę nieprzyjaciela orła i sztandar, i wszystko, z czym na pole bitwy przybył. Król ujrzawszy, jak ucieka, tak rzekł do swoich druhów: „Otton umknął i nigdy więcej twarzy jego nie ujrzymy.” Nie ujechał jednak daleko, bo koń jego padł martwy. Tedy przyprowadzono mu innego wierzchowca i dosiadłszy go, umykać co tchu zaczął, jak mógł najchyżej, tak jakby nie mógł dłużej stawić czoła nieustraszonym rycerzom Francji. Boć Wilhelm z les Barres dwukrotnie już chwycił go był za kark, wszelako nie mógł go utrzymać, jako że koń jego mocny i rączy był, a takż siła rycerzy się wokół niego tłoczyła.

W chwili, kiedy Otton salwował się ucieczką, z obu stron trwały wielce zażarte i zapamiętałe zmagania. Rycerze jego bili się tak ostro, iż obalili na ziemię Wilhelma z les Barres i konia pod nim usiekli, jako że był przed wszystkich się zapędził. Natomiast Walter Młodszy, Wilhelm z Garlandii [ze skruszonymi kopiami i mieczami spływającymi krwią], tudzież Bartłomiej z Roye, rycerz wyborny i roztropny [oraz wielu innych, co z nimi byli], uznali, iż wielce niebezpieczną rzeczą byłoby zostawić króla z tyłu samego, ażeby bez ochrony nijakiej za nimi podążał. Dlatego też nie chcieli tak dalekiego dokonywać wypadu, jak to uczynił Barryj-

czyk, który pieszo wrogowi się opierał z właściwym mu męstwem. Jednakże nie może jeden człowiek, konia pozbawiony, długo stawiać czoło takiej zgrai, toteż życiem lub niewolą byłby to przypłacił, gdyby nie Tomasz z Saint-Valéry, rycerz szlachetny i w robieniu bronią sprawny, który nadciągnął z pięćdziesięcioma jeźdźcami i dwoma tysiącami pieszych pachołków i uwolnił Barryjczyka z rąk wrogów.

Wtenczas bitwa rozgorzała na nowo, bowiem podczas gdy Otton uciekał, walczyli nadal zaciekle dzielni rycerze z jego drużyny: nieustraszony Bernard z Ostemale, hrabia Otto z Teklemburga, hrabia Konrad z Dortmundu, Gerard z Randerode i wielu innych mężnych i bitnych rycerzy, których Otton umyślnie wybrał przez wzgląd na ich wielką odwagę, ażeby przy nim w bitwie stali i służyli mu za ochronę. Bili się oni wspaniale i rycerzy naszych trupem kładli. Wszelako zmagli ich Francuzi i dwaj wspomniani hrabiowie, a z nimi Bernard z Ostemale i Gerard z Randerode w niewolę się dostali. Wóz, nad którym powiewał sztandar, został rozbity, smok strzaskany na kawałki, zaś orła, z wyrwanymi i połamanymi skrzydłami, poniesiono królowi.

Tak oto poszedł w rozsypkę oddział Ottona po jego ucieczce.

Hrabia Reginałd z Boulogne, który walki nie zaprzestawał, bił się tak zaciekle, że nikt nie był w stanie go pokonać. A posłużył się w bitwie tej nowym sposobem, gdyż utworzył z tego uzbrojonych piechurów podwójną zagrodę, tak że stali spleceni ze sobą ściśle,



tworząc niby krąg; w jednym jeno miejscu dostać się doń można było i tamtędy też wjeżdżał, kiedy spragniony był wytchnienia lub gdy wróg zbyt nań naciskał, i czynił tak po wielekroć.

Jak dowiedziano się później z ust jeńców, ów hrabia Reginałd wraz z hrabią Ferrandem i cesarzem Ottonem poprzysięgli sobie przed bitwą, iż nie będą biegać w prawo i lewo, by zmierzyć się z każdym oddziałem, lecz będą walczyć z tym tylko, w którym król się znajduje. A pojmuwszy, zabić go mieli, jako że w razie śmierci króla łącznie by im było zająć całe królestwo. Przeto wierni owej przysiędze, dążyli jedynie do tego, by zetrzeć się z królewską drużyną. Ferrand, który ślub taki złożył, zaczął nacierać prosto na króla, atoli nie dane mu było doń dotrzeć, bowiem rycerze z Szampanii drogę mu zastąpili i zwarli się z nim tak ostro, że zamiaru owego zaniechał. Takież i hrabia Reginałd, ominąwszy wszystkie inne oddziały, skierował się w stronę królewskiej grupy i do króla dotarł na samym początku bitewnego starcia. Wszakże, jak twierdzą niektórzy, kiedy przed nim się znalazł, zdjęło go przerażenie i naturalna trwoga w obliczu prawowitego seniora. W inną więc stronę się zwrócił i starł z hrabią Robertem z Dreux, który nie opodal króla walczył w straszliwej ciźbie.

Hrabia Perron z Auxerre, kuzyn króla, walczył mężnie po jego stronie, natomiast syn jego, Filip, który po kądzieli był kuzynem żony Ferranda, bił się w przeciwnym obozie przeciw swemu ojcu i koronie Francji; albowiem grzech ich i podszepty wroga do tego stopnia

serca niektórych zaślepiły, iż nie bacząc na to, że ich ojcowie, bracia czy kuzyni po stronie króla się opowiedzieli, za oręż przeciw nim chwycili, Boga się nie bojąc, i gdyby mogli, na sromotę i hańbę by wydali zarówno prawego seniora, jak i familiantów serdecznych, których przyrodzonym prawem miłować powinni.

Hrabia Reginald, lubo bił się dzielniej i wytrwalej niż ktokolwiek inny, jednakowoż przeciwny był zrazu bitwie i usilnie ją odradzał, wiadome mu bowiem było męstwo i odwaga rycerzy Francji. Dlatego Otton i jego otoczenie o zdradę jęli go podejrzewać i gdyby nie przystał wreszcie na bitwę, w pętach by się znalazł. Przed rozpoczęciem walki tak oto ozwał się do Hugona z Boves: „Oto stajemy do bitwy, której tyś zwolennikiem, a którą ja odradzam; a stanie się tak, iż ty ucieczką się będziesz salwował niczym nikczemnik i tchórz, a ja bić się będę, na szwank życie wystawiając, i wiem, że trwać na polu będę, aż śmierć bądź niewola mnie spotka.” To rzekłszy, zajął wyznaczone mu miejsce i bił się lepiej i wytrwalej niż ktokolwiek inny.

Tymczasem szeregi po stronie Ottona nieco się przerzedziły, ponieważ książę Louvain, książę Limburga i Hugo z Bovers sromotnie uciekli, a z nimi inni, po pięćdziesięciu, po czterdziestu i w luźnych kupach, lecz hrabia Reginald opór stawiał nadal tak zaciekły, że nikt nie mógł go dopaść i pokonać.

U jego boku trwało nieodmiennie jeno sześciu rycerzy, ale bronili się oni wraz z nim bardzo mężnie, aż pewien chrobry i waleczny pachołek, a zwał się Piotr z la Tournelle i pieszo się potykał, jako że koń jego

padł przez wrogów rażony, dotarł do hrabiego, uniósł końskie okrycie i zadał rumakowi tak silny cios, że miecz wbił się w kiszki aż po rękojeść. Widząc to, jeden z towarzyszących hrabiemu rycerzy chwycił konia za cugle i wyciągnął hrabiego z wielkim trudem i wbrew jego woli z tłumu walczących. Zaczem rzucił się do ucieczki, lecz Kwenon z Condune i brat jego Jan za nim pognali i rycerza tego na ziemię powalili, zaś hrabiowski koń padł martwy, a waląc się, przygniótł karkiem prawą nogę hrabiego. Wówczas to nadjechali Hugo i Walter z Fontaine i Jan z Rouvra I kiedy się spierali, do kogo należy jeńiec, zjawił się również Jan z Nesle. Rycerz był to urodziwy i krzepki, atoli dzielność jego nie dorównywała ani gładkości, ani tężyznie ciała albowiem nie starł się z nikim przez całą bitwę. A wdał się wraz ze swymi rycerzami w spór z tymi, którzy hrabiego trzymali, ażeby spadł nań splendor pojmania tak znamienitego jeńca, wcale nie zasłużony. I byłby wydarł im hrabiego, gdyby nie biskup Guérin, który nagle nadjechał. Ujrzawszy go, hrabia bez zwłoki swój miecz mu wręczył i poddał mu się, prosząc tylko, by przy życiu go pozostawił. Wszelako zanim nadjechał biskup, w chwili gdy rycerze o hrabiego się wadzili, pewien młodzik, zwany Commotus, chcąc pokazać, jaki jest krzepki i mężny, zerwał mu hełm i zadał wielką ranę w głowę, potem zaś odgarnął kolczugę i zamierzył się nożem w brzuch. Lecz nóż nie zdołał się przebić, a to z powodu żelaznych nogawic, które mocno do kolczugi umocowane były. I kiedy tak trzymano hrabiego i usiłowano go zmusić, by wstał, rozejrzał się on

wokół siebie i zobaczył nadjeżdżającego Arnulfa z Audenarde wraz z innymi rycerzami, spieszącym mu na ratunek. Widząc, że w jego stronę się kierują, legł na ziemi i udał, że nie może się na nogach utrzymać, w nadziei, iż Arnulf go oswobodzi. Wszelako otaczający go rycerze obsypali go razami i siłą go na wierzchowca posadzili, zaś ów Arnulf, tudzież ci, co z nim byli, dostali się w niewolę.

Kiedy już wszyscy rycerze z nieprzyjacielskiego obozu zostali zabici, pojmani lub też sami uciekli i opustoszało pole po wojskach Ottona, na placu boju pozostało jeszcze siedmiuset pieszych pachołków, śmiałych a walecznych, rodem z Brabantu, których nieprzyjaciel był na wysuniętej placówce przed sobą ustawił, ażeby za mur i obronę przed naporem wrogów służyli. Widząc to król posłał im naprzeciw Tomasza z Saint-Valéry, rycerza świętego i okrytego chwałą [a także obeznanego nieco w piśmie]. Miał ze sobą ów Tomasz pięćdziesięciu dobrych i oddanych rycerzy, ziomków swoich, oraz dwa tysiące pieszych pachołków. Kiedy już należycie się przygotowali, ruszyli na tamtych niczym zgłodniały wilk rzuca się między owce. I lubo wielce już był utrudzon, takż jego ludzie, bowiem wielu czynów orężem swym onego dnia dokonali, rozgromili tamtych i pojмали z wielką odwagą. Wtedy to stała się rzecz, co wszystkich zdumiała; kiedy policzył swych ludzi po tym zwycięstwie, brak było tylko jednego, lecz znaleziono go żywym pośród trupów; zanie-siono go do obozu i powierzono medykom, ci zaś w krótkim czasie do życia go przywrócili.

Król nie chciał, ażeby jego ludzie uciekinierów ścigali dalej niż na milę, a to przez wzgląd na mało znane drogi i na zapadający zmrok, a także z obawy, by wielcy panowie i bogaci rycerze więci do niewoli nie wydostali się z niej przypadkiem lub by nie zostali siłą odbici tym, którzy straż przy nich trzymali. Albowiem wielce się król tego lękał. Tedy zagrzmiały trąby, przywołując tych, którzy w pościg się zapędzili. I kiedy wszyscy powrócili, udali się do obozu, radując się i weseląc.

[Jakże wspaniałą okazał władca łaskawość! Jak niesłychany w naszych czasach odruch litości!] Kiedy król wraz z baronami znalazł się pod namiotami, tego samego jeszcze wieczoru kazał przywieść przed swe oblicze wszystkich szlachetnie urodzonych jeńców, których ujęto w bitwie. Trzydziestu ich było, pięciu hrabiów, a pozostałych dwudziestu pięciu tak wysokiego rodu, że każdy własną chorągiew w bitwie nosił, nie licząc innych jeńców pomniejszej rangi. I gdy wszyscy przed nim stanęli, darował im życie w swej wielkiej dobroćliwości i litości serca, choć ci, którzy z królestwa pochodzili i jego lennikami byli, a przeciw niemu stanęli i śmierć mu poprzysięgli, starań dokładając, by go zgładzić, byli godni kary i winni głową za to zapłacić, zgodnie z prawem i obyczajem w tych stronach panującym. [Wszakże tak jak nieugiętą srogość okazywał buntownikom zatwardziałym, także, a nawet bardziej kwitło w jego sercu miłosierdzie dla tych, co się ukończyli. Albowiem niezachwianą jego wolą zawsze było, żeby oszczędzać uległych, a niszczyć pyszałków.] Łań-

cuchami tedy i powrozami ich skrępowano i na wozach umieszczono, ażeby powieźć ich ku miejscom, gdzie mieli być uwięzieni. Nazajutrz król ruszył w drogę do Paryża.

Kiedy dotarł do Bapaume, doniesiono mu – prawda to li, czy kłamstwo – iż hrabia Reginald miał przesłać wieści do Ottona, w których wzywał go i radził, ażeby ten do Gandawy wrócił, uciekinierów zebrał i siły odnowiwszy, nową bitwę wydał z pomocą Gandawczyków i innych wrogów króla. Usłyszawszy to, wielce się król na hrabiego rozsierdził. Skierował swe kroki do wieży, gdzie więziono Reginalda i hrabiego Ferranda, najznamienitszych z wszystkich jeńców. A ponieważ płonął gniewem i oburzeniem, jął mu wypominać wszelkie dobrodziejstwa, jakimi go był obsypał, i takie doń słowa skierował: Azaliż, za lennika wiernego go mając, nie pasował go na rycerza? Azaliż z biednego nie uczynił go bogatym? On zaś, za wszystkie te dobrodziejstwa złem mu dobro odpłacił. On to przecież z ojcem swoim, hrabią Aubry z Dammartin, do Henryka angielskiego przystali i z nim się sprzymierzyli na szkodę króla i królestwa. Kiedy zaś z występnej drogi na służbę króla zapragnął powrócić, ten mu wszystko wybaczył i przyjął go z łaską i miłością, zwracając mu hrabstwo Dammartin, które wedle prawa utracił, jako że ojcu jego, rzeczonemu hrabiemu Aubry, na mocy wyroku je odebrano, kiedy do wroga przystał i poległ w Normandii w jego służbie. Zaznawszy takiej dobroci od króla, Reginald znów go opuścił i sprzymierzył się z królem angielskim Ryszardem i zostawał przy nim aż

do jego śmierci. Kiedy Ryszard umarł, Reginald do króla powrócił, a ten po raz wtóry miłościwie go przyjął i do dwóch hrabstw, którymi go wcześniej obdarował, dodał mu trzy nowe, hrabstwa Mortain, Aumale i Varennes. Nie pomnąc na wszystkie te dobrodziejstwa, Reginald podburzył przeciw niemu całą Anglię, całe Niemcy, całą Flandrię, Hainaut i Brabant, przeszłego zaś roku zajął część jego flotyli w porcie Damme, a co więcej, śmierć mu poprzysiągł uroczyście wraz z innymi wrogami i stanął z nim do walki wręcz na bitewnym polu. A i to nie wszystko. Albowiem kiedy mu król życie darował, w niepamięć puściwszy w swym wielkim miłosierdziu wszystkie te szpetne czyny, ten, dla ukoronowania całego zła, wzywa teraz Ottona i tych, co ze starcia cało uszli, ażeby zgromadzili uciekinierów i do nowej bitwy przeciw niemu ruszyli. „Taką oto podłością odpłaciłeś mi za całe moje dla ciebie dobro, wszelako życia cię nie pozbawię, bom ci je darował, lecz do takiego lochu wtrączę, skąd nie ma ucieczki, i tak długo nie wyjdiesz, póki nie odpokutujesz za wszystkie niegodziwości, jakich z rąk twoich doznałem.”

Tak do Reginalda przemówiwszy, kazał król zawieźć go do Péronne i w warownym więzieniu osadzić, zakutego w mocne żelazne łańcuchy, które niezwykle przemyślnie ze sobą złączone i splecione były. Ten, który krępował mu nogi, był tak krótki, że ledwie pół kroku mógł zrobić, i łączył się z innym, długim na dziesięć stóp, od niego zaś odchodził jeszcze jeden, przytwierdzony do zwalistego pieńka, który z trudem

dwóch chłopca dźwigać musiało za każdym razem, gdy hrabia pragnął ulżyć naturalnej potrzebie. Ferrand zaś do Paryża zawieziony został i osadzony w wysokiej wieży obronnej niedawno wzniesionej poza murami miasta, zwanej wieżą Luwru.

W dniu bitwy Wilhelm Długi Miecz, hrabia Salisbury, został wydany hrabiemu Robertowi z Dreux, ażeby ten mógł zań uzyskać od jego brata, Jana angielskiego, wolność dla swego syna, którego, jakośmy rzekli, Jan więził. Wszelako król Jan, który nienawiścią do krwi własnej pałał, jak tego był dowiódł, mordując swego bratanka i Alienor, siostrę owego Artura, więzząc przez dwadzieścia lat, nie chciał wymienić cudzoziemca na własnego brata. [Przywodzi to na myśl rysia, o którym pisał Merlin. Mówiąc o swym ojcu, którego do lwa przyrównywał, rzekł: „Zrodzi się z niego ryś, co wszędzie się wśliznie, na zgubę rodu swojego. Z jego to winy Neustria postrada obie wyspy i utraci swą wielkość.”] Część jeńców osadzona została w twierdzach przy małym i dużym moście, zaś pozostali do różnych więzień w całym królestwie odesłani zostali.

[O, jakże słuszne, sprawiedliwe i nieomyłne są Twe wyroki, Panie. Ty, który krzyżujesz zamiary władców i wniwecz obracasz zamysły ludów! Ty, który dopuszczasz, by pienieło się zło, ażeby w dobro je przemienić, który odwlekasz zemstę, ażeby nikczemni nawrócić się mogli, i sprawiasz, by karzący bicz dosięgnął! zasłużenie tych, którzy wzdragają się okazać skrucę. Ty, który zawsze, kiedy źli dobrym zagrażają, za-



miar ich udaremniasz, przeciw nim samym go obracając.]

Wrogowie króla, w bitwie pojmani, nie tylko sami przeciw królowi knowali, ale szafując obietnicami i darami, poddanych króla do obozu swego ściągnęli, takich jak Hervé hrabia Nevers i wszyscy wielcy panowie zza Loary, z miasta Le Mans, z Poitou oraz Andegawęńczycy, z wyjątkiem Wilhelma z les Roches, seneusza Andegawenii i Johela z Mayenne. Wicehrabia Sainte-Suzanne i siła innych przyrzekli już byli wsparcie królowi Anglii, jednakowoż uczynili to w skrytości, z obawy przed królem Filipem, czekając na wynik bitwy. Wrogowie króla całe królestwo Francji między siebie już rozdzielili, jak gdyby mieli niezachwianą pewność zwycięstwa, a cesarz Otton przyobiecał już każdemu jego część: hrabiemu Reginaldowi z Boulogne miało przypaść miasto Péronne i całe hrabstwo Vermandois, Ferrandowi Paryż, pozostałym zaś insze grody i prowincje. Co się tyczy hrabiów Reginalda i Ferranda, obietnicy swej dotrzymał, bowiem przypadł Ferrandowi Paryż, a hrabiemu Reginaldowi Péronne, atoli nie na honor ich i sławę, lecz ku wielkiej ich sromocie i konfuzji.

Wszystko to, cośmy tu rzekli o ich zadufaniu i zdradzie, zostało królowi przedstawione nie przez kogo inszego jak przez ich własnych sprzymierzeńców z tego samego obozu, co rzecznikami ich sprawy byli; albowiem, lubo wrogami królestwa są, nie chcemy mówić o nich i o ich czynach nic, co byłoby

w niezgodzie z naszym sumieniem, oprócz tego jeno, co zdaje się nam czystą prawdą.

Jak wieść niesie, stara hrabina Flandrii, ciotka hrabiego Ferranda hiszpańskiego, w Portugalii urodzona, jako córka króla tej krainy i przez to zwana jej królową i hrabiną, poznać chciała wynik i losy bitwy. Uczyniła tedy czary zgodnie z obyczajem Hiszpanów, którzy łącznie uciekają się do owej sztuki, i otrzymała taką oto odpowiedź: „Stanie się bitwa i król padnie w niej, i znajdzie się pod kopytami, a ciało jego grobu nie zazna. Ferrand zaś przybędzie do Paryża w wielkim orszaku po zwycięstwie.” Każde z tych zdań głosi prawdę dla tego, kto należycie je pojmuje, przepowiednia bowiem dwojakie miała znaczenie, wedle zwyczaju szatana, który zawsze wyprowadza w pole tych, co mu służą, gdy wypowiada pokrętnym językiem wątpliwe wyroki.

Azaliż jest taki, co by ustami swymi potrafił opowiedzieć, w sercu pomyśleć, czy na tabliczkach lub pergaminie spisać [owacje, pochwały, triumfalne hymny, nie kończący się taniec radości całego ludu], owo wspaniałe święto, jakie cały naród zgotował królowi, kiedy po zwycięstwie do Francji powracał? Świątynie rozbrzmiewały słodkim i cudownym pieniem, intonowanym przez księży na chwałę Pana naszego. Huczały dzwony w opactwach i kościołach. Klasztory przyozdobione były od wewnątrz i od zewnątrz jedwabną materią. Ulice i domostwa zacnych miast przystroiły się draperią wszelaką i pysznymi ozdobami. Trakty i gościńce usłane były płatami kory, zielonymi liśćmi i świeżym kwieciem. Wszelki lud, podłego czy

szlachetnego stanu, mężowie, niewiasty, starcy i młódź, wszyscy przybywali tłumnie na drogi i rozstaje; gromadzili się kmiotkowie i żniwiarze, niosąc widły i sierpy (był to bowiem czas zbierania plonu), ażeby ujrzeć i wyzwiskami obrzucić związanego Ferranda, którego jeszcze tak niedawno się lękali. Kmiecie, starcy i dzia-twa bez najmniejszego wstydu prześmiewali się zeń i lżyli go, kpiny sobie robiąc z dwuznacznego jego imienia, które człowieka i konia oznaczać może\*. A przypadek chciał, iż dwa konie tej akurat maści niosły go między sobą, tedy rozbrzmiewały drwiące okrzyki, iż dwie chabety trzecią dźwigają i że podkuto Ferranda, który przedtem z wściekłości nogami przebierał i pychę wiedzion przeciwko swojemu seniorowi dęba stanął. Z taką to radością witano króla, a Ferranda z takim szyderstwem, aż do bram Paryża. Mieszczanie wraz z całą rzeszą zaków [duchowieństwo i lud], wszyscy wyszli królowi naprzeciw [z hymnami i pieśniami na ustach] i radość serca im przepełniającą okazali wielkim weselem. Oto bowiem rozpoczęło się nieustające świętowanie, jakiego jeszcze nie widziano. A że dnia im było mało, świętowali hucznie i w nocy rozświetlonej nieprzelicznymi pochodniami, tak że jasnością noc dniowi dorównywała. I tak trwały owe zabawy nieprzerwanie przez siedem dni i siedem nocy. [Osobliwie zaś zacy prześcigali się, nie szczędząc grosza, w okazywaniu radości, ucztując, śpiewając pospołu i tańcząc.]

W krótki czas potem panowie z Poitou, którzy potajemnie przeciwko królowi spiskowali, tak straszliwie przelękli się na wieść o owym prześwietnym zwycię-

stwie, że wszelkich starań dokładać jęli, ażeby łaskę króla na nowo pozyskać. Wszelako król, doświadczywszy po wielekroć ich oszustw i niewierności, wiedział dobrze, iż przychylność ich i życzliwość dobrego owocu wydać nie mogą, lecz przynoszą jedynie szkodę i uszczerbek seniorowi, toteż odrzucił ich pojednawcze kroki i wojsko zgromadziwszy, czym prędzej zajął Poitou, gdzie znajdował się król Jan. Kiedy zastępy królewskie dotarły do zamku zwanego Loudun, silnej i zasobnej warowni, wicehrabia Thouars, człek rozumny i posłuch mający, wraz z najwyższymi rodem panami Akwitanii posłów do króla posłali, błagając go, ażeby przyjąć ich raczył z łaską i miłością lub też na rozejm przystał. Wówczas król, któremu zawsze droższe było zwycięstwo nad wrogami przez pokój niżli w bitwie, przyjął wicehrabiego Thouars na znak pojednania, za namową hrabiego Perrona z Bretanii, co mężem był siostrzenicy wicehrabiego.

Król angielski Jan, który podówczas o piętnaście mil od owego zamku się znajdował, nie wiedział, co czynić, bowiem nie było żadnego bezpiecznego miejsca, gdzie by się mógł schronić, a czekać na króla i do bitwy z nim stanąć ważyć się nie ośmielił. Wreszcie posłał wysłanników do króla, ażeby pokój z nim zawrzeć lub chociaż jakowyś rozejm uzyskać. Posłańcami byli zaś jego wielebność Robert, legat kurii rzymskiej, i hrabia Renoul z Chester, a z nimi kilku innych mężów. Tylu zaś starań dołożyli legat i inni posłowie, że król w swej wielkiej dobroci przystał na rozejm pięcioletni, lubo miał ze sobą dwa tysiące rycerzy, albo i wię-

cej, nie licząc zastępów pieszych i konnych pachołków, mógł tedy snadnie i w krótkim czasie zająć całą Akwitanie i rozprawić się z królem Anglii i jego wojskiem.

Po tym powrócił król do Francji. Wtenczas, a działo się to dnia szesnastego przed kalendami listopada, przybyli doń na rokowania żona hrabiego Ferranda i Flamandowie. Król przystał na uwolnienie Ferranda, mimo sprzeciwu swych doradców, w zamian za Gotfryda, syna księcia Brabantu, który miał pozostać jego zakładnikiem przez lat pięć, jak również za obietnicę zburzenia wszystkich zamków warownych i fortec we Flandrii i w Hainaut. Za Ferranda okup wypłacić mieli, a także za każdego innego jeńca, podług ciężaru przewinień, jakich każdy z nich się dopuścił. W ten sposób Ferrand i wszyscy pozostali jeńcy wyszli na wolność. Na hrabim Hervé z Nevers oraz na innych, którzy jego prawowitymi lennikami byli, król nijakiej zemsty nie pragnął, kazał im jeno na świętych poprzysiąc, iż od tej chwili będą prawymi i wiernymi poddanymi jego i korony Francji.

[Szesnastego dnia przed kalendami marca następnego roku wystąpiło pełne zaćmienie księżyca, które rozpoczęło się z pierwszym pianiem kura i trwało aż do świtania.]

W onymż czasie, kiedy król Filip wojował we Flandrii z Ottonem i innymi wrogami, książę Ludwik, syn jego, jakośmy rzekli, zmagął się w Andegawenii z królem Janem i panami z Poitou. Od oblężenia zamku w la Roche-aux-Moines Jan odstąpić musiał, zanim nawet książę Ludwik dotrzeć tam zdołał, za czym zo-

stał przezeń sromotnie przegnany wraz ze swym wojskiem.

Przeto dla upamiętnienia owych zwycięstw, które ojciec i syn w jednakim czasie odnieśli z pomocą Pana naszego, król wzniósł nie opodal miasta Senlis opactwo zwane Wiktorią, od nazwy zakonu świętego Wiktora z Paryża, by świadectwem danych im przez Boga przesławnych zwycięstw było.

# Komentarz

## Pokój

Opowieść Wilhelma Bretończyka nie jest jedynym przekazem. Uzupełniają ją inne opowieści z tego samego okresu lub nieco późniejsze, ale wszystkie zależne od niej i dające możliwość wniesienia kilku poprawek. Bardziej zwięzłe, różnią się tym, że nie odzwierciedlają punktu widzenia dworu francuskiego, oraz tym, że inaczej naświetlają bitwę. Chcąc właściwie zinterpretować oficjalne ślady omawianego wydarzenia, trzeba zbadać i te relacje, również bardzo bezpośrednie; należy wziąć pod uwagę cztery teksty, z których trzy napisane są po łacinie. Najwierniejszym z nich jest *Relatio Marchianensis de pugna Bouinis*, skomponowana, jak na to wskazuje tytuł, w klasztorze sąsiadującym z Marchiennes i prawdopodobnie pod bezpośrednim wpływem wydarzenia; tekst ten został wydany przez Waitza w *Monumenta Germaniae Historica*, według manuskryptu z biblioteki w Douai. Ostatnie wiersze, które znajdują się na końcu uzupełnienia dopisanego w latach 1161–1214 do Kroniki Flandrii, Zwanej *Flandria generosa*, są również prawie bezpośrednim sprawozdaniem z wydarzenia; najwidoczniej sam rozgłos bitwy pod Bouvines stanowił wystarczającą motywację dla autora tego uzupełnienia, bowiem bitwa ta ożywiła wszędzie chęć opisanie historii; autorem był prawdopodobnie mnich, cysters z opactwa Clairmarais koło Saint-Omer; w każdym razie skłaniał się on ku stronie francuskiej. Wiemy od Aubry z Trois Fontaines, że pewnego ar-

chidiakona z Liège echo zwycięstwa Kapetyngów poruszyło tak bardzo, iż przedsięwziął spisanie opowieści o tym, co ciekawego wiedział o swej epoce; tenże kanonik jest, być może, autorem *Żywota świętej Otylii*, która zmarła w 1219 roku; zachowała się ostatnia część tego dzieła, gdyż Gilles z opactwa w Orval w diecezji Trêves włączył ją około 1250 roku do napisanej przez siebie historii biskupów Liège; głosi ona triumf odniesiony w Steppes koło Montenaaken w 1213 roku, kiedy to święty Lambert dał zwycięstwo nad księciem Brabantu mieszkańcom Liège, których miał w swej pieczy, ale opowiada również o bitwie pod Bouvines jako o przedłużeniu tego sukcesu. Czwarte świadectwo napisane zostało w języku ludowym. Jest to kronika lat 1185–1217, zredagowana po 1220 roku dla Roberta z Béthune przez jednego z jego domowników, prawdopodobnie osobę świecką. Ten nadworny pisarz, jakich można było znaleźć w otoczeniu nawet bardzo drobnych feudałów, zredagował już był historię książąt normandzkich i królów angielskich; wiele w niej mówił o Janie bez Ziemi, któremu służył jego pan. Następnie zabrał się do drugiego dzieła, bardziej otwartego na sprawy Francji, które szeroko uwzględnia wydarzenie w Bouvines.

Treść tych czterech opowiadań pozwala lepiej odczytać opowiadanie Wilhelma Bretończyka. Aby uniknąć błędów, lektura ta wymaga jednak uprzednio właściwego usytuowania instytucji, konwenansów, pewnego systemu obrazów myślowych i zasad, które w tej części świata u progu XIII wieku stanowiły ramy akcji



wojskowej, ramy, których założenia ustaliły się ponad dwa wieki wcześniej. Kto chce dobrze zrozumieć to, co odbyło się na polu pod Bouvines 27 lipca 1214 roku, musi sięgnąć spojrzeniem w tę odległą przeszłość.

Przez wszystkie tysiąclecia, które gubią się w prehistorycznej nocy, wojna – w tekstach ludzi wykształconych z okresu Bouvines określa się ją germańskim i zlatynizowanym słowem *werra* – była zawsze rzeczą dobrą. Była normalnym zajęciem dla ludzi będących w stanie ją prowadzić. Odradzała się co roku wraz z dobrą pogodą, a bogowie ją błogosławili. Spełniała podstawową funkcję ekonomiczną, co najmniej tak ważną jak praca produkcyjna: walka była konieczna dla ochrony dochodów wielkiej czy małej społeczności, plemienia, klanu, grupy rodzinnej. Ale walka była również pomnożeniem tych dochodów, jak przy zbieractwie czy polowaniu, sięgnięciem po to wszystko, co dało się zabrać: ozdoby, żywność, bydło, chłopców, dziewczęta. Tak więc pokój był tylko przypadkową przerwą narzuconą przez okoliczności, wyczerpanie sił, brak łupów, złą pogodę – czasowym zawieszeniem, interludium, podczas którego przekazywanie bogactwa, do którego okazją stawała się wojna, przybierało inną formę: daru i rewanżu, wymiany matrymonialnej lub handlu.

I oto, wraz z bliskością roku tysięcznego, na chrześcijańskim Zachodzie ogłoszono wojnę złem. Bulwersująca zmiana. W myślach dostojników Kościoła powstała inna koncepcja pokoju, włączona w samo centrum globalnej wizji kosmosu, społeczności ludzkiej i

zbawienia. Koncepcja ta zawierała się również w próbach odnowienia świata, sprowadzenia struktur wi-  
dzialnego uniwersum do wzoru Bożych intencji. Takie  
były ówczesne zamierzenia biskupów i opatów naj-  
większych zakonów. Zbliżało się tysiąclecie męki  
Chrystusa. Należało zawrzeć z niebiosami nowe przy-  
mierze. Wszyscy już, nie tylko zakonnicy pogardliwie  
odnoszący się do swego stulecia, mieli się umartwiać,  
oczyścić z cielesnych nieczystości, wyrzec się gwałtu i  
rozlewu krwi ludzkiej, zrezygnować z pieniędzy i po-  
żądliwości ciała. Duch agresji i wszystkie działania z  
niego wynikające zostały zakazane i uznane za grzech.  
Dobry, sprawiedliwy i normalny był pokój; pokój był  
porządkiem rzeczy, pokój był samym Bogiem. Z tru-  
dem można pojąć rewolucyjność tej propozycji. Prze-  
kreślała ona radykalnie i definitywnie cały dotych-  
czasowy system wartości.

(I nie przypadkiem przemiana ta dokonuje się aku-  
rat w momencie, gdy rozwój stosunków handlowych  
zaczyna nabierać w Europie decydującego znaczenia:  
grabież zastąpiona jest handlem, którego fundamentem  
jest pokój na rynkach i jarmarkach; następuje upo-  
wszechnienie pieniędzy ostemplowanych krzyżem, tym  
samym krzyżem, który znakował na rozstajach wejście  
do strefy ochronnej i który na ubiorze krzyżowca zna-  
czył, że jego osoba powinna być wolna od jakichkol-  
wiek zagrożeń. Lecz w tenże sposób w łono ideologii  
Kościoła wkradała się sprzeczność. Bowiem hamując  
zamiłowanie do grabieży, Kościół podważał jednocze-  
śnie sens jałmużny, zmysł hojności

i bezinteresowności, które w moralności wojownika wiązały się ściśle z agresywnością. Kościół zaczynał powoli tolerować i rozgrzeszać zysk. Jest to początek długotrwałego procesu, który miał doprowadzić ludzi Kościoła do paktowania z ludźmi interesu i do uświęcenia zarobku.)

Trzeba było jednak poddać się temu stanowi rzeczy: Bóg nie króluje w sposób niepodzielny. Porządek Boski bywa zakłócony na ziemi, tak jak bywa zakłócony na niebie przejściem meteorów, które wytrącają gwiazdy z ich regularnego biegu. Dualistyczna wizja świata panuje nad ówczesnym myśleniem. W stworzeniu, w osobie człowieka mieszają się dwie natury, duchowa i cielesna. Duch i ciało. Ciało, spotniałe, mroczne, gadzinowate, jest żywicielem występków – przede wszystkim pychy, która jest odrzuceniem światłości. W nim również zakorzeniona jest żądza posiadania i dominowania. Tak samo można przeciwstawić pokój i wojnę; pokój pochodzi z ducha, wojna – z ciała i z krwi. Ci, którzy pragną urzeczywistnić Królestwo, muszą pracować nad ograniczeniem udziału oręza, potępionego w takim samym stopniu co pieniądz czy seks. Ale w tym celu muszą sami walczyć i tutaj powstaje druga sprzeczność, dużo głębsza. Bóg jest nie tylko Barankiem. Należy również wyobrazić Go sobie, co dopuszcza wiele tekstów *Pisma Świętego*, jako wodza armii, jako strasznego króla grożącego mieczem. Taki wizerunek narzuca się tym bardziej, że zgodny jest z obrazem moralności przedchrześcijańskiej, etyki właściwej górnej, a więc dominującej warstwie spo-

łecznej, z której wywodziło się całe kierownictwo Kościoła: grupie ludzi prowadzących wojny. Tak więc duch wojny przenika bardzo głęboko świat wyobraźni chrześcijańskiej, ukazuje Odwiecznego jako rzucającego gromy i umieszcza na kartach *Apokalipsy* miecz w zębach Chrystusa. I rzeczywiście Bóg wydaje codzienną walkę wrogim siłom opierającym się Jego dekretem: atakuje, oblega fortece, depcze powalonych nieprzyjaciół. Dobry chrześcijanin powinien stanąć w szeregach Jego armii, pod Jego sztandarem; wezwany do walki, wraz z Nim, orężem ma pomagać w obronie słabych, w pomszczeniu zniewag, w stłumieniu niewiary. *Tuitio, ultio, dilatatio* – bronić, mścić, powiększać domenę prawdziwej wiary, oto trzy aspekty działania, które jest również działaniem Boga. Akcja wojskowa. Ponieważ świat jest niedoskonały, pokój nie może zapanować bez wojny.

Prowadzona w takim celu wojna ponownie staje się sprawiedliwa i walczyć nie jest już grzechem. Tak powiedzieli Ojcowie Kościoła. Na przykład Izydor z Sewilli: „Sprawiedliwa jest wojna, jeśli na mocy jakiegoś edyktu jest prowadzona w celu odzyskania swoich dóbr i odparcia napastników.” Gdyż Bóg obrał sobie pomocników na ziemi. Są nimi królowie, którym koronacja przydaje Jego potęgi. Każdy człowiek może legalnie – glossa dekretu XXIII wyraźnie to przyznaje – walczyć w swojej obronie, pomścić swe krzywdy, a wówczas Opatrzność go wspomůže. Król „pokoju” powinien jednak dopilnować porządku w dokonywaniu tych prywatnych wymiarów sprawiedliwości, zapropo-

nować swój arbitraż przed dopuszczeniem do walki wręcz między przeciwnikami, przewodniczyć posiedzeniom rozjemczym, z mieczem w dłoni egzekwować ich orzeczenia i przychodzić z pomocą, na ich wezwanie, ofiarom zbyt słabym, aby mogły pomścić się same. Wspomagać wszystkich, na których ciążyą złe siły – oto jest najważniejsza misja, którą formuły błogosławieństwa wyznaczają jego mieczowi i jego sztandarowi podczas ceremonii koronacyjnej, wzywając Boga walki. Ekspedycje prowadzone w tym celu są uświęcane, okadzane, błogosławione. W 1066 roku, gdy książę normandzki Wilhelm wyruszył przeciwko królowi Anglików z różańcem relikwii na szyi, sam papież „rozkazał mu chwycić śmiało za broń przeciwko krzywoprzysięzcy i posłał mu chorągiew świętego Piotra, która miała go chronić od wszelkiego niebezpieczeństwa”. Ponieważ akcja wojenna przedstawiona jest jako riposta na „zakłócenie pokoju”, tego uniwersalnego porządku, czemu wszyscy dobrzy chrześcijanie muszą usiłować zapobiec, staje się ona wprost uświęcona, jeśli jest prowadzona przez prawowitych dowódców ludu. Jest dziełem pokoju, a ponieważ pokój to Chrystus, jest więc dziełem wiary. „Reforma pokoju oraz instytucji świętej wiary” – historyk Raul Glaber wyraża bardzo jasno w połowie XI wieku nierozzerwalność tego przy mierza. Jako sprawa wiary pokój jest sprawą Kościoła. Aby uszanować jednak porządek świata, funkcja Kościoła ogranicza się do wspomagania modlitwą instytucji, na której, według Bożego zamysłu, opiera się każde pokojowe przedsięwzięcie; instytucją tą jest monarchia.

Może się jednak zdarzyć, że królowie i prawie królowie, jakimi stali się we Francji od końca X wieku władcy wielkich księstw regionalnych, okażą się niezdolni do wykonywania swych zadań. Wówczas tamy puszczają i następuje inwazja zamieszek. Taką właśnie eskalację, wynikłą z bałaganu, złej wojny i towarzyszącej jej plagi, herezji, dostrzegli prałaci około roku tysięcznego na południu Francji, w najbardziej oddalonych od pałaców możnowładców prowincjach. Poczuli się wówczas zobowiązani do wzięcia w swoje ręce sprawy pokoju, do zajęcia się tym, co powinno było pozostać misją królewską. W tym celu, z poparciem miejscowych książąt, zwołali szereg soborów. Tak rozpoczął się ruch w sprawie „pokoju Bożego”. Zgromadzenia, które wylansowały ten ruch, utworzyły stopniowo ogólną reprezentację ludzkiej społeczności, dzielącej ludzi na trzy stany, z których każdy był obarczony jedną z trzech funkcji, jakie dotychczas przypadały godności królewskiej. Oddzielne zaklasyfikowanie ludzi modlitwy, ludzi wojny i ludzi pracy odpowiadało rzeczywistym układom społecznym. W wyniku bowiem wielowiekowej ewolucji, która zmodyfikowała technikę wojenną, układy polityczne i stosunki międzyludzkie, społeczność pracujących chłopów była wówczas, w ramach władzy feudalnej, definitywnie podporządkowana wyzyskowi panów, podczas gdy gra wojenna stała się faktycznie monopolem niewielkiej liczby jeźdźców, którzy jako jedyni posiadali skuteczne uzbrojenie. W chwili gdy ustalały się, w ramach hołdu i lenna, zbrojne usługi należne miejscowemu księciu ze

strony specjalistów wojennych, zwanych w potocznym języku rycerzami, taka koncepcja porządku społecznego zakładała ochronę wszystkich chrześcijan bezbronnych, czyli narażonych na atak – mnichów, duchownych oraz masy biedoty – za pomocą pokoju nie królewskiego, lecz Bożego. Z kolei praktyka wojenna zarezerwowana była dla nielicznych bogaczy. W ten sposób nowa ideologia wyznaczała granicę pomiędzy domeną oręża, czyli zła, a resztą. Wytyczała ściśle jej społeczne rozgraniczenia, usiłując murem zakazów zatrzymać zalew gwałtowności, ściągając na tych, którzy ośmieliliby się je przekroczyć, zemstę wszechmogącego Boga. W ten sposób rycerstwo utrzymywane było w ryzach, ale jednocześnie odizolowane, jakby wyjęte spod prawa, wydane na pastwę fermentów zła.

Wkrótce jednak Kościół stwierdził, że do jego obowiązków należała ochrona tych łupieżców – ludzi gwałtownych, z pewnością niebezpiecznych, lecz przecież ochrzczonych – przed wpływem sił szatańskich. Zapragnął im pomóc w zbawieniu duszy, próbował ich oswoić. Tę broń, którą tylko oni mieli prawo nosić, a która była jakby emblematem ich wyższości, kapłani zaczęli błogosławić, przejmując w tym celu formuły konsekracji królewskiego miecza. Wszystko to, aby nakłonić stan rycerski do prowadzenia wojny wyłącznie w obronie słabych, dla pomszczenia nieukaranych zbrodni, dla ekspansji chrześcijaństwa, tak jak dawniej zobowiązywali się czynić to królowie. Tym sposobem Kościół zamierzał uczynić z wszystkich, których urodzenie, wartość krwi i bogactwo sytuowało w szere-

gach rycerzy, swojego rodzaju królów, a w każdym razie żołnierzy nowego, głoszonego przez siebie pokoju – pokoju Bożego, bojowników wojny sprawiedliwej, wojny świętej. W 1095 roku zmobilizował rycerstwo do oswobodzenia grobu Chrystusa, wyzwalając jego agresję pod warunkiem, że rozpęta się ona poza społecznością chrześcijańską, w ramach odległej i zba-wiennej przygody – wyprawy krzyżowej. Już wcześniej, w drugim dziesięcioleciu XI wieku, ustaliły się obyczaje, które, w wigilię tysiąclecia Męki Pańskiej, narzucały rycerstwu, w wielkim zrywie zbiorowej pokuty, pewne wyrzeczenia żywnościowe i seksualne. Wprowadzając w życie pojęcie wojny sprawiedliwej, obyczaje te ustalały, co w zachowaniu rycerzy wobec innych wojowników było dozwolone, co niedozwolone, co czyste, a co nieczyste, co białe, a co czarne. W każdej diecezji zapraszano rycerzy na zgromadzenia, w czasie których zobowiązywali się pod przysięgą do zachowania pewnych reguł; na przykład nie wolno było atakować przeciwnika, który podczas Wielkiego Postu, dla odkupienia grzechów, zdecydowałby się na czasowe odłożenie ekwipunku wojennego, stawiając się w ten sposób pośród biedaków, czyli pod ochroną pokoju Bożego. W 1027 roku sformułowana zostaje po raz pierwszy zasada, że nikomu nie wolno zaatakować nieprzyjaciela pomiędzy ostatnią godziną soboty a pierwszą godziną poniedziałku. Jest to pokój niedzielny, który wkrótce rozszerzony zostanie, na pamiętkę Męki Chrystusa, na czwartek, piątek i sobotę każdego tygodnia i nazwany „rozejmem Bożym” (*treu-*



*ga Dei, treuga Domini*). W razie naruszenia tej reguły sędziami byli biskupi. Przeciwno łamiącym pokój stosowali oni klątwę, ekskomunikę, wyłączali ich ze społeczności chrześcijańskiej, przywoływali na nich gniew nieba, a w razie braku poprawy skazywali na piekło najgorszych demonów.

Ponieważ dotyczyła wiary, nowa etyka wojenna podpadała w sposób naturalny pod jurysdykcję biskupów. Wkrótce miała wejść w zakres sądownictwa papieskiego, bowiem poprzez reformy, które dokonały się w XI wieku, Kościół skupił się stopniowo wokół autorytetu biskupa Rzymu. Biskup ten stał się więc najwyższym zarządcą pokoju. W 1059 roku synod rzymski rozciągnął *treuga Domini* na całe chrześcijaństwo. W Clermont w 1095 roku, w ramach systemu przepisów karnych mających na celu ustalenie rycerskich wyrzeczeń, reguły rozejmu Bożego zostały uroczyście ogłoszone przez papieża Urbana II; w przemówieniu papieża, nawołującym do świętej wojny, wyprawa krzyżowa i pokój Boży były zjawiskami wzajemnie się uzupełniającymi. Na soborze w Reims Kalikst II formułuje w 1119 roku doktrynę pokoju, która, jako doktryna papieska, ma obowiązywać w całym Kościele. Oto jego oświadczenie zanotowane przez kronikarza Orderica Vitala: Chrystus pojawił się wśród nas dla pokoju; „dołożmy zatem jak największych starań, aby zapewnić pokój i zbawienie jego członkom [to znaczy ludom chrześcijańskim odkupionym Jego krwią], gdyż my sami jesteśmy ministrami i dyspozytorami porządku Boga”; „bunty ludzi wojny prowadzą do zamieszek

i rozkładu narodów (...), niepozwalają na kontemplację spraw duchowych (...), opróżniają kościoły (...), niepokoją duchowieństwo (...), niszczą regularną dyscyplinę (...), w sposób oplakany narażają wstydlivość i czystość na szaleństwa zła”; pokój jest „ogólnym dobrem każdego stworzenia obdarzonego rozumem”, każdej istoty, w której cząstka duchowa posiada jakąś wagę; panuje on w sposób niepodzielny w niebiańskim uniwersum, w nie zepsutej części stworzenia; „ściśle tym pokojem złączeni, mieszkańcy niebios żyją w radości, podczas gdy śmiertelni nie dbają o połączenie się jego węzłem”. Aby świat widzialny nie różnił się zbyt od niewidzialnego, papież nakazuje ściśle przestrzeganie rozejmu Bożego. Grozi klątwą wszystkim tym, którzy sprzeciwiliby się „położeniu kresu, zgodnie z prawem Bożym, zgiełkowi wojen i radowaniu się bezpieczeństwem odpoczynku, wraz z ludami, które są im poddane”.

W imię takiej moralności, ustanawiając się jednocześnie ponad wszystkimi książętami tej ziemi, papieże będą sobie rościć prawo, *ratione peccati*, do wpływania na każdą decyzję polityczną, „która mogłaby wywołać wojnę niesprawiedliwą. Jeśli zajdzie tego potrzeba, będą razić wodzów karami duchowymi. Przez cały wiek XII: w Lateranie w 1123 roku, w Clermont i w Reims w 1130–1131 roku, potem znów w Lateranie w 1139 roku, w Reims w 1148 roku, w Tours w 1163 roku i po raz trzeci w Lateranie w 1179 roku zgromadzenia zebrane pod przewodnictwem papieża opracowywały, poszerzały i precyzowały instrukcje pokoju. Jeszcze

w 1212 roku Innocenty III organizuje w czasie oktawy Zielonych Świątek procesje w intencji pokoju i wyprawy krzyżowej. Przywrócić zgodę od wewnątrz, przetrząść na zewnątrz wysiłek wojenny rycerzy Chrystusa – takie jest posłannictwo legatów Stolicy Apostolskiej. Od chwili wstąpienia na tron Filipa Augusta kładą oni coraz większy nacisk na sprawę pokoju, wykonując pomiędzy zwaśnionymi mocarstwami rodzaj nieustającego baletu, odwiedzając przeciwne obozy z namową, targiem lub groźbami. W czasach bitwy pod Bouvines sprawę pokoju i wiary Kościół rzymski, monarchiczny, totalitarny Kościół Innocentego III, ma zamiar bardziej niż kiedykolwiek uczynić swoją sprawą.

\* \* \*

Niepohamowany rozwój, od ponad dwóch wieków ożywiający cały Zachód, przyczynił się jednak do powstania pewnych przeszkód dla kościelnej ideologii pokoju. Przede wszystkim dlatego, że spowodował stopniowe krzepnięcie wielkich formacji politycznych. Ruch pokojowy, zapoczątkowany przez prałatów, rozwinął się tam, gdzie zabrakło potęgi książęcej. Książęta nie pozwolili jednak nigdy pozbawić się przywilejów. Nigdy nie zapomnieli, iż zarządzanie wojną i pokojem należało do nich, zgodnie z wolą Boga. A gdy tylko leżało to w ich mocy, dokładali wszelkich wysiłków, aby działać zgodnie z tym przekonaniem.

W 1214 roku na Południu królestwa Francji nie udało im się tego dokonać; na Południu, niezbyt odległym od Paryża, gdyż zaczynało się ono zaraz za Tours,

Orleanem, Châlon-sur-Saône. Jako olbrzymi obszar, na którym zrodziły się pojęcia pokoju i rozejmu Bożego, który był świadkiem początków reformy, zwanej gregoriańską, przez który przejeżdżali papieże we własnej osobie i gdzie ich wpływ był większy niż gdziekolwiek indziej, Południe posiadało swój własny system rozgraniczeń i wzajemnych stosunków pomiędzy tym, co święte, a tym, co świeckie, dzięki czemu stało się ono kolebką miłości rycerskiej i okazało się tak przychylnie dla katarów: w połowie XII wieku to Południe pozostawało, według opata z Cluny, Piotra Czcigodnego, „bez króla, bez księcia i bez pana”. Takie też było jeszcze w czasie bitwy pod Bouvines. Należy przez to rozumieć, że władcy tamtejszych księstw – nader rozległych i nie tak skupionych jak na Północy – zderzają się z potęgą tysięcy niezależnych zamków i miast najeżonych wieżami i z trudem tylko mogą polegać na sieci powiązań, stworzonych przez hołdy i lenna, na więzach międzyludzkich, które jeśli idzie o te okolice, są do dziś niedostatecznie jeszcze przebadane przez historyków, a wydają się bardzo luźne. Ziemie te pokrywają rozległe alodia, lenna bez powinności, dzierżone niepodzielnie przez licznych drobnych seniorów, związanych coraz słabszymi więzami obowiązków pomocy i rady wzajemnej. W każdym razie w oczach rycerzy z Ile-de-France, którzy marzą o tym, aby je zająć, ziemie te jawią się jako zapełnione ludźmi bez wiary, „zepsutymi”, na których nie można liczyć, gdyż zapominają o przysiędze i w każdej chwili gotowi są opuścić jednego pana dla drugiego. Wilhelm, marszałek Anglii, bohater

rycerskiej wojny, wsławiony pieśnią napisaną wkrótce po Bouvines, zapytał pewnego dnia Filipa Augusta, mając na myśli mieszkańców Poitou, których zmienność sprzyjała knowaniom kapetyńskim przeciw Plantagenetom, dlaczego zdrajcy, których dawniej we Francji palono, ćwiartowano i rozrywano końmi, teraz byli panami. Król odpowiedział mu: „To jest kupczenie [czyli sprawa kupców, a więc godna pogardy]. Należy traktować ich jak papier do podcierania: wyrzucać.” W rzeczywistości rycerze Południa mają inne poczucie honoru, którego Francuzi z Północy nie pojmują. Ale właśnie ono osłabia fundamenty władzy książęcej, folguje nieporządkom, przeszkadza księżom i hrabiom w utrzymaniu należnej im pozycji ludzi zapewniających pokój. Kwitnący w tych prowincjach pokój nie jest ich pokojem. Tak samo jak na początku XII wieku, jest to pokój soborów i zgromadzeń, na które co pewien czas zjeżdżali rycerze na przysięgę. Jest to pokój biskupów i papieża.

W każdej diecezji „sprawiedliwość chrześcijańska”, prawo karania tych, którzy łamiąc przysięgę, oddają się łupiestwu i gwałtom, należy wyłącznie do prałatów; książę jest dla nich po prostu „adiutorem”; którego interwencji domagają się, gdy trzeba zmusić oskarżonych do stawienia się albo wykonać wyrok. Począwszy od lat sześćdziesiątych XII wieku, odkąd niebezpieczne stało się zapuszczanie na drogi w krajach południowych, odkąd poczucie zagrożenia opróżniło tereny jarmarczne i zniszczyło handel, zbrojne hordy rozmnożyły się i rozpanoszyły, a wrzenie heretyckie

ogarnęło cały kraj, sobory papieskie zobowiązały biskupów, a nie książąt – których słusznie podejrzewano o zмовę ze sprawcami zamieszek – do zorganizowania świętej wojny przeciwko łamiącym zakazy i zwalczającym Boga. Prałaci rozdawali odpusty i udzielali ochrony, jak na przykład pielgrzymującym do Ziemi Świętej, wszystkim mężczyznom, którzy „płonąc wiarą wykonaliby sprawiedliwą pracę”, walcząc z tymi, którzy zbrukali swe zbroje; rzucali klątwę na młodych i zdrowych, którzy zawahaliby się pójść w ich ślady. We Francji południowej, zarówno heretyckiej, jak i papieskiej, biskupi postanowili zgromadzić wokół siebie do walki nie tylko rycerzy, lecz po prostu wszystkich, tak jak usiłował to zrobić w 1038 roku biskup Bourges. W każdej parafii mężczyźni powyżej piętnastego roku życia musieli zobowiązać się do udzielenia zbrojnej pomocy tym, którzy czynili pokój. Ludzie trzeciego stanu, ludzie pracy, których pierwotne koncepcje pokoju Bożego rozbrajały na zawsze, ci oto ludzie zostali również powołani pod sztandary świętych patronów, powołani na wojnę. A jeśli byli niezdolni do walki – do płacenia rocznej składki na „cele zachowania pokoju”. Pokoju biskupiego, diecezjalnego, ale coraz bardziej ludowego. I wkrótce tak utworzone ramy wypełniły się wrzeniem w świecie rzemieślników i przekupniów.

Poruszenie to ujawniło się w formie gwałtownego i niepokojącego wybuchu w Puy zimą 1182 roku. Pewien cieśla, człowiek ciężkiej pracy fizycznej, szpetny, upośledzony na umyśle, a na dodatek żonaty i ojciec rodziny, miał widzenie: od Matki Boskiej otrzymał

znak oraz nakaz głoszenia pokoju. Prawie natychmiast utworzyła się wokół niego sekta. W ciągu kilku miesięcy rozrosła się, wkrótce miała swoją kasę – gdyż jej członkowie to nie byli nędzarze, lecz rzemieślnicy i kupcy, którym niewątpliwie wojna rycerzy przynosiła straty; byli to ludzie oszczędni, przechowujący swoje denary, którzy mogli zapłacić wpisowe, zakupić insygnia bractwa, opłacać swój udział. Rozpoznawano ich po ubiorze, który symbolizował dobrowolne oczyszczenie: kaptur z białej wełny. Jako pokutnicy wyrzekali się gry w kości, przekleństw, wszelakiej między sobą zemsty, a przyrzekali sobie wzajemną pomoc. Uzbrojeni, mimo że byli zwolennikami miłosierdzia i czystości. Odpowiadając na apel Najświętszej Panny, podejmowali się wspólnej walki z tymi, którzy winni byli wojny.

Mimo długotrwałych zastrzeżeń, na wiosnę biskup musiał udzielić ruchowi swego błogosławieństwa; spróbował przyłączyć do niego książąt i rycerzy, a następnie wysłał ich do walki z rozbójnikami. Pewnego wieczoru Zakapturzeni wrócili do Puy, niosąc w triumfie uciętą głowę szefa bandy. Wkrótce jednak nastąpiło szybkie i nieuniknione odchylenie: sekta zaczęła negować porządek społeczny. W jej łonie, w postawach pokutnych, jakie narzucała swoim członkom, i w takim samym dla wszystkich habicie, zacierającym różnice stanu, wszystkie ziemskie godności zostały zniesione: czyż dzieci Boga nie są wolne i równe między sobą, tak jak były w pierwszych dniach Stworzenia, jak będą w chwale paruzji? Po co opłacać się seniorom? Jest to

przecież cena opieki, której ludzie wojny nie są już w stanie zapewnić. A ponieważ lud jest teraz uzbrojony i może sam się bronić, dlaczego miałyby utrzymywać feudalnymi świadczeniami stan rycerski, który nie spełnia już swoich powinności? Przypominając, że zbliża się koniec świata i że trzeba się doń przygotować, ruch Zakapturzonych wydał walkę nieusprawiedliwionym przywilejom. Przywilejom ludzi wojny i ludzi modlitwy. Wtedy to sekta ukazała tym, którym zagrażała, swe prawdziwe oblicze. Wywrotowe, wypaczone. Dla wszystkich kanoników, tych właściwie seniorów, stowarzyszenie utworzone dla pokoju stało się nasieniem diabelskim, którego mroków nie mogły już skryć białe kaptury. Tym razem księża zwrócili się o pomoc do rycerstwa, również seniorów, którzy od powiedzieli natychmiast, zarówno ci dobrzy, jak i ci źli, zapominając o waśniach, nie myśląc o niczym innym, jak o podtrzymaniu gmachu społecznego, który chwiał się w posiadach. Biskupi zorganizowali wówczas akcję wojskową przeciwko fałszywym, skażonym konfratom pokoju; z mieczem w dłoni wyruszyli wykorzeń zarażę, zgniłą od heretyckich miazmatów. Ale w roku 1214 nikt nie jest pewien, czy się ona znów nie pojawi. Na Południu Francji królestwo pozostaje wewnętrznie podzielone; pokój nie może opierać się na samym tylko porozumieniu prałatów z ubogimi: uzbroić tych ostatnich bez przydania im dowództwa specjalistów od wojny doprowadziłoby szybko do zerwania tryfunkcyjnego porządku, ustalonego przez Stwórcę dla ludzkiej



społeczności. Udział książąt w dziele pokoju jest konieczny. A brak go jeszcze w tej części Francji.

Północ nie zna takich sprzeczności. Kiedy w 1212 roku powstały w tamtejszych wsiach bandy „dzieci” – to znaczy osobników z ludu żyjących poza rodzinami, pasterzy, młodszych synów, zgłodniałych i wędrujących w poszukiwaniu przygód – bandy te również woływały się na znaki z nieba; ale przyszły z nimi do Filipa Augusta, który naradził się wówczas z profesorami uczelni paryskich. Hordy ubogich marzyły jednak o wyzwoleniu grobu Chrystusa, nie o ściganiu rębaczy czy o zniesieniu praw feudalnych, w celu ustalenia wewnętrznego pokoju – nawet jeśli po drodze ograbiły jakieś stodoły z dziesięciną. Jakiś przecież porządek istniał w tych prowincjach, gdzie od dawien dawna i zgodnie z intencjami Boskimi książęta przejęli w swe ręce instytucje pokoju.

\* \* \*

Uformowane na Południu królestwa, owe instytucje pokoju, przeniknęły do Francji północnej, gdy okazało się – a było to w latach dwudziestych XI wieku – że nawet w tych okolicach król nie potrafi już utrzymać porządku. Ale wtopiły się one wówczas w struktury kilku regionalnych księstw, tych, których władcy dysponowali siłą, najsolidniej ukonstytuowanych, takich jak Flandria i Normandia. We Flandrii przyjęto prawa pokoju w 1042–1043 roku na soborze w Thérouanne. Chociaż, prawdę mówiąc, częściowo; nie było bowiem żadnej aluzji do pokoju Bożego, do zakazów chronią-

cych od gwałtów miejsca uświęcone, osoby z kleru, mnichów i biednych. Ogłoszono tylko rozejm. Czuwanie nad jego przestrzeganiem należało do hrabiego, sprzymierzonego z biskupem. Książę zachowuje swoje przywileje: w dniach powstrzymywania się od wojny on jeden ma prawo organizować wyprawy dla wspólnego dobra, ale bacząc, by towarzyszący mu rycerze nie nadużywali rekwizycji. I nie biskup sądzi za złamanie pokoju (*fractio pacts*), ale dwór hrabiowski, przed którym oskarżeni muszą się usprawiedliwić pod przysięgą, otoczeni dwunastoma parami, albo poddać się próbie rozpalonego żelaza. Potęga książęca utwierdza się więc jako źródło wszelkiego pokoju. Tak samo jak w Normandii, gdzie na wzór zaleceń z Théroouanne przyjęto zarządzenia pokojowe, gdy tylko książę Wilhelm, przyszły zdobywca Anglii, umocnił swoją władzę i utrwał ją w oparciu o wyższe warstwy hierarchii kościelnej; inicjatywa wyszła od niego. Tu również wprowadzony został tylko rozejm – czasowe zawieszenie prywatnych pomst. Każda wojna w uświęconym okresie, poza wojną prowadzoną osobiście przez księcia albo króla Francji, uznana została za nielegalną i żadna inna władza represyjna nie zastępowała władzy księcia. Pod koniec XI wieku, kiedy spadkobierca Wilhelma Zdobywcy wypuścił władzę z rąk, a zamieszki i gwałty rozpanoszyły się we wsiach normandzkich, biskupi tej krainy zgromadzili się w Rouen i usiłowali zaprowadzić system pokoju na wzór tego, który panował w południowych prowincjach: specjalną ochronę kościołów i ubogich, pakt, przysięgę złożoną przez

wszystkich mężczyzn od dwunastego roku życia, przysiężenie, milicję zorganizowaną przez prałatów. Ale, jak mówi Orderic Vital, „ponieważ śladem biskupów nie poszło najwyższe sądownictwo, ich nakazy nie na wiele się zdały. Wszystko, co ustanowili, stało się właściwie bezużyteczne.” Istotnie, za panowania nowego księcia, Henryka Beauclerc, pokój stał się znów pokojem książęcym.

Co się tyczy króla, to wiele czasu upłynęło, nim utwierdził on swoją pozycję najwyższego obrońcy pokoju. Zarządzał on bowiem swoim własnym księstwem ręką niezbyt stanowczą. Na terenie domen królewskich, pod samymi bramami pałaców kapetyńskich, panowie na zamkach urastali do rangi autonomicznych potęg. Pierwszym zadaniem władcy stało się ujarzmienie tych konkurentów – rzecz niełatwa. W początku XII wieku Ludwik VI, dziad Filipa Augusta, robił już, co mógł. Otoczony gromadką wiernych przyjaciół, towarzyszy z lat dzieciństwa, nie zsiadając z konia, z pochodnią w ręku przeciw palisadom tych urągających mu fortec, walczył w niepozornych potyczkach, powtarzających się każdego lata. Nic więcej nie mógł uczynić. Tej podjazdowej wojnie, prowadzonej przez króla uzbrojonego we własne tylko cnoty i Boskie pomazanie, przeciwstawiano wówczas wojnę toczoną przez króla Anglii, Wilhelma Rudego, który, dzięki zasobności skarbu (kraj po drugiej stronie kanału La Manche obfitował już wówczas w pieniądze), mógł najać rębaczy.

Ale obok Kapetynga stał pewien mentor, człowiek o dużo szerszym polu widzenia, ze świadomością abs-

trakcyjnych zasad: opat z Saint-Denis. Ogarnięty był on wspomnieniem Karolingów, ideą wielkości i zjednoczenia królestwa. Przewodziła mu nade wszystko myśl Pseudo-Dionizego Areopagity, którego mylił ze Św. Dionizym spoczywającym w krypcie Saint-Denis, teologia światłości rozsiewanej stopniowo przez jedyne źródło Bożej miłości – mistyczna koncepcja hierarchii władzy. Suger przejął od niego tę wizję kosmosu, przedstawił króla jako pomazańca i jedyną hipostazę Boga, jako przewyższającego wszystkich książąt królestwa, a tych ostatnich jako dominujących nad rycerstwem; z najskromniejszymi pośród rycerzy wiązały władcę liczne ogniwa feudalnego łańcucha, splot wzajemnych zależności. I podczas gdy król Ludwik zamęczał się pozornie bezskutecznymi rozjazdami, Suger ogłosił: Jest obowiązkiem królów poskramiać potężnym ramieniem i prawem, wynikającym z urzędu, śmiałość tyranów, którzy szarpią państwo nie kończącymi się wojnami, lubują się w grabieżach, trapią ubogich, niszczą kościoły.” Kiedy więc wodzowie lokalnych band, którzy powinni być pomocni Boskiemu namiestnikowi w jego pokojowym działaniu, pozwalają się opętać pożądliwościom i duchowi grabieży, obowiązkiem króla jest oprzeć się na Kościele oraz na ubogich, których jest opiekunem, i sprowadzić zbłąkanych na drogę sprawiedliwości. Jest to podstawowa myśl, sprężyna wszystkich zrywów dla obrony majestatu, które pod Bouvines skupią się wokół osoby króla Francji. Opowiadając o życiu Ludwika VI, Suger głosi chwałę pewnego wiejskiego proboszcza, który, aby

pomóc rycerzom z otoczenia króla, atakującym zamek w Puiset, pociągnął za sobą gromadę chłopów, swoich parafian, przeciwko złemu seniorowi.

Na tym polegała zmiana: w księstwie rządzone przez Kapetynga zorganizowały się w tym okresie komuny, będące właściwie stowarzyszeniami pokoju: milicje parafialne utworzone z ludu, podobne do tych, które arcybiskup Bourges utworzył w 1038 roku, oraz do tych, które miały powstawać później w diecezjach Południa. Istniała jednak zasadnicza różnica: członkowie tych komun zbierali się na wezwanie suwerena, nie zaś biskupa. Mobilizacja nie stanowiła czynnika nieporządku. Ponieważ Bóg nałożył na króla obowiązek kierowania ludem, mógł on, nie naruszając porządku świata, uzbroić ubogich i wysłać ich na sprawiedliwą wojnę; król był przecież pomazańcem. Powstanie tych komun opisuje Orderic Vital, który, przyzwyczajony do stosunków normandzkich, jest nieco zaskoczony. Ludwikowi VI – mówi – brakowało sił „do zgnięcia tyranii zbójów i buntowników”, zwrócił się więc do biskupów; wówczas ci „założyli we Francji ludową komunę, w ramach której księża towarzyszyliby królowi w czasie walk i oblężeń, ze sztandarami i z parafianami”. Amaury z Montfort tak ponoć zachęcał Ludwika VI, swego suwerena: „Niechaj biskupi, hrabiowie i inni baronowie z Twoich domen zbiorą się wokół Ciebie; niechaj księża wraz z parafianami pójdą za Tobą, dokąd rozkażesz, i niech armia złożona z prostych ludzi dokona zbiorowej zemsty na wrogach ludu.” Biskupi „ochocho posłuchali, rzucając klątwę na księży i parafian ich

diecezji, którzy by nie pośpieszyli na czas za królem w jego wyprawach”. Król Francji jest królem Sądu Ostatecznego i całego rodzaju ludzkiego; pozostając w bezpośredniej łączności z niebiosami, może nie tylko walczyć podczas rozejmu, gdyż jest ramieniem Boga, ale wolno mu rekrutować na swoją wojnę, wojnę dobrą, ludzi nie powołanych do walki, ustawiając ich pod dzierzonym przez siebie świętym sztandarem. Nie przypadkiem pod Bouvines królewski proporzec wojenny strzeżony jest przez ludzi z komun. Jest on uzasadnieniem ich obecności, gwarancją ich siły.

W każdym razie Kapetyńczyk, mniej ograniczony niż jego przodkowie, zaczął wiązać ze swą osobą pokój biskupi, jak tylko mógł sobie na to pozwolić. Sobory aprobowwały początkowo wszystkie jego kampanie. Legat papieski, przewodniczący w 1115 roku soborowi w Soissons, na którym rzucano gromy na łamiących pokój Boży, wezwał uroczyście króla do rozpoczęcia działań przeciwko jednemu z nich, Tomaszowi z Marleś; wszystkim towarzyszom królewskim gwarantował szczególne przywileje, należne rycerzom Chrystusa walczącym w świętej wojnie. Wracając z tej pobłogosławionej wyprawy, książę Nevers, walczący po stronie króla, został wzięty do niewoli przez Tybalda z Blois. Ludwik VI odwołał się natychmiast do sądu biskupiego, a wreszcie na soborze w Reims w 1119 roku złożył skargę do samego papieża, który to sobór przyznał mu rację. Tak wyglądała uświęcona oprawa działań, w którą wpisywała się odtąd każda akcja wojskowa królów Francji. Z tej też epoki pochodzą specjalne względy,

okazywane sztandarowi świętego Dionizego, jak również wojenny okrzyk: Montjoie-Saint-Denis (powołujący się jednocześnie na specjalną opiekę pierwszego męczennika Paryża i na patronat papieski, gdyż Montjoie jest ostatnim etapem podróży do Rzymu, gdzie przed pielgrzymem odsłania się wreszcie Święte Miasto). W imię Boga Kapetyńczyk obarczony jest *tuitio* w Reims, w 1119 roku Ludwik VI wziął pod własną „opiekę”, obronę i kuratelę „opactwo w Cluny, tak ściśle związane z Rzymem; zgromadziwszy wszystkich wielkich feudałów, podjął w 1124 roku marsz *pro defensione patriae* przeciwko cesarzowi Henrykowi V, który chciał wtargnąć do królestwa. Jest obarczony obowiązkiem *ultio* w 1127 roku, po skonsultowaniu się z soborem, Ludwik VI poprowadził swoich feudałów na Flandrię, aby pomścić śmierć hrabiego Karola Dobrego i zniszczyć jego morderców, świętokradców i ojcobójców – „najszlachetniejsza akcja tego panowania”, pisze Suger, która pozostawiła kraje flamandzkie „wybielone i jakby ponownie ochrzczone poprzez kary i obfity przelew krwi”. Historyk Arieu Grabois przypuszcza, na podstawie listu biskupa Iwona z Chartres, że ten sam król Ludwik usiłował przed 1114 rokiem – idąc za przykładem hrabiego Roberta z Flandrii, który odnowił w 1111 roku pokój zawarty w Théroouanne – ustanowić jakieś zasady pokojowe dla całego królestwa Francji. Była to próba wprowadzenia w życie idei, że od króla emanowała sprawiedliwość, wyższa od sprawiedliwości książąt, gdyż pochodząca bezpośrednio z przekazu Bożego.

W każdym razie w tych właśnie latach zaczęło kształtować się abstrakcyjne pojęcie „korony”, zespołu odwiecznych praw wywodzących się z samej godności królewskiej, niezależnie od osoby panującego, związane z symbolicznym przedmiotem – emblematem przekazywanym z ojca na syna i oddanym pod opiekę mnichom z Saint-Denis. Wśród tych przywilejów jest między innymi pełna władza nad wszystkimi zamkami, gdyż są one symbolem powszechnego pokoju. W dokumencie, w którym zobowiązywał się do opieki nad klasztorem w Cluny – mocno oddalonym od jego włości, ale leżącym w obrębie królestwa – Ludwik VI zastrzegł sobie utrzymanie „w posiadaniu korony Francji fortec, zamków i murów obronnych”, aby móc publicznie „troszczyć się o potrzeby i obronę korony Francji”.

\* \* \*

Zdecydowany zwrot w wytrwałym działaniu królów, mającym na celu ponowne ujęcie w swe ręce prowadzenia wojny i ochrony pokoju, wypada umieścić około połowy XII wieku, mniej więcej sześćdziesiąt lat przed bitwą pod Bouvines, nieco przed narodzeniem się Filipa Augusta, za panowania króla Ludwika VII. Samemu władcy nie należy przypisywać tego przełomu, chociaż nieszczęsny małżonek Alienor z Akwitanii z pewnością nie zasługuje na taką niesławę, jaką obarczyli go historycy Francji. Zwrot ów nastąpił w bardzo korzystnym momencie, kiedy zewsząd ujawniała się pomyślność królewskiej krainy, kiedy powstawały jedne po drugich wielkie place budowy katedr, rozkwitały



szkoły paryskie, rozwijał się handel i powiększały uprawy winorośli w Ile-de-France. Najbardziej skorzystał z tego ogólnego dobrobytu Kapetyńczyk, pobierający podatki drogowe i znaczną część zbiorów, co pozwoliło mu na jeszcze szerzej zakrojone działania, przede wszystkim na ukaranie felonii największych swych feudałów, takich jak hrabia Szampanii czy księżę Andegawenii. Panowie zamków położonych w obrębie posiadłości królewskich zostali już stopniowo związani z domem królewskim i obecnie służyli królowi, pełniąc w pałacu różne urzędowe funkcje. Pozwoliło mu to również, wykonując swe powinności liturgiczne, udawać się na odległe pielgrzymki, tak jak to czynił jego przodek, Robert Pobożny, ale już w całkiem innym duchu. Nie dla osobistego przygotowania się do bliskiej śmierci, ostatecznego oczyszczenia, ale, jak powie Joinville o Ludwiku Świętym, „narażając swą własną osobę” dla zbawienia całego ludu, co było jego powinnością. W tym właśnie celu, przekraczając granicę królestwa jako pielgrzym Chrystusowy, Ludwik VII odwiedził, klasztor kartuzów, klasztor świętego Jakuba w Composteli i dotarł do Jerozolimy. Te długie wędrówki przynosiły istotną korzyść, ukazując postać monarchy panom, których ojcowie nigdy, jak sięgała pamięć ludzka, nie widzieli ani nie dotykali króla Francji, nigdy z nim nie zamienili słowa, nie jedli z nim ani nie pili. A nade wszystko nadawały królewskiej eskorcie na czas trwania podróży wszystkie przywileje, jakie kościół rzymski gwarantował osobom udającym się w świętą podróż. Tak więc przez dwa lata wyprawy

krzyżowej całe królestwo zostało oddane pod ochronę Kościoła, zapewniającą mu pokój Boży.

Z tego też prawdopodobnie powodu Ludwik VII mógł po powrocie zgromadzić w Soissons, w czerwcu 1155 roku, arcybiskupów Reims i Sens wraz z sufraganami, księcia Burgundii, hrabiów Szampanii i Flandrii, czyli wszystkich liczących się w tej części królestwa Francji możliwych, którzy będą później obecni pod Bouvines. Tam, „na prośbę kleru, za radą baronów (...), po to, aby ukrócić zapal złych ludzi i powstrzymać gwałtowność tych, którzy rabują”, ustanowił pokój dla całego królestwa. Pokój dziesięcioletni, gwarantujący pełne bezpieczeństwo kościołom, ludowi i kupcom, a także każdemu, „kimkolwiek by był, jeśli gotów jest stawić się przed nim dla wymiaru sprawiedliwości”. Utrwalała go przysięga zbiorowa. Ale suweren ustanawiał siebie samego pierwszym obrońcą tego sprzysiężenia: „W pełnym zgromadzeniu i w obecności wszystkich, ręką słowem królewskim, oświadczyliśmy, że utrzymamy ten pokój nienaruszony i że wymierzimy sprawiedliwość, zgodnie z naszą władzą, wszystkim, którzy pogwałciliby to rozporządzenie.” W tym właśnie zawiera się istotna zmiana. Forma pozostała ta sama; chodzi o pokój Boży. Ale król przejmuje na swoje konto cały system pokojowych instytucji, włączając je w *ordo* królestwa.

Od tej chwili w północnej Francji – we Francji okolic Bouvines – gra wojenna przyjęła inną od dotychczasowej postać. Lokalne niepokoje bynajmniej nie ucichły. W każdej fortecy czatowały z ukrycia niewiel-

kie, ale niecierpliwe grupy jeźdźców, gotowe do zemsty lub rabunku. Ale ich prowodyrzy, którym coraz bardziej wymykały się duże zyski, mogli ich wyposażać tylko w mizerne szkapy i w zardzewiałą broń. Gdy król ukazywał się na czele wojska połyskującego najnowszym ekwipunkiem, wszystko gięło się przed majestatem kapetyńskim, pobłogosławionym przez dostojników Kościoła. Taki był przebieg wydarzeń na południu Burgundii, dokąd Ludwik VII dwukrotnie, w 1166 i w 1171 roku, a następnie Filip w 1180 roku, w roku swego wstąpienia na tron, poprowadzili swych wasali w imię Boga. W jakim celu? Dla obrony i pomśzczenia ubogich. Przybyli, jak głosi preambuła ich dokumentów, gdyż „ziemia Burgundii długo pozostawała, pod nieobecność królów, bez dyscypliny i prawowitego kierownictwa; ci, którzy posiadali władzę w tym kraju, mogli wzajemnie się atakować, uciskać słabych, dewastować dobra Kościoła. Oburzeni na tyle zła, ożywieni zapałem Bożym, weszliśmy z wojskiem do Burgundii, aby dokonać zemsty oraz odnowić pokój i kraj.” Nie natknęli się na ślad oporu. Słowa, dużo słów. Wszyscy przychodzili wyłożyć swoje żale przed królem i baronami. Wymierzano sprawiedliwość nie mieczem, lecz sądem. Duchowieństwo jęło wychwalać namiestnika Boskiej potęgi, którego samo przybycie ożywiło w całym kraju fermenty urodzaju; w małym kościółku w Avenas, w rejonie Maçonnais, rzeźby na ołtarzu przedstawiają Ludwika VII po wyprawie, chroniącego w swoich opiekuńczych dłoniach sanktuarium, którego staje się jakby nowym fundatorem; po drugiej

stronie widnieje postać tego, którego suweren jest ziemskim przedstawicielem, Chrystus w glorii otoczony apostołami, w centrum porządku kosmicznego. Od tej chwili dawna ideologia pokoju wraz z całym układem otaczających ją instytucji staje się już tylko narzędziem w rękach królów, posługujących się nią z pełną świadomością w celach, które dziś nazwalibyśmy politycznymi.

Polityka bowiem nabiera coraz większego rozmachu: już zamieszki w Burgundii, które uśmierzyli swym wkroczeniem Kapetyngowie, są jakby wrzeniem zlokalizowanym na granicy królestwa, ale wyrażającym konflikt bardziej ogólny, pomiędzy cesarzem Fryderykiem Barbarossą a papieżem. Dwie kolejne daty, data trzeciego soboru laterańskiego i data koronacji Filipa Augusta, rozpoczynają okres, w którym horyzont naprawdę się przejaśnił i można było śledzić wielką rozgrywkę między królami Niemiec, Anglii i Francji – rozgrywkę ostrą, w której papież był już tylko jednym z partnerów, a która legła u podstaw bitwy pod Bouvines. Przedstawiciele pokoju papieskiego, legaci, bardziej niż kiedykolwiek obecni, odgrywali w niej swoje role. Często jednak bywali karceni, odjeżdżali z niczym, jak kardynał Piotr, który usiłował zimą 1198–1199 roku doprowadzić do pokoju pomiędzy Ryszardem Lwie Serce a królem Filipem. Pieśń o Wilhelmie Marszałku ukazuje tę sprawę od strony angielskiej:

Filip, rozumem król dobry  
I ponad lisa sposobny,

Klerka, co mądry, przywoła.  
O złocie, srebrze mu gada:  
Oto relikwie, co rada  
Roma na insze przekłada.  
Który bogactwa jej zada,  
Temu niestraszna jest zdrada,  
Bo za patrona Rufina  
Ma, jako też i Albina.  
Zaś męczenników gromada  
Tak Rzymem, jako chce, włada  
nad kodycyle i prawa.

Zjednany papież posyła swojego kardynała  
z przemową do króla Ryszarda:

Ciężki grzech będzie i zło będzie wielkie,  
Kiedy stawicie sobie w wojnie czoła.  
Próżno pomocy Ziemia Święta woła.  
Gdy zaś sprzykrzycie sobie wojowanie,  
To zacna z tego popłynie jałmużna...  
Tako i stratę wynagrodzić można.  
I niechaj każdy ma, co mu należy.

Ryszard angielski wpada w szal: gdy wracając z wyprawy krzyżowej pod ochroną kościelnych zapewnień, został był uwięziony na terenie Cesarstwa, papież nie uczynił najmniejszego gestu, żeby przyśpieszyć jego uwolnienie; a teraz obłudnie chce mu prawić o pokoju, dlatego że król Filip znajduje się w trudnej sytuacji. Legat Piotr zostaje wyproszony. I tak jeszcze wychodzi z opresji obronną ręką: pozwolono mu wrócić

cało, nie. pozbawiając go męskości, nie dlatego, że był kardynałem Kościoła rzymskiego, ale dlatego, że był posłem, którego chroniły honorowe reguły świeckiej etyki wojennej. Widać z tego, że Rzym uważano za to, czym się stał: za potęgę polityczną. Zwracano się doń, kiedy potrzebne było znaczące wsparcie w jakiejś intrydze. W innych wypadkach nikt nie wahał się mu sprzeciwić i nie przyznawano mu prawa do wtrącania się w sprawy królów. Nieco później Filip francuski, odpowiadając papieżowi Innocentemu III na zarzut pozbawienia *ratione peccati* dziedzictwa Jana bez Ziemi, powoływał się na prawo feudalne, które w pełni usprawiedliwiało jego interwencję i w niczym nie mogło obchodzić Kościoła. Nie znaczy to jednak, że w latach poprzedzających bitwę pod Bouvines umocnienie władzy w jakikolwiek sposób zeświecczyło *negotium pacis*, sprawę pokoju. Faktem jest, że na północnym zachodzie Europy, wobec żądań takiego suwerena, jakim jest biskup Rzymu, królowie, ci pomazańcy Boży, otoczeni i wspomagani przez swych współpomazańców, biskupów, głośno twierdzą, że pokój należy do ich funkcji, powierzonych im przez potęgę Boga. Upominają się o pełny nadzór nad akcją wojskową, której końcową stawką i ostatecznym uzasadnieniem jest korona. Takie roszczenia, takie zachowanie są wynikiem ewolucji, która trwała całe stulecia. Węzłowe momenty tej ewolucji łączą się z inną historią, toczącą się w codzienności i przyziemności, z dala od teorii i zasad, na płaszczyźnie produkcji i wymiany. Historią, której teatrem

są karczowane pola i jarmarczne place, historią głęboką i rozstrzygającą, której na imię jest pieniądz.

## Wojna

W 1214 roku pieniądz już od dawna opanował wszystkie mechanizmy wojenne. W roku objęcia tronu przez Filipa Augusta – roku trzeciego soboru laterańskiego – Ryszard Fitz Neal, skarbnik króla angielskiego, pisał o tym jasno w swoim *Dialogu o Szachownicy*. „Pieniądze są konieczne nie tylko w czasie wojny, ale i w czasie pokoju.” W czasie pokoju umożliwiają książętom spełnianie aktów miłosierdzia (cenna wskazówka dotycząca roli przyznawanej wówczas monecie); „w okresie wojny służą do budowy fortyfikacji zamków, do wypłaty żołdu oraz w wielu innych okolicznościach, które zależą od natury osób opłacanych dla obrony królestwa”. Jest to refleksja praktyka finansów, której jednak wszyscy zwolennicy rozejmu mogliby użyć jako argumentu: w czasie rozejmu wzrasta fala jałmużny, a tym samym deszcz łask, którymi niebo może obdarzyć wiernych. Trzydzieści lat wcześniej Piotr Czcigodny – pierwszy z opatów Cluny, który musiał borykać się z trudnościami finansowymi nie do przewyciężenia – rozumował mniej więcej tak samo. Zarzucał on swemu poprzednikowi, Ponsowi z Melgueil, który, porzuciwszy swą godność, chciał ją następnie odzyskać siłą, że roztrwonił skarbiec opactwa. W jaki sposób? Rekrutując i opłacając najemników, żołdaków, którzy, aby przywrócić jego władzę, wdarli się do klasztoru, o zgrozo, razem z towarzyszącymi im kobietami! Relacjonując spór, jaki przeciwstawił go seniorowi na pobliskim zamku, opat Piotr mówi również:



„Zauważyłem, że wszyscy sąsiedzi, rycerze, kasztelani, hrabiowie i sam książę Burgundii podzegli mnie do chwycenia za broń, jakby przyciągnięci zapachem pieniędzy.” Taki sam zapach, emanujący z bajecznego skarbcza ich hrabiego, wyczuli dużo wcześniej, w 1127 roku, rycerze Flandrii. Bardziej niż przyjaźń czy przysięga wasala ta właśnie przynęta popychała ich do pomśzczenia zamordowanego hrabiego Karola.

Czym bowiem jest wojna, jeśli nie środkiem tylko, najlepszym środkiem do zdobycia denarów, tak nie-licznych jeszcze w skarbcach drobnych możnowładców, a tak potrzebnych, coraz bardziej potrzebnych? W domenach anglo-normandzkich, gdzie monet było znacznie więcej niż w jakiegokolwiek krainie łacińskiego chrześcijaństwa, wojenne zastosowanie pieniądza stwierdzono już w ostatnich dziesięcioleciach XI wieku. Zbiór rytuałów pokutnych, ustanowiony podczas jednego z soborów, odróżniał w 1070 roku rycerzy wasali, walczących nieodpłatnie w ramach zobowiązań lennych, od rycerzy najemnych. Robert Krótkonogi nie chciał być dłużej „żołnierzem zaciężnym” swego ojca, Wilhelma Zdobywcy: „Chciałbym coś mieć, żeby opłacić tych, którzy mi towarzyszą.” W początku XII wieku zawód płatnego żołnierza rozpowszechnił się w tych okolicach tak bardzo, że, jak już wspomniałem, Suger postaci biednego i uczciwego Ludwika VI francuskiego przeciwstawiał, nie bez satysfakcji, króla Anglii, Wilhelma Rudego, „świątecznego handlowca i najemcę wojowników”. Najemników rekrutowano już wtedy w Niderlandach. W 1103 roku Henryk I Beauclerc nabył od

hrabiego Flandrii – działającego jako pośrednik – około tysiąca żołnierzy za roczny żołd 120 tysięcy denarów. Takie zwyczaje stanowią o strategicznym znaczeniu skarbców książęcych. Jest ono decydujące: Stefan z Blois odniósł zwycięstwo nad Henrykiem I, gdy tylko położył rękę na jego skarbcu, a to dzięki najęciu band flamandzkich; ale, gdy ta rezerwa się wyczerpała, po 1139 roku, znalazł się na łasce i niełasce żołdaków, daremnie upominających się o zapłatę. Już wówczas pieniądz był nerwem wojny, a zwycięstwo było udziałem tych *książąt*, którzy najlepiej wiedzieli, gdzie należało go szukać. Tak więc w pierwszej połowie XII wieku, we wszystkich krainach ożywionych początkami gospodarki wymiennej – którą umacniał rozwój systemu podatków książęcych – wielcy panowie zaczęli w żołdzie szukać środków zaradczych, nie mogąc polegać na feudalnej służbie wojskowej. Niejeden z wasali wzbraśniał się przed jej pełnieniem; wolno mu było wykupić się pewną sumą pieniędzy – od 1127 roku w hrabstwie Flandrii rycerze mogli się uwolnić od służby, wpłacając 240 denarów rocznie. Dochód z takich zbiórek był rozdzielany pomiędzy zgłaszających się na wezwanie lenników i miał ich zachęcić do bardziej zdecydowanej pomocy. Niestawienie się części rycerzy pozwalało księciu na większą hojność w stosunku do pozostałych i tym samym na podniesienie zapału walczących. Gdyż żołd początkowo zależał od pańskiej hojności i należał do kategorii beneficjów, darów, które w ówczesnym społeczeństwie tworzyły najsilniejszą podstawę władzy. Był zapłatą za taką samą usługę, jak usługi wcho-

dzące w zakres koncesji lennej. Gwarantował taką samą lojalność, jak lojalność wasala. Dlatego system zapłaty mógł łatwo przeniknąć do moralności rycerskiej, nie wypaczając jej. Szczodrość seniora była zjawiskiem moralnym. Im bardziej był on szczodry, tym bardziej go kochano, bez plamy na honorze. Tak więc zaciężni rycerze chcieli uchodzić za najwierniejszych. W czasie oblężenia Shrewbury walczyli do ostatka i długo odrzucali warunki kapitulacji. Do tej samej zasady dobrze wykonanej roboty, uczciwie zarobionej płacy, odwoływał się pewien normandzki kapitan: towarzyszącej swej kompanii, nawet gdyby mieli zmierzyć się z liczniejszym od siebie wrogiem, nakazywał walkę; bez niej straciliby, i słusznie, nie tylko żołd, ale i chwałę, „a ja uważam, dodawał, że nie moglibyśmy wówczas jeść nadal królewskiego chleba”. W początkach XIII wieku regularnie wypłacany pieniądz wiąże i umacnia wszystkie małe zgrupowania, jednoczy towarzyszy wokół jednej chorągwi. „Przytrzymuje” ich, jak wówczas mówiono. Większość rycerzy spod Bouvines otrzymała lub miała otrzymać pieniądze za swój bohaterski udział w bitwie. Nie był to żaden skandal. Skandal wybuchł dopiero w dniu, gdy sumy wpłacone przez wasali za nieodszluzone zobowiązania lenne posłużyły do zaangażowania wojowników nie urodzonych szlachetnie, pochodzących z plebsu. Skandal spowodowało rozpowszechnienie się tzw. *routiers* – rozbójników.

\* \* \*

Pojawią się oni u progu XII wieku, gdy tylko zabręczą monety w salach zamkowych i pod wzniesionymi do oblężenia banderami. Orderic Vital opowiadał o „sławnym łuczniku”, który w czasach Roberta Krótkonogiego, kiedy zamieszki wstrząsnęły Normandią, zgromadził bandę rozbójników i „łobuzów”; najął się z nimi jakiemuś seniorowi, a pan ten lubił go tak bardzo, że kiedy łucznika zabito, rozdawał jałmużnę za jego duszę; nie mniej kochali go wieśniacy okoliczni, których otaczał opieką: poszli pomścić jego śmierć pod przewodnictwem wiejskiego proboszcza. Galbert z Brugii opowiedział o wyczynach innego zawodowego zabijaki, również łucznika, który w czasie zamieszek flamandzkich w 1127 roku terroryzował wrogów swymi niezwykle celnymi strzałami z łuku. Tych ludzi bardzo się obawiano. Niemniej wzbudzali podziw swoim mistrzostwem w zawodzie. Ceniono pomoc, jaką mogli służyć, ale ponieważ ci przygodni żołnierze byli handlarzami śmierci, ponieważ przekroczyli nakazy i naruszyli bariery społeczne, ponieważ byli uzbrojeni, mimo iż pochodzili z warstw niższych, a w przeciwieństwie do ludzi z komun nie walczyli o sprawę pokoju, uważani byli za opętanych złem. W wypadku pojmania zabijano ich natychmiast. Wszyscy ci, o których wspominają kroniki, kończą w ten sam sposób. Uważano ich za rozbójników korupcji, których trzeba jak najszybciej zniszczyć. W rzeczywistości przez długi czas było ich bardzo niewiele; ujawniali się tylko w okresie nasilenia zamieszek. W połowie XII wieku, gdy król Ludwik VII usiłował zaprowadzić pokój królewski, sytuacja uległa

zmianie. Pojawiły się, rzecz nowa i straszliwa, całe stada najemników. Zaroilo się od „włóczęgów” i niepokornych, którzy, jak twierdzi Orderic, „przybywali z odległych krain jak kanie, myśląc tylko o łupach”. Począwszy od tej daty, wojna zmieniła swą postać.

Pierwsze i najbardziej, powszechnie używane słowo dla określenia tych „wyrobników” walki, pojawiające się we Flandrii w opowieściach Galberta z Brugii od 1127 roku, to *cottereau*. Być może nazwano ich tak przez skojarzenie z *cottiers* – zagrodnikami, bardzo biednymi dzierżawcami, marginesową siłą roboczą wielkich posiadłości. Ale najprawdopodobniej z powodu broni, jaką się posługiwali: nie szlachetnego miecza, ale noża. Później pojawiają się takie nazwy, jak „awanturnicy”, „wszetecznicy”, „świntuchy”. Nazewnictwo usiłuje też wyeksponować fakt, iż są oni cudzoziemcami, ludźmi mówiącymi nieznanym językiem. Nazywa się ich często Brabantczykami – np. w relacjach o bitwie pod Bouvines – ale również Aragończykami, Nawarryjczykami, Baskami, Galami. W pojęciu współczesnych napływają z dwóch krain: z dzikich, odległych rubieży oraz z surowych i ubogich gór – ojczyzny pasterzy, myśliwych, ścinaczy głów. Przybywają stamtąd w określonych porach roku, tak jak robotnicy dniówkowi na sianokosy, żniwa i winobrania. Uważano również, że przybywają z Brabancji – a właściwie z całych Niderlandów, kraju, który dostarczył książętom Normandii i królom Anglii pierwszych najemników; z kraju, w którym młodszy synowie chętnie opuszczali rodzinne kasztelanie w poszukiwaniu szczęścia i mająt-

ku. Ale nade wszystko – i to jest chyba najważniejsze – z kraju ludnych miast o rozległych, cieszących się złą sławą przedmieściach, pełnych chłopów świeżo odezwanych od ziemi, przymierających głodem, gotowych, aby przeżyć, przyjąć każde zajęcie, nawet zabijanie. W miastach tych młodzież chodziła do lasu ćwiczyć się w strzelaniu z łuku, a karawanom handlowym towarzyszyły eskorty łatwo sięgające po nóż. Wydaje się, że najemnicy nie rekrutowali się ze szlachty, nawet tej najuboższej; synom ubogich rycerzy zależało na żołdzie, ale za honorową walkę. *Cottereaux* wywodzili się z motłochu, spośród nędzarzy, ładowaczy, ludzi holujących łodzie, pomocników rzeźnika, a nawet byłych kleryków, jak na przykład Wilhelm, który sprzedał usługi swojej kompanii kolejno Fryderykowi Barbarossie i Ryszardowi Lwie Serce.

Z usług *cottereaux* korzystają najwięksi książęta, najbogatsi, ci, którzy czerpią z najzasobniejszych skarbców. Zaraza band rozprzestrzeniła się jak groźna chmura po prowincjach francuskich; teksty podają, że najpierw, w 1159 roku, były one na żołdzie króla Anglii Henryka II, a następnie, w 1162 roku, hrabiego Szampanii, którego arcybiskup z Reims obłożył klątwą, ponieważ opłaceni przez niego rozbójnicy spustoszyli włości kościelne oraz zmasakrowali i spalili trzydziestu wieśniaków, którzy schronili się w kościele. Dwa lata później król Francji i cesarz, dwie ostoje chrześcijaństwa, spotykają się na granicy swych państw na jednym z tych braterskich spotkań, których tradycja sięgała czasów karolińskich. Przysięgają, że nie ostanie się na

ich ziemiach, od Renu po Alpy i Paryż, „żaden Brabantczyk czy *cottereau*, pieszy czy konny..., a jeśli ktoś najmie tych zbójów, arcybiskup lub biskup rzuci ekskomunikę na niego i na jego ziemię, dopóki nie wypłaci odszkodowania, na podstawie oszacowanych szkód, wszystkim przez nich obrabowanym”. Te piękne słowa nie przeszkodziły hrabiemu z Chalon w 1165 roku, to znaczy niebawem po spotkaniu, zaatakować zbrojnie opactwo w Cluny – cesarz był z całą pewnością współnikiem i uczestniczył w kosztach przedsięwzięcia – gromadząc „tłum [było ich czterystu] zbójców, zwanych potocznie Brabantczykami, ludzi nie kochających Boga”. Poszedł więc hrabia w ślady „diabła, który ośmielił się kusić Pana”.

Już w tych czasach bandy dysponowały wielką siłą. Dziesięć czy piętnaście lat później ich liczba wzrosła, uzyskują pewną autonomię i staną się bardziej gwałtowni. Tereny ich działania przesunęły się powoli w kierunku południowego zachodu, ku krainie Plantagenetów: potrzebni są Ryszardowi, który chce utrwalić swe panowanie w Akwitanii. Bandy mają teraz swoich szefów, zwanych „księżętami łotrów”, których imiona podają kroniki od lat osiemdziesiątych XII wieku. Są to kapitanowie nieznanego pochodzenia, o których jednak wiadomo, że przestają z księżętami i dochodzą do majątku; możny pan żeni ich czasami, wyposaża, osadza w jakiejś kasztelanii, którą pomogli mu zdobyć. Na starość są dostatecznie bogaci, aby budować kościoły czy zakładać opactwa. Bowiem z wiekiem stają się pobożni. Panom, którzy się z nimi układają, coraz trudniej

przychodzi płacić im żółd. Za skuteczne narzędzie trzeba drogo zapłacić. Rozbójnicy znajdują się zresztą w dogodnej pozycji do targów; prowadzą rozmowy z kilkoma zantagonizowanymi seniorami naraz i dzięki istnieniu konkurencji podbijają stawki. Najemnicy są poza tym groźni: mogliby równie dobrze obsłużyć się sami. W 1183 roku Henryk Młody, brat Ryszarda, nie wie już, jak sobie poradzić, żeby ich zadowolić; plądruje opactwo Grandmont; zmusza mieszczan z Limoges do pożyczania mu 240 tysięcy denarów; to wszystko nie wystarcza i trzeba jeszcze tyle samo zagarnąć ze skarbca klasztoru Saint-Martial. Ekonomiczna rola kompanii *cottereaux* jest oczywista: są oni wspaniałym czynnikiem detezauryzacji, która stymuluje obieg pieniędzy, nasila go i powoduje stały rozwój handlu. Aby nająć bandę, trzeba tak dużo pieniędzy, że natychmiast po ukończeniu kampanii pracodawca ją odprawia. Ale kompanie wcale się nie rozwiązują. Czekaając na nowy nabór, grasują po okolicach, i to z dobrym skutkiem. Jedna z tych kompanii w 1200 roku sprzedała pokój klerykom z diecezji Bordeaux: każdy z nich, mając nóż na gardle, musiał wypłacać pensję w wysokości 120 denarów. Arcybiskup godził się na to i, być może, otrzymywał swoją część. Tak jak plagi, zesłane przez „Nieprzyjaciela na świat, jako narzędzie jego nieprawości”, bandy te tworzą pasożytujące społeczności. Społeczności niewielkie – liczące najwyżej kilkuset osobników – ale szczególnie niszczycielskie.

Przemieszczają się z trudem i powoli, w grupach, wybierając najlepsze drogi, gdyż towarzyszą im wozy



z dziećmi i kobietami. W Dun-le-Roi, w Berry, na skrzyżowaniu kilku szlaków, gdzie miała miejsce rzeź siedmiu do dziesięciu tysięcy *cottereaux*, otoczonych i zmasakrowanych przez konfratrów pokoju, znaleziono na polu trupy „pięciuset do dziewięciuset dziewczek, których ozdoby warte były niesłychane sumy”. Wszystko okrywa hańbą tych najemników: zarówno seksualna rozpusta, w jakiej żyją, jak i pieniądze, których tyle im się dostaje. A ponadto nikczemny sposób, w jaki prowadzą wojny. Walczą pieszo, jak przystoi ludziom z gminu, i strzelają z łuku lub kuszy, trafiając przeciwnika z daleka, podstępnie i haniebnie, nie stając do walki wręcz. Walczą na noże, na sztylety, których Zakapturzonym z Puy w ogóle nie wolno było nosić jako broni wyklętej, zabijają rycerzy podstępnym ciosem przez szpary w pancerzu. I mimo wszystko – ku oburzeniu współczesnych – nie ustępują szlachetnie urodzonym, jak mówi *Genealogia hrabiów Flandrii*, ani pod względem biegłości w sztuce, ani cnoty wojennej (tak, nawet „cnoty”). Tylko oni znają wszystkie fortele niezbędne przy zdobywaniu zamków i miast obronnych. W zwartym szeregu, ramię przy ramieniu – podatni na ciosy tylko wtedy, gdy są rozproszeni albo w powolnym marszu – tworzą w samym sercu bitwy żywą fortecę, niewzruszony mur najeżony pikami, bezpieczne schronienie, gdzie opłacający ich panowie mogą nabrać oddechu. Wylatujące stamtąd strzały zabijają konie, a tym samym rozbijają wrogie szeregi. Obecność tych współników szatana burzy więc porządek najbardziej sprawiedliwej wojny; zakłóca jej tok, regularny i lojal-

ny; wypacza wszystkie reguły, gdyż żadna obrona im się nie oprze, żadna zbroja, żadne mury; mogą się dobrać do kawalerii w jej najpewniejszych schronieniach. Doprawdy zatruwają chrześcijaństwo, na które działają równie niszcząco jak heretycy.

Trzeci sobór laterański ogłasza w 1179 roku, na mocy jednego łącznego dekretu, przeciwko jednym i drugim świętą wojnę. Jako że w Gaskonii, krainie albigensów, w okolicach Tuluzy i innych miejscach przekłeta przewrotność heretyków, zwanych katarami, patarynami lub publikanami, rozwija się tak bardzo, że nie odprawiają już oni swoich występnych obrzędów po kryjomu, ale publicznie głoszą wypaczenia, przyciągając prostych i słabych, postanawiamy rzucić klątwę na nich samych, na tych, którzy ich bronią, i tych, którzy udzielają im schronienia. Zabraniamy komukolwiek, pod groźbą klątwy, ukrywać ich w swoim domu lub na swojej ziemi, wspomagać i utrzymywać z nimi jakichkolwiek kontaktów (...). Co do Brabantczyków, Aragończyków, Nawarryjczyków, Basków, *cottereaux* i Triawerdyńczyków (...), którzy uprawiają taką nikczemność w stosunku do chrześcijan, że nie oszczędzają ani kościołów, ani klasztorów, ani wdów czy sierot, ani starców czy dzieci, czy kogokolwiek przez wzgląd na wiek lub płeć, i którzy, na wzór pogan, wszystko trwonią i niszczą (...), ustanawiamy również, że ci, którzy udzielają im schronienia lub pomocy w okolicach, w których oni tak się zachowują, mają być w niedziele i w dni świąteczne publicznie denuncjowani w kościołach i poddani wyrokom i karom takim, jak te, które

dosięgają heretyków; wykluczeni zostaną ze wspólnoty Kościoła, jeśli nie wyrzekną się tej kompanii zadźmionej i heretyckiej. Niechaj wiedzą, że tracą wszelką wierność, homagium i powinność, które im są należne, na czas trwania w tej nieczystości. Nakazujemy wszystkim wiernym, dla odpuszczenia grzechów, przeciwstawiać się skutecznie tym plagom i chronić zbrojnie przed nimi lud chrześcijański.”

W stosunku do żołdackich band, zwanych w Montpellier „manadami”, wytoczono trzy zarzuty. Pierwszy – że zabijają. Biograf Ludwika VII podaje, że zabito pięciuset mieszczan z Cluny, spośród tych, którzy, zgrupowani w milicję parafialną (w ramach instytucji pokojowych na wzór langwedocki), usiłowali w 1166 roku odeprzeć jedną z takich band, a kiedy król-mściciel wkroczył do kraju, grupy płaczących wdów i sierot szły za nim. Uprawiana przez rozbójników wojna przybiera tak straszliwe oblicze, jakiego do tej pory, jakoby, nie znano.

Druga podłość bandy – że rabują biednych. Rigord twierdzi – co nie jest prawdą – że Filip August ich nie najmował, i opowiada – co jest prawdą – że gwałcili wieśniaczki na oczach skrępowanych mężów, że chwyтали księży – *cantadours*, jak ich nazywali – i bili tak długo, aż tamci godzili się odśpiewać dla nich mszę, gdyż ludzie ci, uważani za heretyków i prowadzący się tak niecznie, niechętnie obywali się bez kantyczek.

I wreszcie – jest to ostatni i najcięższy akt oskarżenia – zbóje byli w dodatku świętokradcami. Mnisi z Cluny wyszli im naprzeciw bez broni, niosąc krzyże,

relikwie i śpiewając, i mimo tego, że kropili ich wodą święconą i wystawiali krucyfiks przed oczy, piekielnicy owi nie wycofali się. Przeciwnie, poturbowali mnichów, zdjęli z nich święte szaty i odesłali nagich. Innocenty III oskarża ich o kradzież kap i ksiąg w zakrystiach, Rigord – o palenie kościołów, rzucanie na ziemię Eucharystii, deptanie Hostii – gdyż, kradnąc kielichy, nie ośmielali się palcami dotykać świętych sakramentów – zabieranie korporałów i robienie z nich szalów „dla swoich dziwek i nierządnic”. Obozowisko w Dun-le-Roi było pełne cyborców, a dziewięćset dziewczek, zgwałconych, zostało następnie zarżniętych przez wojowników pokoju; w pełni zasługiwały na swój los, gdyż puszyły się w szatach z ornatów. Na tym polega największa podłość, że to robactwo, pochodzące z wszelkich szumowin, z mrocznego marginesu społeczeństwa i ze słabo znanych kresów królestwa, naigrawało się z najbardziej surowych zakazów; posuwało się do przyozdabiania ciała kobiecego bielizną ołtarzową. Trzeba jak najszybciej oczyścić z niego świat. Żelazem i ogniem.

W istocie, wszyscy Brabantczycy, którzy dadzą się pojmać żywcem, są natychmiast zabijani. W 1166 roku szlachetny król Ludwik VII, aby pomścić Kościół Boży, każe ich powiesić na widłach, rezygnując pięknym gestem z dużych okupów, jakie niektórzy mu obiecują. W 1182 roku Ryszard Lwie Serce pojmał jakiś oddziałek tych awanturników; część z nich masakrując, oszczędza jednak osiemdziesięciu nieszczęśników, których wysyła na drogi z wyłupionymi dla przykładu oczami.

W następnym roku, wieczorem po bitwie pod Dun-le-Roi, dla oczyszczenia terenu pali się stosy trupów. A jednak zaraza nie ustępuje. Podtrzymuje ją nęcący zapach pieniędzy oraz zaciekle rywalizacja książąt, skłóconych między sobą i nie przebierających w środkach. Odradza się ona nieustannie, wdziera przez wszystkie szczeliny świata ładu. Brabantczyków znajdziemy jeszcze pod Bouvines. Prawdę mówiąc, po stronie zła, po stronie napiętnowanych i zdrajców. A pochlebcy pochwałą Filipa, dobrego pana i króla pokoju, mimo że latami korzystał z usług band, za to, że od dawna nie posługuje się tym odrażającym narzędziem. W obozie pod królewskim proporcem nie spotykamy ani kobiet, ani *cottereaux*. Nikt ze służby pieszej nie jest na żołdzie krwi i rozwiązłości; wszyscy pochodzą z praworzędnych komun miejskich, pobłogosławionych przez biskupów, i służą ustalonemu porządkowi, pracując nad odnowieniem pokoju Bożego i królewskiego, których nie sposób rozdzielić. Zwycięzca nie ma brudnych rąk.

\* \* \*

W wieku XIII w samym sercu działań wojskowych zaistniała we Francji inna nowość, równie skandaliczna, równie zmacona żądzą zysku i potępiona przez Kościół jak poprzednie. Chodzi o turnieje, których wpływ był decydujący na zachowanie się walczących pod Bouvines. Historia turnieju nie jest znana. Sama nazwa pojawia się w kronice świętego Marcina z Tours, pod datą 1066 roku. W okolicach Angers zabito wówczas

kilku baronów i o jednym z nich, Gotfrydzie z Preuilly, czytamy: *torneamenta invenit*. Trudno uwierzyć, aby człowiek ten był wynalazcą turnieju; zwyczaj symulowanej walki musiał być bez wątpienia bardzo dawny w społeczeństwie, które taką wagę przyznawało wojnie. Zresztą historyk Nithard opisuje jedną z tych *fantasia* wśród innych zabaw, jakie uświetniły w Strasburgu w IX wieku pokojowe spotkanie Karola Łysego z Ludwikiem Niemieckim. Istotne jest, że zapal dla tego rodzaju rozrywki był ogromny już na początku XII wieku od Loary aż po Skaldę. Panegirysta dobrego hrabiego Flandrii opowiada, że około 1125 roku, „dla honoru kraju i dla ćwiczenia swego rycerstwa”, pan jego walczył przeciwko kilku hrabiom i książętom Normandii i Flandrii; na czele dwustu rycerzy brał udział w turniejach, czym przysporzył „sobie sławy, a swojemu hrabstwu potęgi i chwały”. Od tej chwili takie przyjacielskie spotkania, w czasie których bawiono się w walkę, stały się corocznym zwyczajem.

Jedna data wyróżnia się jednak w chronologii turniejów jako moment o donośnym znaczeniu: 1130 rok. W tym roku, na połączonych soborach w Reims i w Clermont, autorytet papieski uznał za konieczne ostro skrytykować „te pożałowania godne spotkania czy jarmarki [cytując tekst tego kanonu, sobór laterański III w 1279 roku doda następującą glosę: potocznie zwane turniejami], w których rycerze mają zwyczaj brać udział”. Padają zakazy i sankcje, mniej jednak surowe niż za inne wykroczenia przeciw zarządzeniom pokoju: „rycerzowi, który podczas turnieju

umrze, nie będzie odmówiona pokuta ani wiatyk, a tylko nie dostąpi pogrzebu kościelnego”. Powód: turnieje są „przyczyną ludzkiej śmierci i niebezpieczeństwem dla duszy”. Oczywiście, ważne jest, aby na próżno nie zabijać rycerzy Chrystusa. Morderstwa wywołują urazy i chęć zemsty; tym samym utrzymują wewnętrzne nienaski, które pokój Boży stara się złagodzić; osłabiają – i to jest najważniejsze – armię, której celem pozostaje zdobycie Jerozolimy i ochrona Grobu Świętego. Poza tym walki dla rozrywki – Wilhelm z Newburgh określa je: „bez udziału nienawiści, lecz tylko dla wprawy i wykazania siły ciała” – są demonstracją zadufania i grą przypadku, jak gra w kości, podczas której nadaremno używa się imienia Bożego, czego każdy dobry chrześcijanin musi się wyrzec, podobnie jak przekleństw, gdyż są one bluźnierstwem; parady owe, uznane za niemoralne, podsycają pychę i troskę rycerzy o światowy rozgłos. Zakaz pozostał w mocy przez cały wiek XII. W 1149 roku, zaraz po zakończeniu drugiej wyprawy krzyżowej, święty Bernard zachęcał Sugera „do uzbrojenia się w miecz ducha, aby nie dopuścić do odrodzenia diabelskiego zwyczaju, który znowu zagraża. Ledwie wrócili z wyprawy, książę Henryk, syn hrabiego Szampanii, i Robert, brat króla, zawzięci jeden na drugiego, zwołali po świętach Wielkiejnocy jeden z tych wyklętych i obrzydliwych jarmarków, na których proponują sobie walkę wręcz na śmierć i życie”. Poza okresami powagi, związanej z przygotowaniem do wielkiej zbrojnej pielgrzymki do grobu Chrystusa, jak te, które miały miejsce w roku 1190, kiedy wszędzie na

krótko zabawy, o których mowa, zostały przerwane, usilne przekonywania ludzi Kościoła pozostawały bez skutku. Książęta tolerowali turnieje. Czasami je organizowali, sami brali w nich udział. W każdym razie w niczym nie sprzeciwiali się ich rozkwitowi.

Moda na turnieje miała swoje techniczne przyczyny. Turniej służył zaprawianiu rycerstwa do nowej i trudnej praktyki szermierki włócznią (płaskorzeźba z fasady katedry w Angoulême, na której po raz pierwszy przedstawiona jest jedna z tych walk rycerskich, zbiega się w czasie z pierwszym zakazem turniejów). Bohaterowie umiejący wysadzić z siodła bez wysiłku swoich adwersarzy pochodzą wszyscy z okolic, w których kwitły turnieje – co bez wątpienia spowodowało zniesienie ich zakazu przez Ryszarda Lwie Serce w Anglii. Ale sukces tej mody musi być również rozpatrzony w kontekście ewolucji struktur politycznych, umocnienia księstw i osiągnięć możliwych, dążących do skuteczniejszej obrony pokoju. Nie przypadkiem zabawa turniejowa rozwinęła się w prowincjach najmocniej trzymanyh w ryzach. Turniej funkcjonuje jako konieczne ujście, kłapa bezpieczeństwa, sposób na odprężenie; zajmuje rycerzy, których ograniczenia nałożone prawdziwej wojnie pozostawiają bez zajęcia, utrzymując jednocześnie ich waleczność. Karolowi Dobremu, chwalonemu za to, że utrwalił we Flandrii pokój, udało się tego dokonać tylko dlatego, że podczas okresowych wypraw kierował gwałtowność szlachty na zewnątrz, na pograniczne tereny uporządkowanego państwa. Co robią wojownicy normandzcy, kiedy królowie Henryk



II i Ludwik VII zawrą wreszcie rozejm? Będą wędrować w poszukiwaniu walk turniejowych. A kiedy Arnulf, syn hrabiego Guines, kierowany żądzą zdobycia sławy i zaszczytów, rzuci się na oślepa w wir turniejów, to czyni to również po to, aby przerwać beczynność, w jakiej utrzymywał go brak „wojowniczych uniesień” w kraju trzymanym mocno w garści przez jego ojca. Bez wątpienia lepiej by zrobił, wyruszając na wyprawę krzyżową. Ale te pozorowane wojny, jakimi były turnieje, odgrywały, być może, jeszcze jedną symboliczną rolę: czyż nie były one jakby rytualnymi tańcami na cześć przywróconego pokoju oraz zakończenia starych waśni, do których zapraszano, w ramach tegoż rytuału, młodych wojowników? Turnieje jawią się w każdym razie jako bezinteresowne wyładowywanie agresji, jako jej ludyczna i konieczna projekcja na granicy ustalonego porządku społecznego.

Tę specyficzną formę rycerskiego instynktu społecznego najlepiej można zaobserwować w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XII wieku – za czasów trzeciego soboru laterańskiego i wstąpienia na tron Francji króla Filipa. Opis zawdzięczamy dwóm dziełom, świadczącym o szybkim upowszechnieniu literatury pochwalnej, jako że zostały napisane ku czci dwóch możnych średniej rangi. Pierwszy z nich to Arnulf z Guines, pan na Ardres, przyszły rycerz spod Bouvines, którego czyny opiewa ksiądz związany z domem hrabiego, jego ojca; drugi to Wilhelm Marszałek, który nie był pod Bouvines, ale tego żałował, a rymowany panegiryk na jego cześć, napisany w języku

ludowym, opiera się na wspomnieniach towarzysza broni. Dzięki tym tekstom uświadamiamy sobie, że Francja była w tym okresie istnym rajem dla uczestników turniejów. Dla kronikarzy angielskich turnieje są to walki „francuskie” i „galijskie”, a możny opiekun młodego Wilhelma poradził mu jak najszybciej opuścić Anglię: nie jest to dobry kraj – twierdził – dla podwasa- li i dla miłośników wędrówek; wszyscy ci, którzy ko- chają turnieje, muszą przebyć kanał La Manche. Dokąd więc udał się przyszły marszałek? Do Normandii, An- degawenii, Le Maine, Ile-de-France, Hainaut. A partne- rzy jego zabaw pochodzą z okolic Paryża i z Valois, Brie, Szampanii, Flandrii, Maine, Andegawenii, Toura- ine, Normandii, Burgundii i Poitou – to znaczy, z wy- jątkiem Poitou, z największych księstw północnej Francji. Jednak spotkania nie odbywają się w centrum tych księstw, ale na ich krańcach, w Brie, przy brodzie koło Luzy, w Burgundii, pomiędzy Montbard i Rouge- mont, w rejonie Soissonnais, w okolicach Chartres i Dreux, w Gournay, w Lagny, Joigny, zawsze poza ob- rębem dużych miast i zamków, na pograniczach wiel- kich posiadłości feudalnych, w obrębie starych, galij- skich lasów, które znaczyły dawniej granice pomiędzy szczepami, a obecnie tworzą jakby strefy naturalne; tam zwyczajowo odbywają się spotkania mające zaprowa- dzić pokój, na których najwięksi seniorzy godzą się na składanie homagium; tam też, jak w Bouvines, odby- wają się bitwy.

Wrażenie zdecydowanej marginesowości pogłębia się w trakcie analizy listy uczestników turniejów oraz

ich pozycji społecznej. W przeważającej większości jest to „młodzież”. Jeśli stwierdzimy, że zabawa turniejowa stanowi pewien ustalony etap egzystencji rycerskiej, który można również uważać za rodzaj „stopnia”, bardziej lub mniej przedłużającego się interwału pomiędzy latami nauki a chwilą, gdy jako człowiek żonaty i ojciec rodziny, szlachetnie urodzony mężczyzna osiadł wreszcie na swoich włościach i znacznie nimi zarządzać, otoczony uporządkowaną strukturą, na którą składają się dom, rodzina, kierowanie ojcowizną i krewnymi – to sam turniej jeszcze bardziej jawi się nam jako struktura uboczna, układ istniejący poza ustalonym porządkiem, jako katalizator awanturniczych nastrojów. Dotyczy on młodzieńców już dorosłych, rycerzy, którym starszyzna rodu nie chce lub nie może dać kobiety, a więc jeszcze nie ustabilizowanych, nie należących do *senioras*, po zbawionych niezależności materialnej, nie mających co ze sobą zrobić w ojcowskim domu, skąd często, jako osoby nic wygodne, bywają wygnani.

Spójrzmy na Arnulfa z Guines. Gdy tylko osiągnął wiek po zwalający na włączenie się do zabaw stanowiących edukację przyszłego wojownika, opuścił dom ojca, który powierzył go swojemu własnemu seniorowi, hrabiemu Flandrii. Tam stwierdzono, że Arnulf jest waleczny, zręczny w manipulowaniu bronią, szybki i usłużny, hojny, wesoły, piękny, łagodny, *graciosus*; jego pan sam chętnie by go pasował na rycerza, ale pozostał ten honor ojcu; tenże, w dniu Zielonych Świątek 1181 roku – jest to jedyna dokładna data, jaką udostęp-

nia biografia Arnulfa, co świadczy o wadze przywiązywanej w świecie książęcym do tej ceremonii – wymierzył synowi oraz czterem innym młodzieńcom policzek, „którego się nie oddaje”, wznosząc ich tym samym poprzez „sakramenty rycerskie” do męskiej doskonałości. Wśród ogólnej radości komedianci i wędrowni śpiewacy głoszą chwałę młodych. Jest jadło, jest picie. Następnego dnia, przy dźwięku dzwonów, nowy rycerz przyjęty jest przez mnichów i kleryków w kościele w Ardres. Ale zaraz potem Arnulf wyjeżdża. Rodzinny dom odsyła go znowu, a ojciec przez dwa lata udziela mu „pomocy i protekcji”, czyli wypłaca pensję i osłania swoją potęgą. Pozwala mu „wędrować po wielu krajach”, wybiera mentora-doradcę w sprawie turniejów i dysponowania pieniędzmi; przydziela nierozważnemu jeszcze chłopcu jako nauczyciela walki swego siostrzeńca o dużym doświadczeniu, byłego towarzysza młodego Henryka, syna króla Anglii. *Omnes Ghisnensis terre torniatores*, wszyscy amatorzy okoliczni, skupiają się wokół Arnulfa; staje się on jakby księciem młodzieży, któremu powierzono na pewien okres, dla chwały rodu i księstwa, funkcje waleczności i hojności, których starsi *seniores* nie mogliby spełniać z taką dezynwolturą. Wygląda na to, że Arnulf dłużej niż dwa lata oddawał się przyjemnościom wędrowania, tym razem już wbrew woli ojca i bez jego pomocy finansowej. W 1190 roku wciąż jeszcze uczestniczył w turniejach, ale wtedy już nie brakowało mu pieniędzy, gdyż hrabia Guines bardzo chciał, żeby jego syn wyruszył na wyprawę krzyżową, i dostarczał mu wszelkich

ku temu środków. Arnulfa jednak nie pociągały przygody na Ziemi Świętej; nie wiedział, co robić z tak wielką ilością pieniędzy, trwonił je na podarunki i stroje. Przygotowania do wyprawy krzyżowej jakby osłabiły modę na turnieje. Tymczasem zyskał sławę; w wielu krajach opiewany jest jako bohater i chluba rodu Guines. Chciałby się ustabilizować, zostać także seniorem, a więc ożenić się, i to bogato, gdyż nie wygląda na to, aby ojciec miał szybko umrzeć i pozostawić mu spadek. Usiłuje olśnić swymi wyczynami wszystkie możliwe partie, udaje mu się wynaleźć bajkową dziedziczkę, hrabinę Boulogne, pozoruje uczucie, rozwija cały rytuał dworskiego uwodzenia – a możemy domyślać się, że ojciec z daleka śledził te manewry – ale niestety, jak to już stwierdziliśmy, Reginald z Dammartin sprząta mu zdobycz sprzed nosa. Przykład ten pokazuje nam w każdym razie, że rycerz zabawia się turniejami aż do małżeństwa; nic innego nie umie robić.

Nieco wcześniej król Henryk II angielski również ofiarował swojemu najstarszemu synowi, z okazji dwudziestych urodzin, półtora roku wędrowania, które tenże przedłużył o siedem dalszych lat poświęconych sportowej peregrynacji, jaką odbywali wszyscy młodzi ludzie. Podczas tej niekończącej się wycieczki Wilhelm Marszałek przewodził Henrykowi Młodemu, usiłując, nie bez trudu, nauczyć go dobrze walczyć; w ten sposób stawał się „sire i mistrzem swojego seniora, co było uzasadnione, gdyż wychowywał go w waleczności”. Co do Wilhelma, on sam „wędrował” przez ponad dwadzieścia lat, aż do 1164 roku, następnie wyruszył do

Ziemi Świętej, w której pozostawał przez trzy lata, po powrocie służył jeszcze Henrykowi II i wreszcie ożenił się w 1190 roku; kiedy się ustatkował, miał już ponad czterdzieści lat. Turniej jest sprawą nie tylko wieku, ale i niedostatków majątkowych: uczestnikami tych zabaw są ci liczni synowie, których struktura majątków dziedzicznych oraz ostrożność polityki rodowej w sprawie małżeństwa bardzo długo utrzymuje w niepewności i na marginesie społecznym.

Ćwiczenie ludyczne bywa więc w możliwych rodach zwyczajowo przekazywane z ojca na syna. Czasami jednak ojciec musi sam się nim zająć. Tak bywa, jeśli uzyskuje on władzę w młodym wieku, a trwa, dopóki najstarszy z synów nie zdobędzie wystarczających umiejętności, aby zamiast ojca zaprawiać w turniejach okoliczną młodzież. Od tego obowiązku nie może się uchylić, jeśli nie chce stracić miłości i oddania rycerzy i wypuścić z rąk sprawy turniejów, które ograniczają zamieszki. Hrabia Karol z Flandrii wiódł co roku osobiście swoje rycerstwo na turniej. Baldwin hrabia Hainaut czyni to samo. W roku 1171, roku swego dojścia do władzy, przewodniczy on w dniu Bożego Narodzenia uczcie, zimowemu biesiadowaniu, czemuś w rodzaju wielkiego żarcia ludzi dobrze urodzonych, których szlachectwo mierzy się obfitym jedzeniem. Lecz gdy tylko pogoda się poprawia, hrabia wyrusza wraz z osiemdziesięcioma rycerzami, którzy rozjeżdżają się po Szampanii i Brie, biorąc udział w dwóch spotkaniach. Wraca z Wielkim Postem, odprawia rekolekcje i, jak wszyscy, tłumi niecierpliwość. Wreszcie nadcho-

dzi Wielkanoc. Już następnego dnia prowadzi swoją gromadę – liczącą teraz stu rycerzy – na kresy Burgundii, potem do Rethel, i tak aż do Zielonych Świątek. Dla niego i jemu podobnych na tym polega rządzenie. We wszystkich turniejach, o których opowiada *Pieśń o Wilhelmie Marszałku*, udział biorą książęta, hrabia Flandrii, książę Burgundii, hrabiowie z Clermont, z Boulogne, z Saint-Pol – obecni są więc wszyscy przyszli wodzowie bitwy pod Bouvines, naówczas młodzi ludzie, lub ich ojcowie. Nie brak żadnego z książąt północnej Francji. Poza jednym wyjątkiem: poza królami. W 1194 roku Ryszard Lwie Serce, wzór rycerzy, organizuje sieć turniejów w Anglii, ale sam na nich nie bywa: śle przedstawiciela, swego przyrodniego brata, hrabiego Salisbury. Albowiem wszyscy są zgodni, że te świeckie rozrywki, na które biskupi patrzą złym okiem, nie licują z uświęconą godnością królewską.

Kapetyńczyk pozwala swoim braciom uprawiać owe zabawy, ale wyłącza z nich najstarszego syna, który obejmie sukcesję i którego miecz musi pozostać czysty: pod Bouvines Filip August jest jedynym rycerzem, który nigdy w życiu nie brał udziału w turnieju. Za to dla całej arystokratycznej „młodzieży” z północnej Francji są one okazją do nieustających rozjazdów: „mniej więcej co dwa tygodnie odbywały się turnieje, to tu, to tam”. W zapełnionym kalendarzu imprez turniejowych Wielki Post stanowił jedyną nieco dłuższą przerwę, skracaną w miarę możliwości. Gdy tylko minął czas wstrzemięźliwości, każdy wracał do gry z zapalem, zdwojonym bliskością ostatków. Rachunkowość

turniejowa, jaką Wilhelm Marszałek, jako dobry gospodarz, kazał prowadzić pewnego roku, obejmuje okres od Zielonych Świątek do tłustego wtorku roku następnego. W sportowym święcie nie przeszkadza nawet zima. Odbywa się ono mimo deszczów i chłódów. Turniej jest namiętnością.

Jest też sportem zespołowym, podobnie jak prawdziwa wojna, wojna rozbójników. Młodzież przejeżdżająca któregoś dnia przez Clairvaux, którą święty Bernard usiłował kazaniem odwieść od zła, od szaleństwa walki niczym nie uzasadnionej, była prawdziwą kompanią, „manadą”. Panujące powszechnie wyobrażenie walki, która na wąskim, ściśle ograniczonym szrankami terenie przeciwstawiała sobie dwóch jeźdźców uzbrojonych we włócznie, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością prawie do końca XV wieku. Turniej w okresie, o którym mowa, nie jest pojedynkiem, ale zgiełkiem, w którym nikt nie walczy sam na sam. Spotykają się w nim drużyny walczące pod swymi barwami i dowództwem swego kapitana. Dla chwały własnej i chwały przodków, dla zdobycia powodzenia wśród dam, kapitan chce przewodzić najlepszym i najmocniejszym. Baldwin z Hainaut miał początkowo tylko osiemdziesięciu towarzyszy; dwa lata później pociągnął za sobą dużo większy orszak: dwustu rycerzy, tysiąc dwustu pieszych. A Henryk Młody:

Jako zaś każdy rycerz chrobry,  
Dzielny, w robieniu bronią dobry,  
Społem z nim gonić pragnął wielce.



W czasie turnieju w Lagny walczyło dla niego piętnastu chorążych, każdy ze swoją bandą; rekrutował ich w Anglii, Normandii i w Andegawenii, a przede wszystkim w Ile-de-France – kraju wrogim, ale szczytującym się najlepszymi wojownikami. Bandy turniejowe są to zgrupowania przypadkowe, a więc niejednolite. Ich jedność oznaczają pewne symbole, wspólne zawołanie, emblematy wymalowane na tarczach – bez wątpienia szybkie postępy heraldyki w tym okresie wywodzą się bardziej z turniejów niż z wojen. Spójności grup sprzyja wysoki żołąd. Na tym polega rola pieniądza, gdyż wszyscy członkowie ekipy są najemnikami. Jak ten, który towarzyszył Henrykowi Młodemu:

Dzień jego każdy opłacono groszem,  
Czy odpoczywał, czy też w pole poszedł,  
Gdy raz już swoje był opuścił włości.

„Cena” najslawniejszych graczy bezustannie idzie w górę. Wieczorem pod Gournai „wielkie osobistości” targują się o Marszałka, obolałego od otrzymanych ciosów, ale opromienionego sławą. „Każdy płonie chęcią posiadania go.” Hrabia Flandrii i książę Burgundii posuwają się do zaproponowania mu rocznej pensji w wysokości 240 tysięcy denarów. Bogactwo i szybki awans przypadają w udziale gwiazdom turniejów. Konkurencja i nieustanna pogoń za sławą powodują, że pieniądze płyną szerokim strumieniem z rąk najbogatszych. Bardziej niż prawdziwa wojna, ów nie kończący się turniej jest narzędziem redystrybucji wśród średniego rycerstwa zbieranych przez książąt pieniędzy. Fala złota

dociera następnie do wielu jeszcze innych osób. Przed każdym spotkaniem trzeba zakupić ekwipunek i konie, te najdelikatniejsze narzędzia. Między jednym a drugim turniejem Wilhelm Marszałek jeździ na jarmark do Lagny, gdzie wybiera najlepsze rumaki. On, który za młodu, szykując się do turnieju, musiał wymienić za dobrego wierzchowca cenny płaszcz, jaki otrzymał w dniu swego pasowania na rycerza, teraz może płacić handlarzom bardzo drogo. Od tamtych czasów, jako zwycięzca, zrobił majątek. Bujny handel rozwija się wokół każdego sportowego zgromadzenia i nie bez racji pisarze Kościoła, dbający o precyzję słów, zanim ukuli neologizm *torneamentum*, określali turnieje słowem *nundinae*, co znaczy „jarmark”. Turniej ma wszystkie cechy jarmarku: ochrona uczestników i raptowny wykwit namiotów, w których przez kilka dni zatrzymują się hodowcy, kramarze, sprzedawcy wina, kowale, facecjoniści, prostytutki, wszyscy, którzy pożyczają i wymieniają denary, którzy je zarabiają lub kradną.

Lud gwarny zewsząd przyptywa  
Godnej szukając przystani.

Konia z Lombardii tu zoczysz,  
Tako z dalekiej Hiszpanii.

I pieniądze przechodzą z rąk do rąk.

Na długo naprzód ustalono miejsce i datę, a wieść dotarła wszędzie, od dworu do dworu. W siedzibach dowódców drużyn, w dniach poprzedzających grę:

Salę wnet zacni wypełnią panowie,  
W gon iść szykują się nocą panowie.  
Ten hełm złocisty mocuje na głowie,  
Ów złote oka kolczugi rychtuje,  
Nagolenniki i skórznie próbuje.  
Łyska kolczatka, popręgi i wodze.

Bandy przybywają do miasta, pobliskiej wsi lub na pobliskie pole, na obozowisko wyznaczone proporcami. Składają sobie wzajemnie wizyty; wspólnie piją, grają w kości; ze spóźnialskimi układają się o ostateczne zaciągi; nawiązują się przymierza; toczą się dyskusje o taktyce obranej na czas wielkiej rozrywki. Czasami poprzedza ją swego rodzaju *novillada*, spotkanie bardzo młodych, ale to tylko zabawa. O świcie wyznaczonego dnia wojownicy zbroją się przed *reces*, palisadą, za którą będą mogli schronić się tchórze. Drużyny łączą się, gromadzą, zespalają w większe „szyki bojowe”, które same już ustawiają się w dwóch obozach.

Nie ma ani pojedynczej walki, ani zamkniętego pola. Kiedy o oznaczonej porze ogłasza się rozpoczęcie walki – niektórzy oszuści przeszli już wcześniej do natarcia, aby zająć dobre pozycje – oddziały rozciągają się na bardzo dużej, nie ograniczonej przestrzeni, na której każde zróżnicowanie terenu zostanie wykorzystane do zasadzki lub do obwarowania się; w czasie turnieju w Anet Francuzi wycofali się na czas jakiś na małą wyniosłość, pagórek po zniszczonym zamku, podczas gdy piętnastu rycerzy w rozsypce, do czasu ponownego uformowania się, znalazło schronienie

w jakiejś szopie. Bywa, że walka toczy się nawet na ulicach miasteczek. Szymon z Neaufles ze swymi ludźmi zagroził kiedyś jedną z ulic; został pojmany. Wilhelm Marszałek, który go prowadził, wiódł konia za uzdę; gdy odwrócił się, jeńca nie było już w siodle, zawisnął za zbroję na rynnie jakiegoś dachu.

Była to prawdziwa wojna, pełna zasadzek i niespodzianek, ale wojna dla przyjemności. I tak jak na wojnie, dowódcy zatrudniali również piechotę, wyposażoną w piki i łuki. Lecz jedynymi prawdziwymi graczami byli rycerze. Tym ostatnim zdarzało się ryzykować nieostrożne, samotne wystąpienia, ale zasadniczo trzymali się oni ramię przy ramieniu w ściśle zespolonej, nierozłącznej grupie dziesięciu, dwudziestu lub najwyżej trzydziestu rycerzy – taka formacja, zwarta jak pięść, tak gęsta, że podobno rękawica rzucona w powietrze mogłaby spaść tylko na konia lub na jeźdźca, nazywała się *conroi*. „Pomiędzy ich włóczniami nie mógłby przemknąć się wiatr” – jak świetnie wyraża to *Pieśń Aspremonta*. Tak samo jak podczas wędrówek, samotność młodego rycerza jest tylko fikcją z powieści bretońskich, gdyż nigdy nie rozłącza się on z towarzyszami, nigdy też nie walczy z dala od swych przyjaciół. Może to się zdarzyć tylko wówczas, gdy zawładnie nim wściekłość, żądza albo nierozwaga, powodując zazwyczaj jego zgubę. Zgrupowania wojenne są „gruzelkowate”, a działanie polega właśnie na stopniowym rozbijaniu wrogich korpusów i na definitywnym rozbiściu ich. Zwycięstwo jest udziałem drużyn, które umieją czekać, zachować zwartość, pozwolić przeciwnikowi

zmęczyć się, oszołomić, rozproszyć, doprowadzić go do bałaganu i zmusić do rozsypki, na której turniej zwykle się kończy. W 1182 roku w Gournai dziwiono się, że do tego nie doszło:

Sprawa zacie się skończyła,

Jako iż stratna nie była

Strona żadna.

I tak w zgodzie Się rozeszli...

Zwykle, po długich godzinach czatowania, powstaje nagle zamieszanie, które pozwala zaatakować uciekające w rozsypce grupy *conroi*. Tak jak na prawdziwej wojnie, pragnieniem uczestników turniejów jest chęć zdobycia sławy, ale przede wszystkim pieniędzy. Chęć zagarnięcia takiej ilości pieniędzy, aby wyjść na swoje i powrócić do domu bogatszym. *Joutes de plaidisse*, to znaczy walki czysto konwencjonalne, nie uwieńczone nagrodą, są rzadkością; nie przyciągają wielu uczestników. Rycerze jadą na turniej jak do szulerni, aby „wszystko stracić lub wszystko wygrać”, aby zdobyć uprząże lub drogocenne konie, przede wszystkim jednak pojmać ludzi, zdobycz najbardziej nęcącą. W tym celu należy zebrać się w kilku, zmusić wybranego przeciwnika do uznania się za pokonanego i zwolnić go na słowo, żeby mógł kontynuować walkę. Zdarza się często, że jeden rycerz bywa pojmany kilka razy tego samego dnia. Wieczorem w obozowisku wszyscy dowiadują się od krewnych i przyjaciół: wygrali czy prze-

grali? Zdobyte rumaki odprowadzane są do zwycięzców. Zwolnieni jeńcy troszczą się o okup, starając się, nie bez trudu, zebrać konieczną sumę. W grę wchodzi dużo większe pieniądze niż majątek wszystkich walczących razem wziętych. Bardzo się dziwiono, gdy pewnego wieczoru Wilhelm Marszałek wydobył ze swoich sakiew kilkaset denarów i od ręki zapłacił wyznaczoną na siebie cenę; zazwyczaj jeniec darwał zastaw i szukał w rodzinie gwarantów, którzy złożyliby porękę. Tak jak bywa pod koniec jarmarków, tak i tutaj pomiędzy zwycięzcami i zwyciężonymi ustala się cała procedura rekompensat, kontraktów, przekazania, długów prolongowanych aż do następnego spotkania, obietnic, których niewzruszoną podstawę stanowi etyka honoru. Cała ta wymiana odbywa się na słowo, a moneta jest fikcyjna. Rzadkość pieniądza każe odwoływać się do tej formy zapłaty, tak jak to bywało na zebraniach kupieckich. Ponieważ najlepiej zarabia się na zdobywaniu ludzi, wszyscy bardzo się pilnują, aby nie uszkodzić przeciwnika. Sobory jednak potępiają turnieje, bo ludzie zabijają się na nich wzajemnie. I rzeczywiście, ten gwałtowny sport pochłania tyle ofiar, co wojna, może nawet więcej: aby się o tym przekonać, wystarczy policzyć w możliwych do odtworzenia genealogiach *juvenes*, którzy stracili życie w takich demonstracjach brawury. Ale śmierć taka jest zawsze przypadkowa i niechciana przez stronę przeciwną, której nie przynosi żadnego zysku.

Można więc uznać turniej – który w tym również przypomina jarmark – za teren bardzo lukratywnej

działalności, jedyne miejsce, gdzie rycerze mogą się wzbogacić równie szybko jak kupcy, najlepszą, być może, okazję tych czasów do radykalnej redystrybucji bogactw. Rola turniejów w gospodarce XII wieku jest taka sama jak rola spełniana dawniej przez darowizny na cele religijne w społeczeństwie, w którym dominował wpływ duchownych. Tym bardziej powód dla Kościoła, aby potępić te zabawy, które stanowią konkurencję dla jałmużny i otwierają wolną drogę dla idei zysku, która tylko w ten sposób może przeniknąć do mentalności arystokracji. Oczywiście tchórza, niezdarę lub pechowca turniej może doprowadzić do ruiny. Ale koniec końców przecież wszelkie koszty ponoszą książęta. Zabawa odbywa się na ich koszt, a pieniądze, nierzadko pożyczane od mieszczan, przeznaczone są na odszkodowania dla przegrywających drużyn, na odkupienie zabitych koni i porwanych kolczug, na zapłacenie okupów i żołdu. Natomiast lwia część zysku dostaje się kilku rycerzom, opiewanym później przez Bertranda z Bom, który w swoich sirwentach chwali ich za zręczność i usprawiedliwia szybkie wybicie się.

Wirtuozi walki konnej, tacy jak Wilhelm Marszałek, dochodzą rzeczywiście w ciągu kilku lat do wielkich majątków. A gdy

Rosnąć zaczęta fala powodzenia  
Jako i sława rycerza imienia,  
Za sprawą jego męstwa, waleczności,

dobrał sobie współnika, rycerza flamandzkiego, też należącego do kompanii Henryka Młodego, licząc, że

interesy ułożą się wtedy jeszcze lepiej. „Zaprosił go na towarzysza” i spółka ta przetrwała dwa lata. Miała nawet księgowego, którym został człowiek zarządzający kuchnią młodego Henryka, gdzie robił bilans wydatków. Na służbie dwóch rycerzy-wspólników sporządzał bilans dochodów. Były one tak duże, że pominął w wykazie ceny koni i ekwipunku, sporządzając tylko listę rycerzy, na których był nałożony okup: stu trzech w ciągu dziesięciu miesięcy. Łup zaiste wspaniały i wart niejednej garści denarów.

A jednak tymi denarami moralność rycerska nakazuje gardzić. Jest to etyka uformowana w czasie turniejów, w samym sercu zabawy w pieniądze, coraz bardziej bezwzględnej w miarę dochodzenia do głosu ludzi handlu, pracujących dla zysku, coraz groźniejszych i coraz bardziej zachłannych, w których arystokracja wyczuwa bezbłędnie zagrożenie materialnych podstaw swej wyższości. Dobry rycerz nie może być interesowny. Wyczyn nic nie jest wart bez hojności. Świat turniejów pozornie dąży więc do „nagrody”, czyli chwały, a nie do zysku. Przybywszy samotnie na turniej do Pleurs, Wilhelm Marszałek, według autora panegyryku na jego cześć,

Nie dbał nigdy o dochody,  
A jego pilne zachody  
Nie dla zysku ni korzyści.  
Zdobył coś więcej aliści:  
Bogactwo wielkie zabierze,  
Kto pilnie chwały swej strzeże.



Nieco później spotykamy go w Joigny, rozdającego swoją część zysku krzyżowcom:

Zdejmuje spode drzwi strażę,  
Uwolnić jeńców swych każe,  
Zaczem ich hojnie obdarza.

Najwyższa nagroda – będąca również źródłem zysku dla tych, którzy zostaną wymienieni, albowiem zajęcie dobrej pozycji na liście nagród pozwala drożej się wynająć kapitanom – to odznaczenie, przyznawane na zakończenie turnieju najlepszemu rycerzowi, wybranemu przez wysokie osobistości. Nagroda jest symboliczna (w Pleurs jest to szczupak; jakaś dama ofiarowuje go księciu Burgundii, który odmawia, a w ślad za nim wszyscy wodzowie; wreszcie dwóch rycerzy z giermkim uroczyście zanoszą rybę Wilhelmowi Marszałkowi, którego znajdują z głową na kowadle w kuźni, gdzie kowal z wielkim zapalem pracuje młotem i obcęgi, aby go oswobodzić z wykrzywionego i wciśniętego aż po szyję hełmu). Ale nie wolno zapominać, jak wielkie znaczenie ma „nagrada” pod koniec XII wieku: nadaje ona turniejowi status konkursu, honorowej rywalizacji i stanowi podstawę wszystkich niezauważalnych zmian, jakie w przeddzień Bouvines kształtują postępowanie rycerstwa. Są ku temu dwa powody. Po pierwsze, szczególnie rozmnożyły się wówczas bandy *routiers*, wynikała więc konieczność ustalenia sztywnych zasad wojny szlacheckiej. Po drugie, rozdanie laurów odbywa się na oczach dam. Panie, trzeba przyznać, nie stronią od tych gwałtownych roz-

rywek. Czasami, jak w Pleurs, własnymi rękoma wręczają zwycięzcy symbol waleczności. Rankiem przed turniejem w Joigny szykujący się rycerze ujrzeli hrabinę z damami dworu; przybiegli, pozostawiając hełmy, i ujęli je za ręce, aby zatańczyć. Jeden z nich zapytał:

...któremu z gości

Piosenkę zanucić wystarczy dworności?

Wilhelm Marszałek, oczywiście, intonuje pieśń, którą wszyscy podchwytyją. Tak więc turnieje były wówczas również szkołą kurtuazji, można było nauczyć się zalotów pozwalających zyskać miłość dam. W tej materii działali również inni specjaliści, „ci histrioni, zwani heroldami”. Można by ich nazwać agentami reklamowymi, impresariami – ale również handlarzami sławą: „Kiedy widzą, że ktoś szermuje bronią z siłą i mocą”, komponują piosenkę na jego cześć. Uczynił to rankiem w Joigny

...pieśniarz owy,

Co heroldem był nowym.

Chytry refren głosił:

Wielkim jesteś panem,

Od ciebie niechybnie rumaka dostanę.

I Wilhelmowi nie pozostawało nic innego, jak zdobyć rumaka w czasie walki i ofiarować śpiewakowi.

Ważne jest, że przez tego rodzaju celebracje głoszą chwałę indywidualnego wyczynu. Pod tym względem turniej stawał się miejscem kolejnej znaczą-

cej przemiany. Do starcia trzeba było skupić się w *con-rois*, w ściśle powiązanych drużynach. Ale perypetie zabawy wyłaniały z tłumu pewne osobistości, które wchodziły do „wyższych warstw”; zawarta w opowieściach i pochwałach, takich jak relacje z bitwy pod Bouvines, cała sława im przypadła. Imię ich było na wszystkich ustach. Oczywiście ta sława miała podłoże materialne: wygrali, mogli więc opłacać pochlebców. Ale zysk przybierał pozory szlachetne, demonstracją swojej hojności rycerstwo zachowywało dystans w stosunku do wzbogaconych mieszczan, a wobec *cotte-reaux* i Brabantczyków, pracujących uczciwie i solidnie, ale bez parady, poczuwało się ono do nieustraszonej, ostentacyjnej odwagi, do arabesek brawury. Oceniały tę brawurę damy, wzruszone do głębi i przejęte entuzjazmem, co podkopywało ich samoobronę i ułatwiało ich zdobycie. W odwadze zawierała się waleczność, najszlachetniejsza z cnót – właśnie w tym czasie tchórzostwo zaczęło być uważane za nikczemność – będąca odtąd cnotą mężczyzny, którego czyny wspomagała oczywiście solidarność całej drużyny, ale który uważał swoją sławę za swoją własność, za bogactwo, które go wyróżniało z grupy, które sam mógł spożytkować, tak jak bogactwem kupca był worek pieniędzy, przewożony przez całą karawanę. W tej nieustającej grze drużyn i pieniędzy, jaką był turniej, w tej bezsensownej i świeckiej rozrywce, stale gromionej przez Kościół, czyn bohaterski zapewniał wolność i niezależność. Wyzwalał jednostkę od więzów rodowych i przyjacielskich, niezbędnych, lecz czasem zbyt uciążliwych,

a nawet paraliżujących. Stwarzał złudzenie samotności, tej samotności pełnej chwały, egzaltacji i wyobraźni, która była udziałem wędrujących Parsifalów i Gawenów.

\* \* \*

Aby zrozumieć wydarzenie, jakim była bitwa pod Bouvines, należy odnaleźć jego miejsce w potężnym strumieniu innowacji, które przez cały wiek XII modyfikowały kształt działań wojennych. Kluczem do tej bitwy jest szereg udoskonaleń technicznych, prowadzących do nieustannego wzmocnienia obrony i jak najpełniejszego opancerzenia jeźdźców, którzy stawali się niepokonani. Jest nim też proces powolnego kostnienia ram politycznych, które prawdziwą wojnę omotały stopniowo dekretami pokoju, dekretami, nad którymi władzę sprawowali wielcy książęta; stąd tak burzliwy rozwój turniejów. Jest nim wreszcie stopniowa inwazja potęgi pieniądza, sprawiająca, że rycerstwo przede wszystkim troszczyło się o obronę swoich przywilejów, niepokoiło konkurencją najemnych żołnierzy i bogactwem kupców, nadśluchiwało pomruków buntu, dochodzących już zupełnie wyraźnie spośród ludu. Lecz kluczem do tej bitwy jest również nieprzerwany rozkwit kulturalny epoki. W 1214 roku coraz więcej rycerzy potrafi czytać lub przynajmniej recytować czy śpiewać poematy. Zjawisko to tłumaczy umocnienie autonomii *ordo* ideologicznego ludzi wojny, który uniezależnił się od *ordo* ludzi Kościoła. Z pewnym trudem można prześledzić najdawniejsze formy tego sys-

temu i długie dojrzewanie przedstawień, pojęć, obrazów, i rytualnych znaków, które doprowadziły do całkowitej jego dojrzałości w okresie Bouvines. Bowiem bardzo długo, aż do początku XII wieku, wszystkie wytwory kultury na tyle solidne, że przetrwały do naszych czasów, wszystkie przekazy pisane lub wizualne były dziełem księży i zakonników i na ich podstawie historyk musi odtworzyć stan umysłu wojowników. Zadanie niełatwe. Tym bardziej że pół wieku przed Bouvines postawa Kościoła wobec *militia* była w zasadzie agresywna i pełna nagany. Przynajmniej sądząc z tego, co wiemy o niej dzięki istniejącym dokumentom, z których najlepsze przekazał historykom stan zakonny; stan ten zawsze dominował w instytucji kościelnej, głosił pogardę dla świata cielesnego i zachęcał do pokuty. Przed rycerzem rysowała się tylko jedna droga do doskonałości – „nawrócenie”. Niechaj odwiąże pendent wojskowy, przywdzieje habit świętego Benedykta i wstąpi, choćby u progu śmierci, do klasztoru; lepiej nie można przygotować się na Sąd Ostateczny.

Orderic Vital opisuje działalność jednego z takich głosicieli wyrzeczeń, nadwornego kleryka Gerolda z Avranches. Na początku XII wieku był on kapelanem na dworze Hugona z Chester: „U kilku rycerzy zauważył i słusznie ganił popędliwość ciała. Ubolewał nad wielkim niedbalstwem, jakie większość z nich okazywała wobec służby Bożej. Mnożył zbawienne rady na użytek baronów, prostych rycerzy i «młodzieży». Podawał przykłady zaczerpnięte z *Nowego Testamentu* i z kronik chrześcijańskich, przytaczał wzory świętych

wojowników godnych czci.” Opowiadał żywoty męczenników, świętych rycerzy, Jerzego, Teodora, Sebastiana, Demetriusza, jak również świętego Maurycego i Eustachego, ale mówił też o „świętym zwycięzcy Wilhelmie [z Orange], który po długich walkach wyrzekł się życia świeckiego i przyjąwszy regułę zakonną, chwalebnie walczył za Pana”. Śpiewacy wędrowni, dodaje Orderic, śpiewali zwykle „pieśń o tym świętym”. Lepiej jednak zaufać uczonym Kościoła, podaje więc historię jego czynów pochodzącą od pewnego mnicha z Winchester, którą sam uważa za bardziej autentyczną. Bohater ów walczył najpierw w sprawiedliwej wojnie: „Musiał brać udział w wielu walkach przeciwko barbarzyńcom zamorskim i przeciwko okolicznym Saracenom; dzięki pomocy Boskiej, swym mieczem uratował lud Boży i powiększył granice cesarstwa chrześcijańskiego.” Pewnego dnia jednak, mimo łez i błagań całej szlachty, zdecydował się porzucić żywot świecki i wyruszył ofiarować swą zbroję świętemu Julianowi z Brioude. „Na grobie męczennika oddał Bogu swój hełm i bardzo piękną tarczę.” W samym sercu sanktuarium, w krypcie, złożył broń obronną, a broń zaczepną, najbardziej niebezpieczną, zostawił u drzwi. Pieszko, odziany we włosiennicę, wyruszył w drogę jako pokutnik i pielgrzym Chrystusowy do klasztoru, który sam założył w Gellone. Tam dokończył dni swoich w pokorze prac służebnych. „Tak to Gerold często prawił o sławnych czynach niepokonanych wojowników Pana i, raz łagodnością, raz groźbą, zachęcał żyjących obok niego oraz innych zbrojnych do wstąpienia na tę drogę

życia.” Skuteczne upomnienie: pięciu rycerzy wstąpiło do opactwa Saint-Evroul, w którym przebywał Orde-ric.

Święty Bernard z Clairvaux wykazywał wówczas taką samą postawę. W czasach gdy sobory w Reims i w Clermont potępiały turnieje, redagował Księgę ku chwale nowego rycerstwa. *Militia – malitia*: wojsko tego wieku służy diabłu, a nie Panu Bogu. „Obciążacie konie wasze czaprakami z jedwabiu; pokrywacie kolczugi wasze niezliczoną ilością tkaniny; ozdabiacie malowidłami topory, tarcze i siodła; nie załujecie srebra, złota i drogich kamieni na wędzidła i ostrogi. Czy to są oznaki stanu rycerskiego? Czy te ozdoby nie pasowałyby bardziej niewiastom? Jesteście jak kobiety, utrzymujecie masę koni, które przesłaniają wam cały świat, zawijacie się w długie do stóp koszule, chronicie delikatne dłonie w rękawy równie szerokie jak długie...” To pycha powoduje rycerzami, brak umiaru, „szaleństwo, które ich pcha do walki”. A więc „powinniście się lękać śmierci zadanej waszej duszy w chwili, kiedy uśmiercacie przeciwnika, lub też śmierci zadanej jego ręką zarazem waszemu ciału i waszej duszy”. Dzięki Bogu „powstało na ziemi nowe rycerstwo”, zakony rycerskie templariuszy i szpitalników, świeżo utworzone na Ziemi Świętej, „w kraju, który wschodzące słońce przyszło nawiedzić z wysokości niebios. Tak więc w miejscu, w którym potęgą swego ramienia zwyciężyło ono księcia ciemności, miecz walecznego rycerstwa wyniszczy wkrótce satelitów tego ostatniego, czyli synów niewiernych. Raz jeszcze odkupi on naród Pana i sprawi, że

przed naszymi oczami pojawi się znowu różek słońca, w domu Dawida, Jego syna.” Templariusze odrzucili świat, luksus, próżność – „obcinają włosy, gdyż uważają, wraz z Apostołem, że to wstyd dla mężczyzny dbać o fryzurę” – lekkomyślność, zabiegi o świecką sławę. W ramach wspólnoty, dyscypliny i roztropności toczą zorganizowane boje – tak jak to długo czynił brat Guerin. Prowadzą podwójną walkę: przeciw ciału i krwi oraz przeciwko „duchom zła, rozpanoszonemu w przestworzach”. Komu brak odwagi do całkowitego wyrzeczenia się przyjemności wojny, powinien czynić jak oni. Sam Bernard z Clairvaux nawrócił się, będąc młodym rycerzem. Do tego nawrócenia wzywa wszystkich pozostałych i marzy o opactwach pełnych wojowników, czyniących pokutę, czystych i ubogich.

W tym samym czasie przystosowano struktury klasztorne do przyjęcia ludzi dojrzałych, którzy wyrzekali się świeckiej walki. Już wcześniej wspólnoty benedyktynów przyjmowały do swego grona rycerzy pragnących na łożu śmierci przywdziać habit i kaptur. W ciągu XII wieku otworzyły się wrota klasztorów dla tych „brodatych konwersów”, starych bojowników, połamanych i zmęczonych kawalkadami, poszukujących spokojnego i pobożnego zacisza, mnichów, którzy nie nauczyli się śpiewać w czasie nabożeństw i których nie wiadomo było, czym zająć w klasztorach kluniackich. To właśnie dla przyjęcia zbrojnych utworzyły się i potężnie rozrosły bractwa templariuszy i szpitalników, przyjmujące nawet kandydatów nie całkiem zdecydowanych, tak jak Wilhelm Marszałek, który u kresu



swej „młodości”, w wieku lat czterdziestu, przyłączył się do zakonu templariuszy, nie wstępując jednak do niego naprawdę. Przywdział on w pewnym momencie płaszcz zakonny, który posłużył mu jednak tylko raz, do przykrycia jego własnych zwłok w czasie ceremonii pogrzebowej. Istnienie takich możliwości, łatwa osmoza pomiędzy życiem klasztornym a świeckim, umacniały świadomość, że nie odchodząc od świata i pełniąc funkcję, którą Bóg mu powierzył, rycerz może osiągnąć swego rodzaju doskonałość.

W drugiej połowie XII wieku stan duchowny zaczyna tracić znaczenie. Teraz dominującą rolę w Kościele przejmują księża, zawsze ściśle złączeni ze społecznością rycerską. Zdarzali się kanonicy i biskupi walczący jak najsmielsi rycerze w obronie dóbr swojej katedry czy przeciwko bandom rozbójników. Tak walczył biskup Beauvais, Filip z Dreux, który poprowadził zmasowany atak pod Bouvines, a którego piętnaście lat wcześniej pojmał był jakiś szef *cottereaux*, nie jako prałata – głosi pieśń o Wilhelmie Marszałku – „ale jako rycerza uzbrojonego od stóp do głów, ze spuszczoną przyłbicą”. W północnej Francji – w przeciwieństwie do południowej, w której wszystko co religijne jest dużo bardziej oddzielone od tego co świeckie, co sprawia, że kultura dworska, kultura trubadurów, ich sirwenty, erotyczne i polityczne, dużo bardziej wymyka się wpływowi Kościoła – zastępy kleryków stykają się w małych i wielkich domach książęcych z młodzieżą ćwiczącą się w używaniu broni i starają się ją rozerwać. Silni wiedzą, bagażem umysłowym, który pozwala im nadać

kształt poetycki temu, co wokół nich się marzy, klerycy wznoszą, dla przyjemności i edukacji młodych, solidnie podbudowany gmach kultury, niezależny, niebędący bynajmniej odbiciem kazań i homilii, wysłuchiwanym jednym uchem w bazylikach i kruchtach klasztornych; odpowiada on całkowicie zamiłowanym tejże „młodzieży” i przekazuje nadzieje lub frustracje rycerzy-kawalerów, członków wędrownych kompanii i uczestników turniejów, szerokiej i licznej kategorii wieku, której horyzonty kulturalne różniły się znacznie od horyzontów ludzi żonaty, *seniores*.

Kultura Baldwina hrabiego Guines to kultura pisana, jak kultura dawnych królów, których książęta nauczyli się stopniowo naśladować; nie umie on czytać, ale ma u siebie książki pochodzące ze szkół i dzieła uczonych, traktujące o świętych sprawach i o myśli Ojców Kościoła. Przetłumaczono je z łaciny na język ludowy: dla hrabiego nie stanowią one bezużytecznej ozdoby, lecz są rezerwą wiedzy, z której ma zamiar czerpać przy pomocy lektorów, aby odnaleźć takie rozumienie pism i liturgii, które przystoi ludziom jego rangi i jego wieku. A tymczasem kultura jego syna, „młodzieńca” Arnulfa, uczestnika turniejów, jest mówiona, całkowicie świecka i rozwija się w wyobraźni. Padają ulewne deszcze; banda towarzyszy musi przerwać wędrówkę i, pozbawiona zajęcia, zatrzymuje się na dwa dni i jedną noc w zamku w Guines; młodzieńcy zabijają czas, jak mogą, opowiadając sobie przygody bohaterów, którym będą usiłowali dorównać. Są to bohaterowie wyprawy krzyżowej, „ziemi jerozolimskiej, oblężenia An-

tiochii, Arabów, Babilonu, zamorza”. Wyczyny ich zna jeden z towarzyszy Arnulfa, Filip z Montgarden. Są również bohaterowie romansów i epopei rycerskich; z kolei Robert z Coutance opowiada „historię cesarzy rzymskich, Karola Wielkiego, Rolanda i Oliwiera, króla Artura, sławne czyny i baśnie z Bretanii, dzieje Gormunda i Izembardy, Tristana i Izoldy, Merlina”. Wreszcie bohaterowie rodu Guines – tym razem rola barda przypada członkowi rodziny, Walterowi z Écluse, stryjowi młodego Arnulfa. Epopeja boska, opowieści na wpół legendarne, na wpół baśniowe, chwala przodków. Treści przekazywane słowem, z ust do ust, składane w depozycie w pamięci „młodzieży”. Bywa, że młodzi przyjmują do swego grona starszych (Arnulf z Guines przyjaźnił się z chłopcami w swoim wieku, ale „otaczał się też zgrzybiałymi starcami, gdyż oni opowiadali dawne dzieje”) oraz ludzi Kościoła, np. księdza Lamberta z Ardres, z którego opowieści czerpiemy te wiadomości. Jedną z funkcji kleryków, utrzymywanych od dziecka na dworze i biorących chętnie udział w wyprawach, było właśnie utrwalenie na piśmie ulotnej materii tej ustnej literatury: historii Ziemi Świętej, cesarza z siwą brodą i jego dwunastu parów, rycerzy błakających się w zaczarowanych lasach, a przede wszystkim wielkich czynów przodków. W XII wieku zapiski genealogiczne przybierają pewien określony kierunek i przetwarzają się w galerię bohaterskich portretów, głoszą potomkom rodu wzór przykładowej konduity, a pamięć rodzinna staje się jakby honorowym skarbcem, przekazywanym z pokolenia na

pokolenie, który należało wzbogacić, a w każdym razie uchronić od roztrwonienia. Takie były ramy edukacji waleczności.

Ponieważ w północnej części królestwa Francji kształt tym przekazom nadawali klerycy, uległy one wpływom ideologii Kościoła; prawdę mówiąc, bardzo dyskretnym i przesyconym duchem wypraw krzyżowych. Albowiem od roku 1150 literatura utrwala nową koncepcję rycerstwa, rycerstwa świeckiego, przeciwstawianego wszystkim innym grupom społecznym. Rycerstwo jest najważniejsze – „najwyższy stan wyznaczony przez Boga”, głosi Parsifal – i oparte na konstelacji cnót. Dawny gmach honoru opierał się na jednym filarze: lojalności i szacunku dla złożonej przysięgi, wierności węzłom krwi i zobowiązaniom przyjaźni, które scalają grupy turniejowe (*conrois*) i drużyny wojenne. Lęk przed „okryciem wstydem i hańbą wszystkich krewnych” powstrzymuje hrabiego Beaumont, sto lat przed Bouvines, od zerwania przymierza, cofnięcia słowa, opuszczenia swoich parów w celu zawarcia pokoju. Ale trzy inne cnoty przyłączają się stopniowo do pierwszej: „kurtuazja”, czyli przystojne maniery w odnoszeniu się do dam, a przede wszystkim bohaterstwo i hojność.

Te dwie cechy są nierozłączne, a w języku francuskim słowa *la prouesse* i *la largesse* łączy zbieżność dźwiękowa. Pochwała zawarta w *Pieśni o Wilhelmie Marszałku*, a dotycząca hrabiego Salisbury, Wilhelma Długiego Miecza, „który z bohaterstwa czyni swą matkę, a z hojności swego chorążego”, rozbrzmiewa echem

„cnoty i hojności” z *Romansu Bruta*, ułożonego 75 lat wcześniej. Pod słowem „cnota” należy rozumieć po prostu odwagę. U progu XII wieku pojęcie to nie należało do głównych wartości etyki rycerskiej. Skądże znowu! Wynika to z osądu walczących, zawartego w anonimowej *Historii pierwszej wyprawy krzyżowej*, opowiadaniu opartym na bezpośrednim świadectwie znajdującego się na rzeczy rycerza. Tekst sławi odwagę oddziałów wojskowych, grup, gdyż mowa jest tylko o grupach; o pojedynczym człowieku mówi się jedynie wtedy, gdy jest on dowódcą, osądzając go wyłącznie według pełnionej funkcji i odpowiedzialności za oddział.

Ale w tym tekście wyraz „odwaga” łączy się z pojęciem siły fizycznej i rozwagi, które są cechami statycznymi; nie chodzi zaś o nieobecność lęku. Wprost odwrotnie: zuchwałość jest uważana za godną potępienia, jako zaślepienie równie szkodliwe jak pycha, która jest grzechem ciężkim, gdyż podburza przeciwko Bogu. Odwaga – siła i mądrość – jawi nam się jako cnota bierna, postawa ufne go, zdecydowanego oczekiwania, poddanego woli Bożej, jeden z aspektów nadziei. O ile bowiem człowiek ma dopomóc Bogu w urzeczywistnieniu Jego zamiarów, zawiniłby zuchwalstwem, gdyby chciał zmienić ich bieg; pobożny rycerz powinien schylić czoło wobec decyzji Bożej. Odwaga jest więc ornamentem działania i tę funkcję dekoracyjną wyraża się za pomocą przysłówków i przymiotników. Nie jest motorem działania, tak jak lęk, który wyraża się w mowie za pomocą rzeczowników i czasowników. Lęk obse-

syjny, zawsze obecny, przed zwarciem, w momencie poprzedzającym starcie, kiedy ocenia się siły nieprzyjaciela, licząc jeźdźców i pieszych z naprzeciwka, zawsze błędnie, z przesadą, jaką rodzi niepokój; lęk, który wzrasta, gdy zaczyna się bitwa. Można go jeszcze opanować w uniesieniu pierwszych ataków, ale staje się on wszechobecny, gdy tylko załamuje się zwartość grupy. W wypadku ucieczki wybucha z całą siłą. Jest godne uwagi, że uczucie lęku jest częściej usprawiedliwiane niż ganione, o ile jest on objawem rozwagi, a więc prawdziwej odwagi, koniecznej pokory wobec ostrzeżeń nieba — i najczęściej po prostu autor *Historii* ogranicza się do stwierdzenia jego obecności bez komentarza, jako pewnej stałej w mentalności wojennej, która w żadnym wypadku nie przynosi ujmy.

Sto lat później, w okresie Bouvines, ten stan rzeczy uległ zmianie. Od tej chwili odwaga stanowi o walorze rycerza, nie pozwala mu użyć jakiejkolwiek broni niegodnej, jakiegokolwiek podstępu, który mógłby spowodować posądzenie o tchórzostwo. W roku 1197 Wilhelm Marszałek w towarzystwie hrabiego Flandrii walczył przeciwko Filipowi Augustowi. Baronowie zaproponowali obwarowanie się za wozami, których wielką liczbę przywiozły komuny flamandzkie; walka miałaby polegać na krótkich wypadach i starciach z Francuzami. Broń Boże — odpowiedział Wilhelm — żadnych komun, żadnych szanćów; będziemy walczyć w szczerym polu ani myśląc o chowaniu się. W zespole cnót rycerskich Zuchwałość zdetronizowała Rozwagę i zajęła najwyższą pozycję. Zuchwałość oraz jej nieodłączna towa-

rzyszka – Rozrzutność. W tym czasie Kościół głosi nową moralność, w której pośród grzechów na pierwsze miejsce, zamiast pychy, wysuwa się chciwość. Odwaga rodzi zysk. Ale zysk sam w sobie jest godny pogardy. Szlachetny rycerz może zdobywać tylko po to, aby więcej rozdać. Nic nie usprawiedliwia korzyści, jakie można ciągnąć z wojny lub jej namiastek, oprócz cnoty marnotrawstwa. Powróćmy raz jeszcze do Wilhelma Marszałka, który

Często opuszczał własną swą dziedzinę,  
Jedynie sławę mając za przyczynę  
I z bogatymi powracał łupami.  
A że go żadne bogactwo nie mami,  
Szczodrze dookoła, co ma, to rozdawa...  
Z przyczyny owej rośnie jego chwała,  
Dobrocie jego i szlachetność cała.  
Wielkie mu przeto dają poważanie  
Król, baronowie i szlachetne panie.

W tej szkole, jaką były dla wszystkich dobrze urodzonych rycerzy spod Bouvines wędrówki, turnieje, wojna pół oficjalna i wojna sprawiedliwa, ta prawdziwa, prowadzona w imię Boga dla utrwalenia pokoju, rycerstwo przynosi zysk. Przez słowo rycerstwo rozumie się nie grupę społeczną, ale pewną jakość, szlachetność duszy, honor, który rozkłada się nierównomiernie i wyróżnia pewne tylko osoby.

Zacna to rzecz, rzecz to chrobra,  
Do nauki trudna wielce.

Rycerstwo przynosi pieniądze, i to duże. Jak wszystko na tym świecie, jest częściowo spaczony i ma ciemną stronę, gdzie czai się ostre i sekretne żądło interesu. Jak płaszcze z jedwabiu zarzucane na kolczugę, zjawia się więc ideologia, aby przesłonić to co niepożądane i przedstawić wszystko w różowych barwach. A także załagodzić! Pożądliwość przebiera się za waleczność, maskuje pod płaszczykiem gorącego zrywu, zrywu nieustraszonego i nieobliczalnego, który podoba się kobietom i który – jak mówi się od niedawna – coraz mniej nie podoba się Bogu.

\* \* \*

Różnica pomiędzy turniejem a prawdziwą walką polega tylko na intencji: wojna jest inspirowana „nienawiścią”, chęcią *tuitio* i *ultio*, obrony i zemsty. Walka, jeśli jest dobrze prowadzona, z poszanowaniem zakazów, jest operacją sprawiedliwą. Na pewien czas narusza porządek rzeczy, ale tylko po to, aby go w pełni przywrócić, wyplenić zniewagi, oddać wszystkim sprawiedliwość. Tak więc *werra* (walka) jest sprawiedliwa i uzasadniona w trzech przypadkach: gdy brak autorytetu sądowego, który by wpłynął na napastnika, gdy pokrzywdzony decyduje się nie wnosić skargi albo gdy winny odmawia uznania decyzji zgromadzenia arbitrów. Wojna jest bardziej legalna niż turniej, który jest rozrywką dla przyjemności. Nie jest ona „ostentacją” i pogonią za próżnym rozgłosem, ale koniecznym użyciem siły wobec uchylającego się od sprawiedliwości nieprzyjaciela. Konieczna jest ofensywa, która zmusi



go do cofnięcia się, oddania zdobyczy, wysłuchania słów pojednania, naprawienia wyrządzonych krzywd. A dla zastraszenia go, ujarzmienia, zmuszenia do posłuchu, cóż można zrobić lepszego, jak zniszczyć jego ziemię?

Pod tym pretekstem wojna przybiera znów swoje bardzo stare oblicze wypraw grabieżczych, które odwiecznie, co roku, przeciwstawiały plemiona jedne drugim. Jest to zbiorowe zdobywanie łupów, któremu wszyscy oddają się całym sercem i z czystym sumieniem, rozwijając wszystkie swoje walory: nie ma lepszego wojownika jak ten, który „zdolny jest do czynienia wielkiego zła”. Dowódca chce sobie wynagrodzić trud, jego towarzysze myślą tylko o tym, aby zagarnąć jak najwięcej, a gorliwość ich dorównuje zachłanności. W 1127 roku we Flandrii Galbert z Brugii opowiada o setkach rycerzy oraz wszystkich zdolnych do noszenia broni ludziach z miejskich komun, którzy śpieszyli, aby spełnić szczytny obowiązek i pomścić zamordowanego hrabiego. Ostatecznie udało im się zapędzić zabójców do kościoła zamkowego w Brugii. I oto „pełni śmiałości i chęci walki, mając obleżonych przed sobą, przywołują całą odwagę, rozważają, jak piękna byłaby śmierć za ojców i za ojczyznę, jaką sławą okryliby się zwycięzcy i jakimi zbrodniarzami i łotrami są zdrajcy, którzy schronili się w świątyni Chrystusowej – a sami łakną skarbca i pieniędzy hrabiego, marzą o przyszłym łupie po zwycięstwie nad obleżonymi i – dodaje Galbert, świetny obserwator – już to samo wystarczy, aby pobudzić ich gorliwość”. Wojownicy zagarniają

wszystko, każdy dla siebie, a raczej każda grupa dla siebie. Istne polowanie i nagonka w walce o łupy – choć czasami dowódca usiłuje, bez większego sukcesu, doprowadzić do sprawiedliwego ich podziału. Każdą większą akcję może w każdej chwili przerwać rozpanoszenie się grabieży, nieodparta pokusa zagarnięcia wszystkiego dla siebie. Właśnie w Brugii zresztą zabójcom udało się schronić i zabarykadować w kościele dzięki temu, że w decydującym momencie ścigający, olśnieni łupami, jakie ukazały się ich oczom, zaprzestali pogoni: „rzucili się do grabieży i łupów, myszkując wszędzie, poczynając od domu hrabiego, aż po dom burmistrza, od sypialni do klauzury kanoników (...), pragnąc przywłaszczyć sobie skarbiec hrabiego i wyposażenie domów położonych w obrębie zamku. Z domu hrabiego zabrali kilka materaców, zasłony, płótna, kielichy, kociołki, łańcuchy, żelazne sztaby, liny, struny, obręcze, naramienniki, wszystkie przedmioty żelazne używane w więzieniach, żelazne odrzwia ze skarbca hrabiego, ołowiane rynny, którymi ściekała woda z dachów. Zabrali wszystko bez żadnych skrpułów. Z domu burmistrza zabrali łóżka, skrzynie, ubrania, kielichy i całe umeblowanie, że nie wspomnę ogromnej ilości zboża, mięsa, wina i piwa, złupionych w spiżarniach hrabiego, burmistrza i kanoników. W sypialni kanoników, pełnej drogich szat, obłowili się tak bardzo, że od chwili wkroczenia na zamek aż do nocy krążyli tam i z powrotem, aby zdołać wszystko zabrać.”

Łupy te nie były tak śmieszne, jakby się wydawało, albowiem świat ówczesny był ubogi, szarpany głodem

lub lękiem głodu, metal i tkaniny były rzadkością, a monety chowano skrzętnie. W świecie nędzy, w którym wszystkiego brakuje, wszystko nadaje się do złupienia. Wojna czyni spustoszenia i zmusza wieśniaków do ucieczki w lasy, na bagna lub poza mury miast. Najpewniejszym schronieniem wydają się być miejsca święte, kościoły wypełniają się gwałtownie; w jednym z nich znaleźli kilkudniowe schronienie mordercy Karola Dobrego. Gdy tylko zbliżał się nieprzyjaciel, bywały one tak przepelnione koszami, workami i wszelakim dobrem przerażonych wieśniaków, że stawały się jakby „magazynami ludu pozbawionego należnej mu ochrony”. W szczytowym momencie pogoni zdarzało się, że całe grona tych nieszczęśników ostatkiem tchu czepiały się krzyży na rozstajach; jeśli tylko nie ścigali ich najemni rozbójnicy,” lecz bogobojni wojownicy, wówczas byli ocaleni. Lecz na wojnie najlepszym łupem jest, tak jak w turnieju, rycerz z przeciwnego obozu.

Trzeba go pojmać, a w tym celu wysadzić z siodła, nim zdoła dotrzeć do jednego z mniejszych lub większych zamków, z których każdy jest ostoją. Można go wysadzić z siodła włócznią, ale ona szybko się kruszy. Bardziej skuteczne są żelazne haki, służące do ściągania człowieka z konia, którymi posługują się piesi. Jednak mogą oni działać tylko wtedy, gdy przeciwnik został otoczony. Na nieprzyjaciela poluje się ze sforą, jak na jelenia. Nie należy go jednak zabijać, gdyż tylko żywy jest coś wart. Rycerze nie zabijają się na wojnie, a w każdym razie czynią to rzadziej niż w czasie turnie-

jów, kiedy porywa ich gra, a namiętność bierze górę nad opanowaniem. Na wojnie śmierć również jest fatalnym wypadkiem. Z wielu powodów, a przede wszystkim dlatego, że zaostrza nienawiść między dwiema stronami i pogłębia spór. Kiedyś pewnego rycerza ścigało w Normandii trzynastu innych. „Robili, co mogli, aby ująć go żywego.” Ale w pośpiechu nieszczęśliwy cios włócznią ugodził uciekiniera; „ku wielkiemu żalowi tych, którzy mu cios zadali, dzielny rycerz zmarł tego samego dnia”. Moźny pan, który wysłał ich w pościg, stwierdził, że „jego ludzie popełnili poważną zbrodnię i że zabójstwo to ściągnie wielkie nieszczęście na jego ziemię”. „Zażegnał rodzące się urazy”, zawierając bardzo szybko pokój z siostrzeńcami ofiary, „lękał się bowiem, aby z korzeni złego czynu nie wyrosły liczne niepokoje i aby wciąż się odradzając z tej zarazy, nie przerodziły się w zajścia coraz bardziej godne potępienia”.

Taka jest wojna w XII wieku. Nikt nie uważa, aby zabójstwo było w tym czasie bardziej dozwolone niż w czasie pokoju lub żeby pociągało za sobą mniejsze konsekwencje. Ten fakt tłumaczy niezwykłą rzadkość przypadkowego zabicia. Po zabójstwie hrabiego Karola, w 1127 roku, wojna szalała przez ponad rok w całym hrabstwie Flandrii i spowodowała walkę ponad tysiąca rycerzy. Galbert z Brugii udostępnia nam jej szczegółowy opis, cykl notatek robionych z dnia na dzień. Autor znajdował się w samym sercu wydarzenia, był bardzo bystrym obserwatorem i umiał dobrze liczyć. Stwierdza on tylko siedem zgonów, ani jednego

więcej. Dwóch zabitych nie było rycerzami; jednego z nich przebiła strzała, drugiego zabiło spadające wieko kufra, z którego wydobywał łupy. Z pięciu walczących szlachetnie urodzonych jeden tylko zmarł ugodzony przez przeciwnika podczas pogoni. Śmierć pozostałych czterech była kwestią przypadku. Przyczynami zgonu były: fatalny upadek z konia, fałszywy krok w czasie przechodzenia przez mur, zawalenie się sufitu, zbyt ni zapał w dmuchaniu w róg i w następstwie otwarcie się starej rany. W najgorętszym momencie wydarzeń, w czasie końcowego ataku na kościół kolegialny w Brugii, co Galbert widział na własne oczy, „dzięki specjalnej łasce Boga nikt nie zginął z tłumu, który się wdzierał”. Kiedy autor opowiadania używa słowa „rzeź”, precyzuje: „nie byłbym w stanie opisać tłumu tych, którzy zostali uderzeni i zranieni”. Nie zabici. Strzały najemnych łuczników są groźne nie dlatego, że zabijają, lecz dlatego, że ciężko ranią pieszych, którzy są źle wyekwipowani; „ci, którzy nosili zbroję, bez ran, ale nie bez kontuzji, uciekali w przerażeniu”. Chronione przez najlepszy rynsztunek rycerstwo pozostaje rozważne i ucieka w odpowiednim momencie. Powraca z wojny pokryte ranami, a nade wszystko guzami. Ale powraca.

Gdyż wojna jest polowaniem, prowadzonym przez ludzi doświadczonych, opanowanych, dobrze opancerzonych, którzy, jeśli przeciwnik jest dobrym chrześcijaninem, wcale nie marzą o zgładzeniu go, tylko o pochwyceniu. Dla okupu. Powtórzmy: dla zysku. Wyprawa zakończyła się sukcesem? Udało się powrócić ze

zdobyczą? Czasami jeńców umieszcza się w „złym więzieniu”, aby szybciej starali się o pieniądze na wykupienie „ciała”. Wilhelm z Breteuil pozostawał w zamknięciu przez trzy miesiące i zimą strażnicy wystawiali go na wiatr północny w koszuli polewanej wodą. Ale jest to bardzo brzydki sposób traktowania rycerzy, przynoszący ujmę. Jan bez Ziemi w Chinon „trzymał swoich jeńców w tak podłych warunkach, że jego towarzysze wstydzili się za niego”. Gdyż dobry książę, za przykładem Wilhelma Rudego, „zdejmuje im łańcuchy, każe im dać dużo jeść poza murami więzienia, na wewnętrznym dziedzińcu ze swymi ludźmi, a po kolacji pozostawia im swobodę, w zamian za dane słowo”. Tak samo jak podczas wieczerzy po turniejach. A jeśli jego ludzie obawiają się ucieczki więźniów, odpowiada im z irytacją: „Daleka ode mnie myśl, że dobry rycerz może złamać słowo; gdyby to uczynił, byłby godny pogardy, jak człowiek bez zasad.” Rycerstwo jest bowiem dobrym towarzystwem, w którym szanuje się konwenanse. A w każdym razie jest nim po zakończeniu wyprawy, gdy każdy jest pewien swoich zdobyczy, a wszelkie poręki zostały już złożone. Nikt nie chce bowiem zrezygnować ze swoich korzyści.

Ta właśnie troska każe skracać wyprawy konne. Zgrupowani w oddziały albo w *conrois* idące za sztandarem czy też w jedno wielkie zgromadzenie chorągwi i drużyn, jeśli dowódca wyprawy jest człowiekiem wpływowym, rycerze wkraczają na teren łowów i zajmują ziemie seniora, którego, jak im powiedziano, mają zmusić do pokoju. Posuwają się naprzód na wierz-

chowcach, lekko uzbrojeni, przodem zaś jadą zwiadowcy, wypłaszając ofiary i napędzając je. Teren znają lepiej, niż można by przypuszczać, gdyż ci łowcy nigdy nie pozostają długo w domu, zajeżdżając drogi wielu krain i świetnie się w nich orientując. Dokładnie pamiętają ślady i tropy, znają najlepsze przejścia, wybierają drogi – stare trakty rzymskie, które lepiej czy gorzej, ale są jednak utrzymywane w stanie użytku i którymi będzie można wracać z wozami pełnymi łupów. Za każdym ciężkim jeźdźcem idzie rumak, który będzie wypoczęty, gdy pan go dosiądzie w ostatnim momencie, aby zaatakować, gonić lub uciekać jak najszybciej. Idzie również chłopiec, który pomoże rycerzowi założyć ekwipunek, oraz koń pociągowy, objuczony bagażami. Piechota kroczy z boku, w kurzu. Posuwanie się naprzód jest nieustannym czatowaniem. Po drodze rycerze łupią i niszczą skromne bogactwa wieśniaków. Szukają nieprzyjaciela, podążają jego tropem. Jeśli nieprzyjaciel nie czuje się na siłach, unika spotkania, zastawia zasadzki. Trzeba go więc zaskoczyć, osaczyć, dopaść w szybkiej potyczce i, w miarę możliwości, ująć. Posuwać się naprzód należy ostrożnie. Im ostrożniej, tym jest to owocniejsze, zwłaszcza jeśli wojsko jest obarczone ciężkim i cennym łupem. Nikt nie chce ryzykować utraty tego, co już posiada. Wojna nie jest turniejem, jest interesem. Nie ma tu ryzyka dla sławy. Wszyscy starają się zachować umiar i jeśli plon był dobry, spieszą z powrotem do domu. Gdy tylko zwierzyna staje się rzadsza, bardziej opierająca się lub niebezpieczna dla myśliwych, ci ostatni bez hańby zawracają.

Najkrótszą drogą, omijając przeszkody, wybierając najpewniejsze trakty, obarczeni pełnymi wozami, jeńcami i gromadami schwytanych koni.

Takie właśnie było w przeddzień bitwy pod Bouvines postępowanie Filipa Augusta; podobnie poczynali każdego lata jego królewscy przodkowie. Wyruszył on był, aby spustoszyć raz jeszcze, po „królewsku”, włości zdradzieckiego wasala. Wiedział, że nieprzyjaciel jest silny, otoczony sprzymierzeńcami, gotów do ataku. Ani on sam, ani jego baronowie nie chcieli się zbytnio narażać. Jako ludzie roztropni, czując, że ich pozycja staje się nieco ryzykowna, decydują się na odwrót. Rankiem 27 lipca, bardzo wczesnie, o rosie, po spustoszeniu Tournai, królewska wyprawa chroni się za mokradłami rzeki Marcq. Zanim słońce wzejdzie i rozgrzeje zbroje. Ale zachowując porządek. Armia króla Francji, szarpana długo przez ludzi Ryszarda Lwie Serce, nabrała doświadczenia i umie wycofywać się w zwartych szeregach, w „szyku bojowym”. Na przodzie umieszczono, jako najcięższe i najcenniejsze, wozy z proporcem królewskim, otoczone piechotą z komun. Ariergarda tworzy solidny korpus, który ma zapobiec jakimkolwiek niespodziankom, a obserwatorzy lekko uzbrojeni pilnują z daleka ruchów wrogiej armii.

Armii, która oczywiście będzie chciała skorzystać z okazji; zbrojne oddziały najłatwiej zaatakować w czasie odwrotu. Teraz ona wybiera się na łowy – pochwyć, co się da, podejść jak najbliżej przeciwnika, iść za nim, deptać mu po piętach, aż na ziemię kapetyńskie, zniszczyć je w zemście – powetować sobie przy



okazji straty – i powrócić w tym samym porządku, z owocnym ładunkiem łupów. Ale kto wie? Donoszą cesarzowi i hrabiom, że Francuzi się boją, co jest prawdą, że wycofują się w popłochu, co jest nieprawdą. Czyż nie nadszedł czas, aby z tym skończyć, rzetelnie zasłużyć na pieniądze, którymi sypie król Jan? Doszła tu do głosu etyka uczciwego żołdaka, poczytującego sobie za dyshonor źle służyć panu, który mu dobrze płaci. Przemawia Hugo z Boves, zarządzający płacami. A tymczasem na radzie, której przewodniczy Otton, Reginald z Dammartin, łowca o długim doświadczeniu, świadom faktu, że ludzie z Ile-de-France – sam do nich należy – nie uciekają, a już nigdy w rozsypce, namawia do roztropności. Jednak pokusa świetnego zysku, płomień starych uraz, agresywność jednego kraju w stosunku do drugiego, niechęć Flamandów do mieszkańców Artois i Pikardii okazują się silniejsze: zwycięża zuchwałość. Zdecydowano, że w tę niedzielę wszystko zostanie postawione na jedną szalę. Cesarz i jego sprzymierzeńcy wybrali bitwę.

## Bitwa

Bitwa nie jest wojną. Rzec by można nawet, że jest ona jej odwrotnością, a mianowicie zabiegiem pokojowym. *Werra* była zajęciem sezonowym, poszukiwaniem łupu, czymś na kształt regularnej i śmiałej wyprawy rabunkowej. Prowadzona na sposób chłopski, szerzyła się ona z wolna, pod byle pretekstem i znajdowała swe naturalne miejsce w kulturze opartej na zasadach myśliwskich, pośród owego splotu wiecznie odradzających się sporów, przeciwstawiających sobie nieustannie potęgi wrogie i jednako zachłanne. W owym niekończącym się zatargu wojna była zaledwie jednym ze sposobów, którego imano się tak, jak kiedy indziej uciekano się do małżeństwa – wymiany kobiet pomiędzy zwaśnionymi rodami. I tak, konflikt, który na długie lata przeciwstawił sobie Filipa Augusta i Reginalda z Dammartin, przeplatany był już to polityczkami, już to zaręczynowymi biesiadami. Wojna, nękająca i gniewna, była zuchwałym wyzwaniem, ciosem wymierzonym z nagłą, by osłabić opór, przynieść jakowyś zysk, dać jakowąś rękojmię. Była zazwyczaj zaledwie przygrywką do spotkań mniej gwałtownych, na które to przeciwnicy, złożywszy broń, otoczeni krewnymi i doradcami, zjeżdżali się, by się rozmówić, nakrzyczeć do woli, zaklinać wzajem na wszystkie świętości, odwołać do osądu innych, ustąpić tu i ówdzie, nieco popuścić, utrzymać w swych rękach jak najwięcej, zażądać jeszcze więcej, a na koniec paść sobie w ramiona, zasiąść do wspólnej biesiady i pijatyki, wy-

słuchać mszy i złożyć na czas jakiś do lamusa niesna-  
ski, bynajmniej nie wygasłe i gotowe pojawić się na  
nowo. Wojna płonęła w przerwach między nieustan-  
nymi dysputami, będąc zazwyczaj ich przygotowaniem  
bądź następstwem, co również świadczy o niechęci do  
zabijania. Albowiem wojna nigdy niczego nie rozwią-  
zywała. Kres sporom mogły położyć jedynie słowa –  
przysięgi złożone sobie wzajem po zakończeniu waśni.  
Łupieżcze najazdy były li tylko zaczepnymi kuksańca-  
mi, przerywając na krótko „parlamentarne” pertrakta-  
cje. Bitwa natomiast, czyli *proelium*, sytuuje się w sa-  
mym centrum pokojowej debaty. Stawia ona naraz  
wszystko na jedną kartę. Jest sprawą starszyzny, *senio-  
res*, władców, sprawą wielkiej wagi, która rozstrzyga  
się w pogodnym spokoju. Pośród trwającego sporu jest  
jak *ordalia*, na kształt tych, jakie miały miejsce w ów-  
czesnych sądach: to próba, ostateczne odwołanie się do  
sądu Bożego. Jej rola to zmusić niebiosa, by wypowie-  
działy się, by objawiły swe zamiary, by ukazały raz na  
zawsze, jasno i niezbicie, po której stronie leży racja.  
Bitwa, podobnie jak wyrocznia, należy do domeny *sa-  
crum*.

Jest to pojedynek. Ówczesne sądy wielokroć ucie-  
kały się do tego sposobu, gdy wydawało się, że nic nie  
wyniknie z debaty, a i sama sprawa była niejasna.  
Wówczas uzbrojeni przeciwnicy stawiali się na za-  
mkniętym polu, otoczeni kołem świadków, zmagając  
się najpierw konno, potem, gdy wierzchowce stawały  
się nieprzydatne, pieszo, walcząc na miecze, by wkrót-  
ce, porzuciwszy tarcze, przejść do starcia wręcz, wy-

mierzając sobie ciosy w twarz, uderzając w podbrzusze, dopóki jeden z nich nie uznał się za pokonanego. Wówczas był już skazanym. Gdyż Bóg walczył u boku zwycięzcy i wydał wyrok. Zdziwił ten wyrok niekiedy, toteż począwszy od XII wieku, w miarę jak dojrzywał zmysł logicznego myślenia, niektórzy zaczęli podawać w wątpliwość wartość takowych prób. „Nie po wyniku, lecz po odruchach serca – pisał święty Bernard, zdziwiająco zgodny w tej materii z Abelardem i jego postulatem oddzielenia intencji od czynu – winien sądzić chrześcijanin niebezpieczeństwo, na jakie wystawił się tocząc wojnę, jak i zwycięstwo, które w niej odniósł. Albowiem, jeśli szlachetnej bronii sprawy, wynik wojny, jakikolwiek by był, zły być nie może.

Takoż zwycięstwo być nie może dobre, jeśli przyczyna wojny szlachetna nie jest, a intencje jej uczestników z nieprawości się rodzą.” Niemniej jednak zastrzeżenia te nie osłabiły obyczaju potyczek w pojedynkę. Najmniejsi władcy nie wahali się wyzywać na nie tych, którzy sprzeciwiali się ich władzy, pragnąc w ten sposób rozstrzygnąć rzecz ostatecznie. I tak, hrabia Flandrii, Wilhelm Cliton, odpowiadając rzecznikowi swego prawdziwego przeciwnika – rycerstwa flandryjskiego, rzekł: „Łacno zmierzę się z tobą, by udowodnić ci bez zwłoki w walce, iż rządziłem krajem umiejętnie i sprawiedliwie.” Tak też Helie, hrabia Maine, podówczas krzyżowiec, wyzwał Wilhelma Rudego, który usiłował odebrać mu ojcowiznę, na pojedynek w imię Chrystusa. Wreszcie, podczas obrad „parlamentu”

w Gisors w 1188 roku, kiedy to pycha nie pozwalała Henrykowi II i Filipowi Augustowi zawrzeć pokoju, jeden z baronów taki oto znalazł sposób: wybrać po czterech rycerzy z obydwu stron, by do walki stanęli

dla słusznej sprawy obrony,  
zwycięzcy zaś wszystko przypadnie.

Kiedy wojna ciągnie się w nieskończoność i nadzieja na polubowne rozwiązanie zatargu jest nikła, nic dziwnego, że próba pojedynku nasuwa się na myśl w sposób naturalny. Zwłaszcza jeśli idzie o sprawę wielkiej wagi, a przedmiotem zatargu jest splot praw suwerena. O ile jednak książęta imają się chętnie tego sposobu, wahają się zazwyczaj stanąć do walki sam na sam. Wolą zabrać ze sobą towarzyszy i otoczyć się całą swą siłą zbrojną. W ten oto sposób zwielokrotniony pojedynek stał się bitwą. Nie zmienia to jednak jego natury. Królowie, niczym w partii szachowej, stają doń otoczeni pionkami, jeźdźcami, wieżami, a rozstrzygnięcie rozgrywki zależy od kolejnych ruchów wszystkich figur. Ruchy te mają jednak tylko jeden cel: dać jednemu z królów mata, i nie ustają, dopóki cel ten nie zostanie osiągnięty. Lecz ten ostateczny ruch jest zakończeniem nieodwracalnym. Tak też stało się pod Bouvines. Po czyjej stronie jest prawo? Po stronie papieża, to znaczy i Filipa Augusta? Po stronie tego, który rzucił klątwę i wydziedziczył Jana bez Ziemi? Czy też po stronie przeciwnej? Bóg to rozstrzygnie. A wówczas wszystko przechyli się na jedną stronę. Wybrać bitwę to zaryzykować, że straci się wszystko. Być może życie: intencja

zadania śmierci, obecna w zamkniętym polu pojedynku, pojawia się również na polu bitwy, tyle że skierowana przeciw jednemu tylko z walczących – wodzowi przeciwnego obozu. Widać to wyraźnie na hafcie tkaniny z Bayeux: towarzysze księcia Wilhelma ścigają zaciekle Haralda, który musi polec. Albowiem gniew Boży, którego wybuch ma bitwa wywołać, razi niczym piorun: dociera do najgłębszych korzeni konfliktu, by je wyrwać; ażeby ugasić spór, posunie się, jeśli trzeba, do zgładzenia jednego z przeciwników. Wyjaśnia to pogłoski, jakie rozeszły się w następnym dniu po bitwie pod Bouvines, i nabrawszy rozgłosu, odnotowane zostały przez kronikarzy. Otóż – wymysł zaiste niesłychany – Filip August miał obiecać Ottonowi swe umiłowane miasto – Orlean, a sojusznicy dzielili już ponoć między siebie królestwo, co jest możliwe, i poprzyjęgli zabić króla, co jest wielce prawdopodobne. Różnicę pomiędzy bitwą a ostrożnymi potyczkami wojny poznaje się po owym poszukiwaniu absolutu, które przenosi w inną sferę. W sferę powagi i liturgii przeznaczenia. W krainę, w którą nikt nie zagłębia się bez drżenia.

Dlatego bitwy są tak rzadkie. Fulko Gniewny (Le Rechin), hrabia Andegawenii, opowiedział pod koniec XI wieku znane mu dzieje swych przodków i ich waleczne czyny. Cztery pokolenia tego znamienitego rodu stoczyły zaledwie sześć bitew. W pierwszej Gotfryd Grisegonelle, zmarły w 987 roku, zwyciężył hrabiego Poitiers; w drugiej Fulko Nerra, zmarły w 1040 roku, zabił hrabiego Bretończyków, a w trzeciej zmusił do

ucieczki hrabiego Blois; bohaterem dwóch następnych jest Gotfryd Martel, który pojmał hrabiego Mans, a następnie hrabiego Poitiers; sam Fulko Gniewny pokonał i pojmał „w bitwie” własnego brata, co zapewniło mu niepodzielne posiadanie hrabiowskiego tytułu. Walki te, jak widać, kończą się już to śmiercią, już to niewolą, już to ucieczką przeciwnika. Przeciwstawiają sobie mężów jednakiego stanu, równych sobie: hrabiego innemu hrabiemu, króla innemu królowi, a stawką w tej rywalizacji jest zawsze niepodzielna władza w jakimś księstwie. Bitwy traktowane są jako czyny chlubne, przysparzające chwały dynastii, i nie ma się wobec nich zastrzeżeń, jakie budzi wojna. Ta bowiem może być zgubna: wojna, którą Gotfryd Martel prowadził przeciw swemu ojcu, „zrodziła wiele nieprawości, za które ciężko odpokutować potem mu przyszło”. Bitwa natomiast nigdy zgubną nie jest, przeciwnie, jest ona jakby lekiem na wojnę, kiedy ta zaognia się. Lekiem radykalnym, który uzdrawia natychmiast lud: wojna, którą tenże Gotfryd prowadził przeciw Tybaldowi z Blois, „rozjątrzyła się tak bardzo, iż doszło do bitwy”, po czym spór został zakończony. Zaledwie trzy bitwy stoczono na ziemiach Flandrii w ciągu półtora wieku: w 1071 roku pod Cassel, w 1128 pod Axpoel i wreszcie pod Bouvines.

Wilhelm Zdobywca na łożu śmierci udziela rad co do „przestrzegania zasad wiary i sprawiedliwości, poszanowania prawa Bożego i pokoju”. Opowiada swe życie: „Od wczesnego dzieciństwa sposobiono mnie do rycerskiego rzemiosła i splamiłem się nader często roz-

lewem krwi.” Wydał bitwę najpierw pod Val-des-Dunes, później pod Hastings, zwyciężając z pomocą Boską. Zaledwie dwie bitwy, nie więcej. Zmagał się również z rycerzami króla Francji, lecz onże sam nigdy nie był obecny: a zatem nie było pojedynku, nie było bitwy. Zanim doszło do Bouvines, Kapetyngowie stoczyli tylko jedną bitwę, w 1119 roku pod Bremule, przeciwko innemu królowi – Henrykowi, królowi Anglii. Ludwik VI został w niej pokonany. Jego następcy nigdy więcej nie odważyli się wystawić na podobne ryzyko. A więc tylko kilka dat w ciasnym splocie nieustannej wojny feudalnej. Lecz są to daty znaczące, daty wydarzeń przełomowych, a nade wszystko owianych nadprzyrodzoną aurą, jako że są wyrazem tego, co chce Bóg.

Bitwa, wkraczając w *sacrum*, układa się według liturgii. Podobnie jak *ordalium*, ów uznany przez prawo pojedynek, wymaga ona „pola”. Stąd też swoiste wyrażenie, które ją określa: *proelium campestre*, czyli „bitwa polna”, jak tłumaczą je autorzy *chansons de gestes*. Jej terenem jest *campus*, a ścierają się na nim „czempioni”, z których jeden musi zginąć, salwować się hańbiącą ucieczką lub błagać o łaskę. Nie ma tu miejsca na zaskoczenie, na zasadzki, lecz odbywają się długie, rytualne przygotowania, jak przystoi czynić przed przyjęciem sakramentu. Obaj przeciwnicy mają wszak stanąć przed sądem Boga. Winni zatem najpierw skupić się w modlitwie, obwieścić w obliczu Wiekuistego prawości swych intencji i wolę odkupienia popełnionych wcześniej grzechów. Oto na polu pod Tinchebray, w 1106



roku, sposobi się do bitwy Henryk, syn Wilhelma Zdobywcy; naprzeciw niego jego brat, Robert Krótkonogi, zaś stawką jest księstwo Normandii i królestwo Anglii. Henryk wygłasza swą usprawiedliwiającą i przebłagalną mowę: „Staję do walki jeno po to, by bronić nie-szczęsnego ludu. Z głębi serca mego błagam Stwórcę wszelkiej rzeczy, ażeby w dzisiejszej bitwie dał zwycięstwo temu, kogo wybrał, by jego lud opieką otoczył i pokój mu zapewnił.” Po czym zobowiązuje się naprawić najcięższy grzech, jaki popełnił przeciw pokojowi Bożemu, a mianowicie odbudować kościół spalony podczas wojny, zakończonej tą właśnie bitwą, oraz zwrócić wolność wszystkim tym, których pojmano w owym sanktuarium. W tym przygotowawczym rytuale oczyszczenia i uświęcenia biorą udział wszyscy rycerze towarzyszący czempionowi. Rankiem 20 czerwca 1128 roku, pod Axpoel, Wilhelm Cliton, przed starciem z Teodorykiem z Alzacji, który chciał mu odebrać hrabstwo Flandrii, gotów „raczej polec niż znieść taką hańbę”, wyznaje żarliwie swe grzechy opatowi z Oudenberg, otrzymuje rozgrzeszenie i przyrzeka uroczyście, że otoczy odtąd opieką kościoły i biednych, a znaczy to tyle, że będzie sprawował jak najlepiej książęcy urząd. Wzywa następnie całe rycerstwo do złożenia podobnych przysiąg, do odnowienia ślubów pokoju. Po czym rycerze przywdziewają strój pokutny, obcinają długie włosy, napiętnowane klątwami soborów jako oczywisty znak deprawacji, „porzucają zwykłe szaty, zachowując jeno koszulę i kolczugę”. I tak przyodziani ruszają *ad bellum* niczym na procesję, „pokornie oddani

Bogu i wiedzeni najżarliwszym zapałem”. Pielgrzymi pokoju, w stroju i postawie rycerzy krzyżowych. Wspierają ich z daleka biskupi, którzy wyklęli obóz przeciwny. Widać to wyraźnie: bitwa, nawet w rytualnych gestach, jakie ją rozpoczynają, ma być obrzędem pokoju.

Owe pokutne rytuały poparte są pryncypialną deklaracją – mową wodzów do oddziałów, wygłoszaną ku pokrzepieniu serc. Każda z nich rozwija ten sam temat. Mowie Wilhelma Zdobywcy, wygłoszonej na polu pod Hastings, odpowiadają bezpośrednim echem słowa, które wypowiedział w Lincoln, w 1217 roku, nie król Henryk III, podówczas jeszcze młody chłopiec, lecz wódz zajmujący jego miejsce i przemawiający w jego imieniu – Wilhelm Marszałek. Jeśli polegniemy – powiedziano wojownikom słusznej sprawy, którym miało przypaść w udziale zwycięstwo – Bóg użyczy nam miejsca w raju; jeśli zwyciężymy, okryjemy chwałą nas i nasze potomstwo; wrogowie pójdą do piekła; niebiosy oddały ich w nasze ręce. Stajemy do walki, aby się bronić, aby okryć się chlubą, aby osłonić Kościół święty, atakowany przez nieprzyjaciela, aby odpuszczone nam zostały nasze grzechy (w istocie bitwa, dla tych, którym Bóg daje palmę zwycięstwa, jest jak krucjata: znaczy tyle co odpust), wreszcie, aby zemścić się na tych, którzy przybyli nas ograbić. Przebija przez te słowa nuta bardziej świecka, odwołują się one do chwały, do honoru, do najwyższych wartości etyki rycerskiej, lecz jest to delikatne *vibrato* wokół tematu, który w całości jest proklamacją sprawiedliwości, odniesieniem do *tuitio*,

do *ultio*, do słusznej walki usprawiedliwionej świętokradczym gwałtem, zadany przez obóz przeciwnika, napiętnowany klątwą, obóz tych, którzy złamali pokój Boży.

Oczyszczone i pokrzepione oddziały ustawiają się w rytualnym szyku, który zawsze składa się z trzech członów. Po obydwu stronach – trzy formacje, trzy „bitwy”, a każdy z wodzów ustawia się w środku członu centralnego. Następuje długa chwila ciszy, podczas której na obydwie wojska, rozgrzeszone, pobłogosławione, pewne swych racji, na wszystkich rycerzy, milczących, skupionych, radosnych, bo każdy stanie się świętym Jerzym, spływa z wolna błogie szczęście. Rozlega się dźwięk rogów, dając hasło do walki. Gra rozpoczyna się. Jej celem jest doprowadzić do tego, by obydwaj czempioni zdołali się do siebie zbliżyć i wzajem się dotknąć. Wszystkie ruchy wojska skupiają się wokół owego centralnego punktu, otaczają go, wyznaczają samo serce bitewnego pola, skąd ma rozbłysnąć światło z chwilą, gdy obaj przeciwnicy dotkną się wzajem swymi ciosami. Co prawda, każdy z nich jest tak ściśle otoczony przez swych *conrois*, że mimo całej nienawiści, jaką płonie, trudno mu odsunąć od siebie tę osłonę. Razy, które nań spadają, nie pochodzą od przeciwnika, lecz od jego przybocznych, którzy przygotowują mu wypad lub osłaniają mu odwrót. Albowiem każdy z przeciwników, aby razić lub pojmać tego, któremu ma stawić czoło, posługuje się nie własnymi, lecz cudzymi rękoma – rękoma rycerzy służących jego rodowi. Powstaje pytanie, czy owe pomocnicze ręce nie są

świętokradcze, kiedy podnoszą się na osobę króla. Pod Bremule jeden z towarzyszy Ludwika VI, usiłując wziąć do niewoli Henryka I, „którego szczerze nienawidził,” zadał mu cios w hełm, by go ogłuszyć; i niewiele brakowało, a zostałby rozszarpany żywcem, bowiem „zbrodnią było zamierzyć się mieczem na głowę namaszczoneą świętym krzyżmem przez biskupa”.

W zasadzie rzadkie są bitwy, w których rywalom udaje się oglądać się z bliska, a jeszcze rzadsze takie, w których mogą się zetrzeć wręcz. Na ogół któryś wycofuje się pierwszy, gdy wybór Boga staje się jasny. Podobnie jak w czasie turniejów, normalnym zakończeniem bitwy jest rejterada. Albowiem ucieczka jednego z przeciwników powoduje natychmiastową rozsypkę centralnego oddziału, stanowiącego podporę całego bitewnego szyku. Tak się zachował Ludwik VI pod Bremule. Henrykowi I nie udało się go dogonić, toteż zadowolił się królewską chorągwią, zdobytą przez jakiegoś piechura, którą odkupił za dwadzieścia srebrnych marek i zachował jako „znak danego mu przez Boga zwycięstwa”. Gdy nieprzyjaciel salwuje się ucieczką, staje się łowną zwierzyną, którą należy schwytać żywcem. Groźba śmierci ciąży w zasadzie nad jedną tylko osobą – nad wodzem. Celem bitwy, tak jak wojny, nie jest zabijanie. Dziewięciuset rycerzy starło się pod Bremule; „trzech jeno – pisze Orderic Vital – zostało zabitych. Chroniły ich bowiem żelazne zbroje, a i wzajem się oszczędzali, tak ze strachu przed Bogiem, jak przez braterstwo broni. Starali się raczej pojmać uciekających, niżli ich zabijać. Albowiem rycerze ci, chrze-

ścijanami będąc, nie byli złaknieni krwi swoich braci i, przepełnieni radością i słuszną dumą, daną im przez samego Boga, walczyli dla pożytku świętego Kościoła i pokoju wiernych.” Bitwa – powtórzmy – jest wymierzaniem sprawiedliwości. Pośród chrześcijan nigdy nie przybiera formy działania zmierzającego do zagłady. Nie dąży do zniszczenia, podobnie jak proces. Jest to rozprawa, którą zamyka wyrok.

Jednakże, również jak w procesie, wyrok ten musi zostać zaakceptowany przez tego, którego skazuje. Zdumienie i rozczarowanie ogarnia jego obóz: wszak i on przybył tu wraz z towarzyszami pewien swego słusznego prawa. Właśnie dlatego doszło do bitwy, żaden bowiem dowód winy nie był dostateczny, obie sprawy wydawały się równie słuszne, a klątwy rzucone przez obóz przeciwny – równie bezpodstawne. Obie strony z równą ufnością wzniosły jednakie modlitwy do nieba. Toteż sąd Boga pogrąża pokonanych w rozterce. Czymże zasłużyli sobie na karę? Czyżby była ona nieodwołalna? Czyżby niemożliwe było odzyskanie łaski? „Dowiedziawszy się, że hrabia Wilhelm przed bitwą pod Axpoel powierzył się pokornie Bogu, odprawił pokutę, wraz z rycerstwem ściał włosy i zrzucił zbędne szaty,” pokonani przezeń przeciwnicy postanowili postąpić podobnie – ogolić głowy i podrzeć swe odzienie. Duchowni zaś ogłosili post powszechny, obnosili krzyże i relikwie, posunęli się nawet do rzucenia klątwy na zwycięzców. Mylili się w swym uporze: wszak dowód został dany. Przedłużanie walki innymi sposobami, za pomocą rzucanych na siebie klątw, które, jak pisał Gal-

bert z Brugii, „kruszyły z sobą kopie”, przenoszenie tym samym bitwy w nie istniejący wymiar, było śmiesznością; lub zgoła czymś więcej – świętokradztwem. Takie zacietrizewienie mogło rozgniewać niebiosy i sprowadzić nowe nieszczęścia. „Krzyże i procesje, prowadzone od kościoła do kościoła przez duchownych, mogły jedynie wywołać gniew Boga, a nie zjednać sobie Jego łaskę. Dowodziły bowiem zapamiętania duszy w grzechu i sprzeciwiały się woli wyrażonej przez samego Boga.” Dobry chrześcijanin winien się ukorzyć, gdyż wszelka bitwa jest rozstrzygająca. Jest ona niczym snop światła, co rozprasza ciemności, pozwala przejrzeć oczom, kładzie kres wszelkiemu wątpieniu; to werdykt, od którego nie ma odwołania. Przywraca ona ład i na długi czas znaczy koniec jednej ery i narodziny następnej. Gdy noc zapada nad bitewnym polem, każdy wie, że następny świt będzie jutrzemką nowej wiosny świata. Świata pokoju. Świata, który zapowiadało jutro bitwy pod Tinchebray. „Dwaj bracia tylko raz starli się ze sobą, by ustały odtąd wszelkie niezgody, które co dzień zraszały ziemię krwią. Ze słusznego wyroku samego Boga, zwycięstwo przypadło temu, kto miłuje pokój i sprawiedliwość, a wrogowie jego zostali przepędzeni.”

Bouvines było jedną z owych wyjątkowych ceremonii, które rozgrywały się podług z dawna wyznaczonego rytuału. Wszystko zatem odbyło się zgodnie z regułami. Wczesnym rankiem toczono jeszcze wojnę, wikłano się w perypetiach zasadzek. Prowadziło ją teraz wojsko Ottona. I oto uformowane w szereg bojowy

oddziały zoczyli z dala zwiadowcy – wicehrabia Melun i brat Guerin. Jeśli wierzyć Anonimowi z Béthune, kronikarzowi z Marchiennes, czy autorowi *Żywota św. Otylii*, już wówczas wydawały się ogarnięte żądzą łupu: parły naprzód „niczym sfera wściekłych psów rzucających się na zdobycz”, a pośpiech ów sprawiał, że szeregi rozluźniały się i gubiły szyk. Czy już wtedy armia ta dążyła do bitwy? Do owej ostatecznej próby, która doprowadziłaby od razu do finału, do „obrócenia wniwecz królewskiej potęgi”, co poprzysięgli sobie sprzymierzeni „w swej nienasyconej nienawiści”? Tak zdaje się sądzić autor *Relacji z Marchiennes*. Wszak mówi on, że wrogowie Filipa Augusta przygotowali się już byli na sąd Boży w całej jego świętości, znacząc krzyżem świętym przód i tył kolczugi, by objawić się jako zastęp pokoju, pełen pokutnej skruchy, ucieleśniający zemstę Boga, i zjednać sobie przychylność nadziemskich potęg. Przeobrazili się w rycerzy krzyżowych. Lecz może był to jedynie znak rozpoznawczy czy przezorność. Może też, jak to bywało w zmiennych kolejach wojny, myśleli jedynie o tym, by korzystając z odwrotu przeciwnika na trudnym terenie, ograbić, z czego się da, tyły królewskich oddziałów.

Ostrzeżony przez zwiadowców Filip zatrzymuje wojska i zwołuje naradę. Tak być powinno. Żaden z ówczesnych władców nie podejmuje sam ważnych decyzji, od których zależy jego potęga, bowiem idzie tu również o potęgę jego sprzymierzeńców. Przystoi zatem, by wyrazili oni kolejno zdanie i ustalili wspólnie treść ostatecznego *dictum*, które wypowie wódz i które

obowiązywać będzie ich wszystkich. Według relacji zawartej we *Flandria generosa* Filip zaproponował, by raz jeszcze zrobić unik i nie przedsiębrać niczego owego ranka: nieprzyjaciel zdawał się mieć przewagę liczebną, a nade wszystko była to niedziela – dzień, w którym chrześcijaninowi nie wolno stawać do boju. Były też zdania przeciwne. Filip z Courtenay, który, będąc bardzo bliskim krewnym króla, zabrał głos jako jeden z pierwszych, miał powiedzieć, że nie godzi się, co prawda, rozlewać ludzkiej krwi w świętym dniu, czyż nie wiadomo atoli, iż ten, kto nie napadł pierwszy, lecz jeno broni się przed atakiem, popełnia mniejszy grzech, a nie odeprzeć uderzenia we właściwym momencie znaczyłoby zgodzić się na porażkę lub postąpić wielce nierozumnie. Natomiast książę Burgundii radził unikać ostatecznego starcia. Nie może być mowy o bitwie, jeśli obaj przeciwnicy nie staną ze sobą twarzą w twarz. Filip powinien tedy zdać się na swych baronów i rycerzy, aby ci stawili czoło w starciu, które nie będąc pojedynkiem, nie będzie mogło, niezależnie od wyniku, nabrać znaczenia rozstrzygającego sądu Bożego. Potyczka taka byłaby zaledwie jedną z faz wojny. Poniesie się w niej zapewne jakieś koszta, ale nie straci się wszystkiego. Niechaj zatem król oddali się w bezpieczne miejsce, do zamku w Lens. Jedno jest pewne: królewska rada postanowiła kontynuować odwrót. Czy był to – jak twierdził autor *Żywota św. Otylii* – podstęp mający zwabić nieprzyjaciela na wybrany teren? Czy też, „by dzień święty uszanować”, chciano odłożyć bitwę do dnia następnego, jak sugeruje Anonim z Béthune? Czy



wreszcie – według *Relacji z Marchiennes* – ponieważ Filip, „w swej wielkiej mądrości”, dostrzegł niebezpieczeństwo wiszące nad jego wojskiem i „roztropny i powściągliwy” postanowił uniknąć rozlewu krwi? Ten ostatni powód zdaje się najbardziej przekonujący: niedaleko wszak już było do mostu w Bouvines, za którym, według ustalonego w przededniu planu, ciury zaczęły rozstawiać namioty. Toteż królewskie wojska ruszyły czym prędzej w dalszą drogę. Znaczna ich część przeprawiła się przez rzekę. Strudzony Filip – był już nie pierwszej młodości – zatrzymuje się w cieniu, zdejmuje zbroję, układa się wygodnie: to czas wytchnienia. Posiła się, mocząc w misce wina kawałki chleba.

W tej właśnie chwili okazuje się, że nieprzyjaciel w żadnym razie nie chce zwlekać z bitwą do dnia następnego. Wiadomość tę przynosi, przypędziwszy co koń wyskoczy, brat Guerin. Walka się już zaczęła; tylna straż została zaatakowana i z trudem odpiera natarcie: księżę Burgundii woła o posiłki. Ucieczka staje się niemożliwa; Filip nie może już, bez uszczerbku dla honoru, dalej się cofać. Musi zatem położyć swe nadzieje w Panu. Oto przywdziewa zbroję i najpierw kieruje swe kroki do pobliskiego kościoła, poświęconego jakby zrządzeniem Opatrzności świętemu Piotrowi, patronowi Rzymu, poprzednikowi papieża, za którego sprawę poniekąd należy iść do boju. Pogrąża się w modlitwie. „Chwilę” – powiada Anonim; „z niepokojem w sercu” – powiada autor *Relacji z Marchiennes*, a autor *Flandria generosa* dodaje: „cały we łzach”. Nie ma już odwrotu.

Ottonowi, zdumionemu, że zwierzyna postanawia sta-  
wić czoło ścigającej ją sforcze, hrabia Boulogne miał  
rzec – a przytacza to kronikarz flamandzki – iż „ci, co  
urodzili się na francuskiej ziemi, nie mają zwyczaju  
uciekać: chcą zwyciężyć w bitwie lub polec”. Prawdę  
powiedziawszy, francuscy rycerze wcale nie byli przy-  
zwyczajeni do staczania bitew. Uchodzili jednak za naj-  
lepszych w turniejach. W każdym razie, w chwili gdy  
król Filip zwołuje rycerstwo, wojna jest zakończona.  
Rozpoczyna się bitwa.

Odtąd ustaje wszelki pośpiech, gorączkowe poru-  
szenie, zamęt. Nastaje chwila wytchnienia. Chwila  
spokojnego preludium, koniecznego do przygotowania  
ceremonii. Jej „pole” jest wyznaczone: rozegra się na  
rozległych polach Cysoing. Naprzeciw siebie, w nie-  
wielkiej odległości, by dobrze się widzieć, lecz wystar-  
czająco dużej, by pozwolić koniom rozpedzić się,  
wzdłuż jednej linii, długiej na trzy tysiące kroków,  
ustawiają się, według obowiązującego szyku, oba za-  
stępy. Trzy formacje, trzy „bitwy” z obydwu stron, „ku  
czci Boskiej Trójcy” – wyjaśnia autor *Żywota Św. Otylii*.  
W sercu owego układu, na najważniejszym polu sza-  
chownicy, umieścili swe *statio*, swą „siedzibę”, obaj  
dowódcy. Nadchodzi chwila wzniesienia insygniów,  
godeł. Królewski proporzec, który wraz z całym ta-  
borem zawędrował już był daleko, zostaje w pośpiechu  
sprowadzony. Po przeciwnej stronie, nad wozem po-  
dobnym temu, który niegdyś zdobyli mediolańczycy,  
wznosi się cesarski orzeł oraz ów smok, co jest – zda-  
niem Wilhelma Bretończyka – oczywistym symbolem

wrogich zakusów nieprzyjaciela. „Stali tak długą chwilę naprzeciw siebie, sposobiąc się do boju.”

Wtedy to wygłasza rytualną przemowę Filip August. Różnie przytaczają jej słowa świadkowie. Według Wilhelma, była ona krótka: król oddał się pokornie w ręce Boga, przypomniał, że nad obozem nieprzyjacielskim ciąży klątwa, jest to bowiem obóz owładnięty żądzą pieniądza, obóz prześladowców świętego Kościoła i ciemnych biednego ludu; wszelako nie było w tych słowach śladu pychy: „Samiśmy grzeszni”, lecz jest z nami duchowieństwo, którego swobód bronimy, zatem zwyciężymy. Relacja z *Flandria generosa* brzmi podobnie: nie król jest winien złamania praw pokoju Bożego, wbrew sobie staje do walki w niedzielę, w tym świętym dniu, objętym surowym zakazem, jedynym, jaki pozostał z przykazań świętego rozejmu. Otton jest wyklęty przez papieża; hrabia Boulogne, także wyklęty – to zdrajca, zaś hrabia Flandrii to wiarołomca i krzywoprzysięzca. Nie ma powodu do obaw: ich losy są już przesądzone. Z racji swych zbrodni wpadną w ręce króla Francji bądź rzucą się do ucieczki. Według tej relacji, król miał również oświadczyć, iż nie ulęknie się niczego, nawet śmierci, i nie opuści pola bitwy, pozostając nań do ostatka, by zwyciężyć lub polec. Niczym Roland. W *Żywocie Św. Otylii* z przemowy bije nieco mniej pewności: skoro nie udało się wycofać za strumień, odwrót jest niemożliwy. Jesteśmy zmuszeni stanąć do boju „za koronę Francji”. Niechaj więc każdy zwalczy strach, bojaźń całkiem naturalną w obliczu tak groźnego przeciwnika. Choć tak słabi, czyż nie może-

my ufać w zwycięstwo, jakie Bóg daje tym, których miłuje? Wspomnijmy, dla dodania sobie otuchy, świętego Lamberta z Liège: wszak zeszłego roku uwolnił on w cudowny sposób swą diecezję od barbarzyńców. Według słów kronikarza z Marchiennes Filip, „pokornie i uniżenie” i (raz jeszcze) „ze łzami w oczach”, odwołał się przede wszystkim do poczucia więzi rodowej: niechaj wszyscy szlachetnie urodzeni rycerze pomną na swych przodków, którzy nigdy się nie cofali. Niechaj stawiają opór, by uchronić dziedzictwo swych ojców przed nieodwracalną szkodą. Wygłosiwszy te słowa, ze wzniesioną prawicą, podobny kapłanowi, w postawie, w jakiej na tympanonach katedr przedstawia się samego Chrystusa, pomazaniec Boży prosi niebiosa o błogosławieństwo dla swych rycerzy, wzywając ich – dorzucają źródła flamandzkie – do bicia się w piersi za grzechy, aby wspomóc zwycięstwo. Wszystkie te gesty oznaczają wkroczenie w wymiar *sacrum*. I oto, w upale południa, zostaje przerwana powaga ciszy. Za królem Francji, jak na nabożeństwie, dwaj duchowni intonują psalmy. Owa psalmodia trwać będzie przez całą bitwę, przerywana tylko niekiedy szlochem wzruszenia czy wybuchem żarliwej modlitwy. Niech Bóg go nie zapomina, jego Kościół, gnębiony przez Ottona, grabiony przez Jana bez Ziemi, ma jednego tylko obrońcę – Filipa. Osoba monarchy i korona, która jest stawką rozgrywki, są odtąd jakby spowite owym wznoszącym się zaklęciem, odwiecznym wołaniem Izraela do Boga wojny – psalmami, i to psalmami właściwie dobranymi:

(1) Błogosławiony Jahwe, skała moja, który zaprawia ręce moje do bitwy, a palce moje do boju...

(10) który dajesz zwycięstwo królom i wybawiasz Dawida, Twójego sługę.

(11) Od miecza wrogię ocal mnie...

*(Psalm 144)*

(2) Bóg powstaje! W rozsypce są Jego wrogowie i uchodzą przed Nim ci, którzy Go nienawidzą,

(3) Jak się rozwiewa dym unoszący się z pieca...

(29) Okaż, Boże, swą potęgę...

(31) Rozprosz narody, które pragną wojny!

*(Psalm 68)*

(2) Jahwe! król raduje się Twą potęgą,

O, jakże bardzo się weseli z Twojej pomocy!

(3) Wypełniłeś pragnienia jego serca i nie wzgardziłeś prośbą jego ust...

(12) Chociaż gotują zło przeciwko Tobie i knują zdraдлиwe zamysły, niczego nie osiągną.

*(Psalm 21)*

Pośród owych śpiewów nadziei i zgiełku wyzwisk i trąb rozpoczyna się pojedynek.

## Zwycięstwo

Jakkolwiek autorzy relacji to w większości ludzie modlitwy, wszyscy oni naświetlają bitwę w sposób szczególny, naznaczony ideologią ludzi wojny. Nie dość, że cała ich uwaga skupia się na rycerzach, starają się również zatuszować to, co w ich zachowaniu mogłoby wydać się naruszeniem reguł etyki uświęconej przez turnieje. Dla Anonima z Béthune koniec wojny oznacza początek szlachetnej i prawej gry, gry godnej podziwu, której finezja, *le bon estour*, szermiercze popisy zachwycają znawców; gry chwalebnej, godnej najwyższych nagród. Wszyscy znawcy walki, którzy tam byli obecni, orzekli, iż nigdy nie było im dane oglądać równie wybornego turnieju. Istotnie, o bitwie pod Bouvines mówi się jak o turnieju. Najbardziej szczegółowe relacje opisują jedynie świetniejsze starcia, wybitne wyczyny. Albowiem wszystkie ślady pisane wydarzenia z 27 lipca 1214 roku są w gruncie rzeczy częścią owej sportowej literatury, przeznaczonej dla rozmówianej w niej publiczności, dla *aficionados*. Opiewają one rekordy i mistrzów, usiłując pokazać – na tym właśnie polega sztuka reportażu – jak wyłaniają się z owego zamętu, w którym, w spontaniczności walki, nikt by ich nie dojrzał pośród drugorzędnych i pozbawionych blasku czynów.

Prawa gatunku wyjaśniają sposób, w jaki teksty te mówią o ludziach Kościoła, wyekwipowanych do gry i nie pozostających w niej beczynninie. Tyczy się to obydwu biskupów. Nie powinni oni byli dać się ponieść

namiętności walki. Tym bardziej że należeli do obozu białych. Jednakże obydwaj uczestniczyli w rozstrzygającej fazie rozgrywki i obaj zdobyli w niej po cennym punkcie. Każdy z nich wziął do niewoli nie byle jakiej rangi jeńca: Reginald hrabia Boulogne poddał się Guerinowi, biskupowi Senlis, zaś Jan z Salisbury – Filipowi, biskupowi Beauvais. Nie sposób byłoby przemilczeć te czyny. Atoli o owych czempionach-amatorach przystoi wyrażać się ostrożnie, ważąc słowa, bacząc na zachowanie konwenansów. Guerin – podkreśla Wilhelm Bretończyk – jest na razie tylko „wybrańcem”; jego obecność usprawiedliwia fakt, iż nie został jeszcze namaszczone świętym krzyżem, jak i przynależność do zakonu templariuszy, którzy wszak są ludźmi wojującymi. Przy czym wyraźnie jest powiedziane, że nie jest on tu, by walczyć, że postawa jego jest taką, jaką winien przyjąć orator, pasterz mający nauczać lud, szafarz słowa: jeśli brat Guerin znajduje się pośród bitewnych orszaków, to jeno po to, by zagrzewać rycerzy do boju (jak czyni to widoczny na hafcie z Bayeux biskup Odon, brat Wilhelma Zdobywcy), aby nieść słowa królewskiego orędzia, wezwać każdego do stawienia zaciętego oporu, do mężnej walki w obronie Boga, Kościoła i ludu. Co się tyczy biskupa Beauvais, Wilhelm Bretończyk uznał za właściwe zaznaczyć w *Filipidzie*, że znalazł się on tam przypadkiem i przypadkiem trzymał maczugę w dłoni.

O ile kronikarze umieszczają na czołowych miejscach niektórych mężów, którzy, choć nie należą do kategorii graczy zawodowych, posiadają cnoty i zdolności

sportowe rycerstwa, to milczą oni na temat ogółu walczących. Milczenie owo wyraża pogardę, jaka otacza wszystkich piechurów. Są oni bezsprzecznie użytecznymi narzędziami, jednakże mniej cennymi i mniej godnymi troski niż dobre wierzchowce, a przy tym czasem zawadzają. Wówczas odpycha się ich, deprecjuje, jak kawałki połamanych kopii. Sposób, w jaki władają bronią, nie zasługuje na uwagę ludzi dobrego smaku. Jest odrażający, polega na przelewaniu krwi. I jeśli czasem snop światła padnie na któregoś z owych wstręt budzących statystów, to po to tylko, by obraz ten służył za tło kontrastowe i wydatniej ukazał czyny szlachetne. Taki jest obraz podobnego do rzeźnickiego czeladnika pachółka, który usiłował dobić powalonego na ziemię Reginalda z Dammartin, próbując dźgnąć go nożem w twarz i w podbrzusze. To wilk, który wkradł się do owczarni, do zagrody, poza ów „płot”, utworzony przez grupę rycerzy wokół nieszczęsnego bohatera – nieprzyjaciela wprawdzie, lecz zbratanego z nimi w prawdziwym męstwie – by obronić go przed niegodną zaciekleścią pospólstwa, tego proletariatu wojny. Jeśli zaś opisy pozostawiają również w cieniu niemal wszystkich rycerzy, to dlatego, że i oni są jedynie figurantami, bowiem dobre sprawozdanie z meczu winno ukazać oczom znawców czyny pamiętne, decydujące, czyny, według których klasyfikuje się czempionów. Pominąwszy kilku outsiderów, szeregowych zawodników, którzy tego dnia dali się poznać znającej się na rzeczy publiczności jakimś wyjątkowym osiągnięciem i zdobywszy z nagłą sławę, będą mogli odtąd korzystniej



sprzedawać swe usługi, jedyni aktorzy, których naprawdę widać i o których można by mniemać, iż rozebrali całą partię sami, to „wielcy mężowie”, dowódcy, mający na swym koncie wyniki znane wszystkim, i którzy okryli chwałą swe chorągwie w licznych zawodach towarzyskich. Na nich to skupione są wszystkie spojrzenia: czy na tym terenie okażą się godni swej reputacji?

W kłębach upalnego kurzu, który przesłania wszystko i utrudnia wzajemne rozpoznanie się, z głową huczącą pod rozgrzanym hełmem, oślepieni potem, ci gracze pierwszej kategorii pragną zetrzeć się z równymi sobie. Brat Guerin, biegły w wojnie skutecznej, takiej, jaką prowadzono w Ziemi Świętej przeciw niewiernym, rozpoczyna bitwę, rzucając przeciwko oddziałom flandryjskim wyborowy korpus stu pięćdziesięciu konnych pachołków. Wysyła ich na pierwszy ogień, bo mniej od innych są cenni i jest bez znaczenia, czy część ich polegnie; ich szarża, pierwsze uderzenie, ma wprowadzić nieład w szeregach nieprzyjacielskiego rycerstwa. Taktyka ta wprawia w oburzenie flandryjskich czempionów. Porywa ich gniew: nie godzi się im kruszyć kopii z podobnym przeciwnikiem. Toteż trwają bez ruchu; czekają, by uderzyć z daleka, powalić konie, zabić, ogłuszyć. Tym razem nie przebierają w środkach: wszak zwyczaj nie zakazuje uśmiercania przeciwnika, jeśli nie jest szlachetnego rodu. Ten jednak skutecznie się broni: zaledwie dwóch pachołków zostaje zabitych podczas szarży. Silniejsze niż gniew targający serca, niżli żądza zdobycia rynsztunku o niemałej

wartości, poczucie godności powstrzymało rycerzy przed czymkolwiek, co mogłoby wydać się chęcią zmierzenia się naprawdę z ludźmi, których krew nie jest warta ich krwi.

W istocie, podobnie jak w świetnych turniejach, rycerzom tym przyświeca marzenie o sławie. Pragną „dokonać takich czynów, ażeby wieść o nich dotarła aż do Syrii”. Okrzyki, jakie w opisach bitwy wkłada się im w usta, odwołują się wyłącznie do wartości świeckich, do pamięci o przodkach, do obowiązku służenia damom. Każdy poświęca swą waleczność rodowi i jego chwale oraz towarzysze uciech miłosnych. A wszyscy dokładają starań, by chwała ta była widoczna. Pragną wykazać się w zmaganiach „na otwartym polu”, z dala od bitewnego zamętu, w pełnym świetle, i to w najtrudniejszym, a zarazem najszlachetniejszym sporcie – w konnej szermierce. Albowiem potyczki, o których będzie głośno, to te właśnie, co polegają na pokonaniu wybranego spośród najznamienitszych przeciwnika przez wysadzenie go z siodła i zrzucenie go na murawę. Ten, kto przez swą nieumiejętność pozwoli się w ten sposób powalić, okrywa się hańbą i traci swą sławę w podobnym upadku. Chyba że rychło zatuszuje hańbę, wsławiając się w innym pojedynku. Tym się tłumaczy wściekłość księcia Burgundii, który, cały wzburzony, woła, by przyprowadzono mu nowego konia: kipi żądzą pomszczenia jak najszybciej takiego dyshonoru. Przy tym gra powinna być właściwie prowadzona, a zapalczywość poskramiana na tyle, ażeby regułem stało się zadość. Tej zwłaszcza regule, która zabrania zabijać

szlachetnie urodzonego przeciwnika, chyba że jest nim król z przeciwnego obozu, a zabija się go w bitwie i po to, by uczynić wyrok Boży bardziej widocznym. Kiedy na początku spotkania Eustachy z Malenghin wznosi okrzyk: „Śmierć Francuzom!”, wszystkich, którzy go słyszą, przejmuje oburzenie i wstręt na podobne uchylenie. Natychmiast też rycerze z Pikardii pojмали zu-chwalca i zarżnęli go. Jest to jedyny rycerz, o którym wieść niesie, że znalazł śmierć na buwińskim polu, obok Stefana z Longchamp, dźgniętego przypadkiem nożem przez otwór w przyłbicy. Wszyscy pozostali polegli wywodzą się z ludu.

Bo odtwórcy głównych ról nie umierają. Grają, jak należy, honorowo. Nawet ci najbardziej zajadli; nawet hrabia Boulogne. Miał on ponoć poprzysiąc na relikwie, że przedostanie się w pobliże króla, by go zabić. Zbliżył się więc, ale kiedy ujrzał jego oblicze, zdjął go respekt, biorąc górę nad nikczemnym zamiarem. W porę przypomniał sobie o bohaterach pieśni rycerskich, o hańbie, z jakiej nigdy nie obmywa się ten, kto ośmie-la się podnieść rękę na swego seniora, na człowieka, który niegdyś ujął te właśnie ręce w swoje, przyjmując uroczyste przyrzeczenie, że nie dozna od nich nigdy żadnej krzywdy ani na tułowiu, ani członkach ciała. Co więcej, osoba, którą ujrzał przed sobą, w zasięgu swego miecza, była święta. Dodało mu to jeszcze sił, by odwrócić się od króla i skierować gniew gdzie indziej – na swego od dawien dawna wroga, Roberta z Dreux. Takie oznaki szacunku wobec ślubowanej wiary i wasalnej moralności pozwalają uzyskać przebaczenie

wszystkiego. Widać to wyraźnie, kiedy Filip August obdarza wolnością Arnulfa z Audenarde. Książę Burgundii gani go za wypuszczenie tak znacznego jeńca; król odpowiada mu wówczas: „Na kopię świętego Jakuba, tako i ja mniemam, książę. Nigdy on jednak wojny nie miłował [jest to człowiek pokoju, a zatem Boga] i samemu seniorowi zawsze ją odradzał; tako też nigdy hołdu składać nie chciał królowi Anglii, jak inni to czynili [nie jest więc «przeniewiercą»]. A że mnie szkodę jaką wyrządził, to tylko dlatego, że swemu seniorowi wiernie służyć chciał i za to urazy mieć doń nie mogę.”

W oczach Anonima z Béthune starcie pod Bouvines streszcza się w owych olśniewających woltach, co nie prowadzą do śmierci, w grze wypadów i pchnięć, której oddaje się – samych przez chwilę na arenie – kilku otoczonych blaskiem bohaterów. To zawody, w których marzeniem każdego jest zdobyć palmę pierwszeństwa za to, że pocwałuje lepiej od innych, przebijając się przez nieprzyjacielskie szyki, przewracając jeźdźców w pędzie, a wszystko zgodnie z regułami gry i bez pomocy. Z konkursu tego Anonim przekazuje nam coś na kształt listy nagród, sławiąc pośród innych kasztelana Arnulfa, który rzucił się naprzód, roztrącając oddział pachołków, dotarł do rycerzy, obrał za cel jednego z nich, powalił go na ziemię, wyprzedził rozpędzony podczas szarży i „do swoich na powrót zdrów i cały wrócił, skąd wielka jego sława była”. Ci, którzy bitwę opisywali, wyrażali podziw nie tyle dla rycerzy odważnych, co dla śmiazków, ryzykantów,

znanych z dobrych turniejów. Walter hrabia Saint-Pol wiedział, co mówiono za jego plecami: oskarżano go o podwójną grę. Chciał tedy bronić swego honoru, dowieść lojalności i w tym celu wykazać się na oczach wszystkich bezgranicznym męstwem. Toteż cała armia ujrzała, jak rzuca się pierwszy do boju, gardząc zyskiem, lekceważąc wszelki łup, zapędza się w niebezpieczne miejsca, walczy do utraty tchu, rusza znowu cały zdyszany i, w obronie przyjaciela, naraża się, jeśli nie na śmierć, to co najmniej na niewolę i ruinę. A przecież nie był to już „młodzik”, jak hrabia Bar, który, również porwany nadmiernym zapałem, ryzykował życie, zapuszczając się w szeregi najemnych *routiers*, tych ludzi, którzy zabijają. Aby dać godny pamięci dowód męstwa, rycerz, któremu zabito konia, walczy dalej pieszo, nie zważając na ciężar zbroi, a gdy pokruszy mu się wszelka broń, rękami, jak hrabia Ponthieu, który bił pięściami w kolczugi. Jak w pojedynku – sędzie Bożym, lecz tym razem dla zdobycia chwały. Miłośnikom sztuki wojennej kronikarze bitwy pod Bouvines relacjonują wyłącznie ów ciąg indywidualnych potyczek.

Oto, kipiąc wściekłością, książę Burgundii, niczym drugi Ajax, zdobywa zbroję najznamienitszego z zawodników, Wilhelma z les Barres; naciera na inną sławę turniejów, pana na Audenarde, który rośnie w pychę, bo obrał go sobie za partnera bohater wielkich igrzysk. Rozpoczyna się pojedynek, wokół którego, jeśli wierzyć tym wszystkim sprawozdaniom, pozostali wojownicy, poniechawszy walki, tworzą ciasny krąg.

Opisy bitwy przypominają sceny z *Iliady*. Ukazują wielkich tego świata, którzy z honorem, sam na sam mierzą się ze sobą.

Jednakowoż ta błyszcząca zasłona, w jaką spowija walkę ideologia turniejów, nie jest w stanie całkiem zamaskować pewnych aspektów mniej jasnej rzeczywistości. A nade wszystko chwiejności owego oddania, którym miały być przepełnione wszystkie serca. Bitwa – ów ceremoniał, owa liturgia – wymagała wszak w każdym z obozów spójności, bezwarunkowego i jednomyślnego zaangażowania, bardziej koniecznych tu niż na wojnie. Oczekiwać by można, iż każdy oddział wojowników, pobłogosławiony i rozgrzeszony, zostanie oczyszczony z wszelkiej dwulicowości, że będzie wibrował unisono, niczym w gregoriańskim śpiewie benedyktyńskich psalmodii. Otóż nic podobnego. Mimo wciąż odnawianych i coraz gorętszych ślubowań – takich na przykład, jakie złożyli sobie wzajem sprzymierzeni – cóż widać w obydwu obozach, nawet w obozie dobra? Lojalność, która się kruszy. Każda bowiem strona jest rozdarta od wewnątrz sprzecznymi powinnościami, jakie narzucają się niemal każdemu. W istocie, prawie wszyscy rycerze rozpoznają w przeciwnych szeregach ten barwy ojca, ten teścia, ten brata, tamten kuzyna, ów człowieka, którego niegdyś uznał za seniora swego lenna, słowem ludzi, którym winni służyć i których wedle naturalnego prawa winni miłować. A przynajmniej nie podnosić na nich ręki. Toteż w każdym miejscu bitewnego zamętu widać niespodziane odwroty, ręce, co nagle opadają, słysząc nawiązujące się

rozmowy. Nieufność sięga do samego serca *connois*. Właśnie to zwątpienie hrabia Saint-Pol wyczuwa wśród swoich i chce je za wszelką cenę pomniejszyć, wołając wielkim głosem, wobec brata Guerin, iż da dowód swej dobrej wiary, a iżby to uczynić; nie cofnie się przed narażeniem własnej osoby. Jednakże nie wszyscy są mu podobni. Niektórzy zawodzą. Na przykład książę Louvain, który umknął w środku bitwy, czyniąc wielką szkodę koalicji. Nie ma też bezwzględnej uczciwości w posługiwaniu się bronią. Padają niedozwolone ciosy, a nóż, owo perfidne narzędzie pospólstwa, pojawia się w dłoni znakomitego rycerza Arnulfa z Audenarde, kiedy mierząc w otwory przyłbicy, naciera on na Odo-na z Burgundii, wzięwszy go za Wilhelma z les Barres.

Dodajmy, że nie wszyscy rycerze są tak odważni, jakimi się ich opisuje. Większość zachowuje w bitwie równą ostrożność jak na wojnie i troszczy się nade wszystko o to, by wyjść z niej cało. Dostrzec można wojowników trzęsących się ze strachu, którzy chowają się za plecami innych. Brat Guerin zna ich dobrze, toteż dokonując selekcji przed rozpoczęciem zmagania, umieszcza tchórzy w drugiej linii. Trzeba tu wiele rozeznania, by nie dać się zwieść pozorom: Jan z Nesle jest wysoki, silny, piękny jak święty Jerzy, a mimo to boi się; podczas całego spotkania unikał starcia z kimkolwiek. A gdy wszystko ucichło, pojawia się znów i czym prędzej podjeżdża, pełen sił, zebrać okruchy chwały, wydrzeć, niczym szabrownik, hrabiego Boulogne tym, którzy go pojмали. Uda mu się to, jako że jest słusniejszego wzrostu i wypoczęty. Dodajmy, że

w owej chwili, wokół znamienitego, powalonego jeńca – pokonali go zresztą i ujarzmili piechurzy i pachołcy, owe psy wojny – kilku rycerzy wdało się w bijatykę: komu uda się zagarnąć siłą dla siebie całą zdobycz?

W rzeczywistości bowiem pogoń za sławą nie osłabia tak bardzo, jakby nam to chcieli wmówić kronikarze, żądzy zysku. Każda z drużyn prowadzi polowanie na własną rękę, tropi zwierzynę i nade wszystko troszczy się o to, by ją schwytać. Pożądliwość jest niewątpliwie powściągana zbiorową dyscypliną, z pewnością nie tak luźną, jak sądzili częstokroć historycy, oraz wyraźnym przeświadczeniem, iż to, co odbywa się tego dnia, jest rzeczą wielkiej wagi. Niemniej jednak czuć wyraźnie, że chciwość gotowa jest zbudzić się, jeśli choć na chwilę popuści się cugli. Tak z jednej, jak i z drugiej strony wszyscy rycerze przybyli tu jak na turniej, z zamiarem wzbogacenia się i zagarnięcia wszystkiego, co się da. W bitewnym zamęcie odbywają się pertraktacje, targi pomiędzy zwycięzcami i zwyciężonymi, dotyczące okupu. A ten, kto przyrzeknie dobry zastaw, może uzyskać od swojego „pana”, jak ma to miejsce podczas turniejowych zmagañ, pozwolenie, by siąść z powrotem na siodło i kontynuować grę, zwolniony na słowo, ażeby i on z kolei mógł, dopóki trwa wrzawa walki, spróbować pojmać kogoś, powetować sobie straty; lub też, sypnąwszy pieniędzmi, zapewnić sobie pomoc któregoś z przyjaciół. W ten właśnie sposób, według relacji Anonima, dobrze tym razem poinformowanego, wyszedł z opresji Robert z Béthune. Dostał się do niewoli, lecz tyle przyrzekł pewnemu ryce-



rzowi, zwanemu Flamandem z Crêpelaine, że „ów go uwolnił i swobodnie puścił”. Blask bohaterskich czynów okrywa nieco wstydlive kupczenie. W gruncie rzeczy bitwa kończy się rozszarpywaniem łupu. Filip August, pragnąc to ograniczyć, kazał trąbić na zbiórkę i zabronił ścigania uciekinierów dalej niż na milę, a mimo to Anonim z Béthune widział, jak pogoń rozwinęła się na dwie mile z okładem. W istocie, król obawiał się, aby po zapadnięciu zmroku bogaci jeńcy, których schwytał, nie zbiegli lub też nie zostali odbici przez swych towarzyszy. Przecież i on sam znacznie się obłowił, a jako że wyrok Boży już zapadł, troszczył się jedynie o to, by umieścić swe łupy w bezpiecznym miejscu. W końcu – co należy podkreślić – indywidualne pojedynki miały naprawdę drugorzędne znaczenie. J. F. Verbruggen, który przestudiował wszystkie źródła, wykazuje, że były to li tylko przypadkowe eksplozje odwagi, porywy zapalczywości i „młodości”, rychło poskramiane, gdy wracała przezorność, owa najważniejsza cnota. W relacji Wilhelma Bretończyka doliczył się ich zaledwie pięciu, obok piętnastu wybitnych akcji zbiorowych, podczas których rozważniejsi chorążowie, dowódcy oddziałów dbali, aby nie wyjść poza wspierający ich i chroniący przed niebezpieczeństwem *conroi*. Pojedynki były rzadkie pod Bouvines. Owego dnia jeden tylko odbył się naprawdę. Pomiedzy dwoma królami.

\* \* \*

Otton wraz z hrabią Flandrii i hrabią Boulogne poprzysięgli sobie uroczyście dążyć do jednego tylko celu: zbliżyć się do Filipa, nie odstępować go na krok, dostać go w swe ręce, zmusić do walki wręcz, wreszcie zabić. Na szachownicy obie najważniejsze figury ustawiły się zatem naprzeciw siebie, chronione przez szereg piechurów – licznych, acz godnych pogardy pionków – a za tą kruchą awangardą przez dużo solidniejszą osłonę jeźdźców. Na samym początku partii obydwie grupy złączyły się, a po wykonaniu ruchu przez obóz czarnych, wierny swemu ślubowaniu Otton zaatakował. Porwana „teutońską furją”, zapewne lepiej uzbrojona niż chłopci z Pikardii i z Soissonais, którzy stawiali jej czoło, piechota jego dotarła do króla Francji, otoczyła go i ściągnęła z konia. Mało brakowało, a Filip August, powalony na ziemię, zostałby zakłuty nożami wyrobników wojny, poległby pod ciosami ludzi podłego stanu, będących na cesarskim żołdzie.

Jednakowoż chroniła go ręka Boża, a także zbroja, najlepsza ze wszystkich, bo był najbogatszy. Wszedł z tych opresji cało, wskoczył na siodło i tok walki się odmienił. W poczuciu swej godności Kapetyng nie posługiwał się piechurami. Posłał do boju rycerzy, towarzyszy swego domu. Swoją własną drużynę, oddział, który był jakby nim samym. Wówczas to rozpoczął się regularny pojedynek, lecz nie pomiędzy dwiema osobami, a między dwiema „chorągwiemi”, dwoma *conrois*, oddziałami zjednoczonymi wspólnym zadaniem. Towarzysze króla Francji rzucili się na ludzi Ottona. Najśmielszy z nich, Piotr Mauvoisin, dopadł cesarza,

udało mu się schwycić jego konia za uzdę. Gerard zwany Maciorą, który za nim podążał, pojął, że nie uda się wziąć żywcem tej najświetniejszej ze wszystkich zdobyczy. Należało więc zabić. Dłoń jego – która w istocie była dłonią samego Filipa Augusta – uderzyła sztyltem w pancerz. Wszelako ów wytrzymał, równie dobry jak pancerz Kapetynga. Padł natomiast cesarski koń. Otton wyrwał się, rzucił do ucieczki i obalony po trzykroć na ziemię, po trzykroć się podnosił. Wilhelm z Garlandii, Bartłomiej z Roye, najstarsi i najrozważniejsi z królewskiej świty, postanowili zaniechać pościgu. Byłoby to godną nagany przesadą. Bóg nie chciał widocznie, by cesarz stracił życie, a mogłoby Go rozgniewać takie zaciętrzewienie; mógłby się zemścić i odwrócić sytuację. Wiadomo, w jaki sposób karze pyszałków. Co koń wyskoczy Otton opuścił pole. To wystarczyło: wyrok zapadł. Bitwa była zakończona. *Relacja z Marchiennes* donosi, że trwała ona zaledwie godzinę. Bliższy prawdy jest Wilhelm Bretończyk, który mówi o trzech.

Bóg, który „krzyżuje zamiary władców”, dokonał wszystkiego. Pozwolił przez chwilę, by pieńło się zło, by źli zagrażali dobrym. Udzielił tej zwłoki wyklętym, ażeby mieli trochę czasu na okazanie skruchy. Nie uczynili tego. Ponieważ obstają przy swoim, miażdży ich, daje im nauczkę, zbrojąc swą siłą ręce słabszych. W cudowny sposób zostali oni wybrani na wykonawców zemsty. Lecz kto się mścił? Bóg sam. Na tych, którzy urągali mu, niegodziwie łamiąc ustanowiony przezeń pokój. Na bezbożnikach, świętokradcach, któ-

rzy ośmielili się, niby wilki przebrane za jagnięta, naszyć krzyż święty na swe szaty. Szaleńcy ci złamali zakazy, których mieli przestrzegać. Hańbą okryli toczoną przez siebie wojnę, przekupując pieniędzmi, opłacając najemników, te szumowiny, tę zarazę, popleczników diabła, na których Kościół rzucił klątwę. Ośmielili się pogwałcić pokój świętego dnia, trwałą pozostałość owych enklaw pokoju, jakimi jedenastowieczne synody usiały, niczym uświęconymi wysepkami, wszystkie porę roku. Zaślepiła ich pycha. Wszystko rozegrało się podczas rady, zwołanej przez Ottona w przededniu bitwy. Rozumni mężowie, którzy przypomnieli wówczas, na co narażają się ci, co za nic mają tabu, zakrzyczeni zostali przez szaleńców. Przez „młokosów”, owych Rolandów, wycierających sobie usta bohaterstwem, a których odwaga wyradza się niechybnie w nieskromne zachwalstwo. Wołali oni, by nie zwlekać do jutra, lecz nacierać natychmiast na armię starców. *Historia regum Francorum*, spisana w Saint-Germain-des-Pres i urywająca się na roku 1214, wyraźnie stwierdza, jaką przede wszystkim pobudką kierował się obóz przeciwny, dążąc do bitwy: „Książę Ludwik miał u swego boku całą młodzież Galii, zaś król Filip miał jeno rycerzy nieruchawych i w sędziwym wieku.” Chciano od razu roznieść tych zasuszonych, słabowitych Ganelonów. Dostają oni szybko zadyszki, jak hrabia Saint-Pol. Jednakże nie należy ufać pozorom: dusza ich czerpie siłę z roztropności i bojaźni Boga. Tym razem zdrajcami byli Rolandowie. Złamali przez swą pychę pokój Pana, i to stało się najpierwszą z przyczyn ich klęski. Wszyscy są tego zda-

nia, a przede wszystkim ci, którzy, jak autor *Pieśni o Wilhelmie Marszałku*, nie lubią Francuzów i są rozwścieczeni ich tryumfem. Większość kronikarzy podkreśla z naciskiem: 27 lipca 1214 roku przypadało w niedzielę.

Jednakże sprzymierzeni zostali pokonani również dlatego, że byli heretykami – czym zyskali sobie sympatię Micheleta. Na sankcje, jakie z rozmachem zastosował wobec nich papież, na klątwy, ekskomuniki, interdykty, Jan bez Ziemi i Otton odpowiedzieli atakiem na Kościół rzymski. I to w jego czułym punkcie, czym od razu zyskali sobie poparcie całego kontestacyjnego prądu, coraz potężniejszego i rozleglejszego w chrześcijańskim świecie rzymskokatolickim. Prawdziwi katarowie – czyż byli kiedykolwiek liczni? – nie byli chrześcijanami; dogmat, który wyznawali, przeczył doktrynalnym pozycjom tworzącym samą podstawę chrześcijaństwa. Wszelako, skoro tylu mężczyzn i kobiet ich posłuchało, to dlatego, że oblicze ówczesnego Kościoła przestało im odpowiadać. Owa odraza, jaką budzili podówczas duchowni dostojnicy, nazbyt wygodnie urządzeni wśród dóbr tego świata, wszyscy ci tłuści kanonicy, którzy nauczali maluczkich, iż trzeba być chudym, aby wejść do królestwa niebieskiego, a przeto wyzyskiwani przez feudalną seniorię winni całować ręce swego pana, płacić bez szemrania wszelkie świadczenia i, chwając Boga, zmywać potem dnia codziennego grzech Adamowy; wszyscy ci szalbierze, którzy modlili się do Marii Magdaleny, pożądając jej wdzięków, i nie mogli się pozbyć myśli o powabach nawie-

dzonych dziewic, głosząc przy tym ze spuszczoneymi oczami, że rycerska dworność jest czymś karygodnym, a świat zły, że młodzi nie powinni uprawiać ani miłości, ani wojny, że obowiązkiem bogatych jest oddawać pieniądze tym, którzy modlą się, śpiewają, objadają, upijają, oddają się rozpuście i nie czynią żadnego użytku ze swych rąk; owe kpiny z templariuszy, których posądzano o uprawianie sodomii i którzy znani byli ze zręczności w obracaniu powierzonymi im kapitałami, ów gniew, skierowany przeciwko najczystszyemu nawet sługom Kościoła, mnichom z zakonu cystersów, którzy umartwiali się, kryjąc się w głębi lasów, a widać ich było tylko na jarmarkach, kiedy to lepiej niż ktokolwiek radzili sobie w handlu, lub też na licytacjach, gdzie, z pełną kiesą, zgarniali innym najlepsze okazje sprzed nosa – cały ten bunt, gorzki bądź ironiczny, nie był swoisty wyłącznie dla Francji albigensów. Kipiał ze wszystkich stron. Znajdował oparcie – trzeba to wyraźnie powiedzieć – we wnikliwszej lekturze *Ewangelii* i te wymogi, jakie stawiano duchownym, świadczą w gruncie rzeczy o dojrzałości społeczności laickiej, która podówczas wychodziła ze stanu dzikości, przestawała bić czołem i nabierała przekonania, iż na zbawienie zasłużyć trzeba darem serca, a nie posłuszeństwem wobec rytuału. Ten więc, kto wydawał walkę kościelnym strukturom, twierdząc, że kler jest zbyt liczny, a duszę swą można zbawić, nie dając mu aż tylu pieniędzy, miał pewność, że znajdzie słuchaczy.

Otóż to właśnie głosił Otton, to głosił niegdyś Jan bez Ziemi, zanim została zdjęta klątwa, która nad nim

ciężała. Obydwaj podburzali opinię przeciw Innocentemu III, wspólnemu wrogowi. Kanonik z Liège, autor *Żywota św. Otylii*, wkłada w usta cesarza, w przededniu bitwy pod Bouvines, te oto słowa: „Po cóż aż tylu modlących się? Większość z nich nie służy wcale Bogu; poślijmy ich do pracy. Zostawmy jeno po dwóch w mniejszych, a po czterech w większych kościołach. Wystarczy to aż nadto. I ci, co pozostaną, niechaj pędzą żywot, jak im przystoi: w prawdziwym ubóstwie. W ten sposób będziemy mogli podzielić między siebie bogactwa Kościoła.” Wilhelm Bretończyk podejmuje i rozwija te słowa w *Filipidzie*, sądząc, iż przedstawia cesarza w bardziej odrażającym świetle. „Co się tyczy księży i mnichów, których to Filip z taką mocą wysławia, miłuje, opieką otacza, broni całym sercem, trzeba nam ich na śmierć posłać lub też wygnać, ażeby niewielu z nich się ostało, by pomniejszył się także ich majątek i by z samej ofiary utrzymać się mogli. Niechaj zatem rycerze, którym leży na sercu publiczne dobro i którzy już to w walce, już to w czas pokoju zapewniają ludowi i duchownym spokojny żywot, zajmą ich ziemie i zabiorą wielkie dziesięciny. [Było to nic innego, jak zbliżenie się do awangardy chrześcijaństwa, podjęcie argumentów tych wszystkich, którzy w ślad za Dominikiem i Franciszkiem z Asyżu uważali, że dopóty Kościół nie zwycięży heretyckiej kontestacji i nie zgromadzi na powrót wokół siebie miejskiego plebsu, dopóki nie zrezygnuje z bogactw ziemskich, stając się czystym i żebraczym, a więc naśladowując wiernie Chrystusowe ubóstwo. Wszelako słowa cesarza oznaczają

zachowanie porządku społecznego: jego zdaniem bogactwa Kościoła nie biedocie, proletariatowi, winny być rozdane, lecz właśnie szlachcie.] W dniu, w którym Ojciec nad ojcami włożył mi na skronie cesarski diadem, ustanowiłem takie prawo, spisać je nakazałem i wolą moją było, by stosowano się doń ściśle w całym świecie. Stanowiło ono, że kościoły zadowolą się tylko niewielką dziesięciną i ofiarami, iż nam pozostawią ziemskie włości, abyśmy lud wyżywić mogli i utrzymać rycerzy. [Oddajmy co cesarskie cesarzowi, a co Boskie Bogu.] Ponieważ duchowni sprzeciwiają się woli mojej i nie przestrzegają tego dekretu, czyż nie powinna ich za to karać moja ręka? Czyż nie mam prawa odebrać im wielkich dziesięcin i seniorii? Czyżby nie było mi wolno rozszerzyć prawa z czasów Karola Martela, który, choć nie chciał odebrać duchownym ziemi, odebrał im dziesięcinę? Czyż ja zatem nie mogę pozbawić ich ziem, ja, który mogę ustanawiać prawa, zmieniać je, ja, który sam jeden sprawuję władzę nad całym światem? [Jest to; zdaniem Wilhelma Bretończyka, przejaw pychy tego, który śmie pretendować przed Kapetyngiem do spuścizny po Karolu Wielkim i rości sobie prawo do władzy potężniejszej niż władza króla Francji.] Czyżby mi nie było wolno nałożyć na duchowieństwo prawa, podług którego musiałoby zadowolić się tym, co mu będzie dane, oraz pierwszym plonem, co nauczyłoby je może być pokorniejszym i mniej dufnym? O ile znaczniejszy pożytek będzie z Kościoła, kiedy tym sposobem przywrócę sprawiedliwość! Niechaj gorliwy w służbie rycerz zajmie te



starannie uprawiane pola, te ziemie mlekiem i miodem płynące, w miejsce leniwego plemienia zrodzonego tylko po to, by pożerać płody ziemi, pędzącego żywot w nieróbstwie i usychającego w mrokach, w miejsce tych niezdatnych do niczego ludzi, których jedynym zajęciem jest kult Bachusa i Wenus i którym z obżarstwa i rozwiązłości puchną członki i kałduny!”

W gruncie rzeczy na polu pod Bouvines starły się ze sobą dwa poglądy na życie ludzi Kościoła. Można sądzić, że słowa Ottona i jego ludzi wynikały z okoliczności, że dyktowała je potrzeba chwili. Lecz mimo to w przemowie tej zdaje się płonąć duch reformy. Była przekonująca. Także po przeciwnej stronie pewne wyrachowanie skłaniało Filipa Augusta, by przeciwstawiać się Ottonowi i poprzeć papieża. Lecz król Francji, równie szczerze, uważał się za obrońcę ustalonego porządku. Jego wojsko skupiało rycerzy sędziwych, rozważnych, przezornych, a choćby sama perfekcja ich ordynku była świadectwem ładu, konserwatywności. Miało być przedmurzem tradycji, pragnęło z całych sił utrzymać pewien system świata, pewien układ stosunków społecznych, którego król, wybraniec Boga i tylko przed nim odpowiedzialny, uważał się za niewzruszone centrum. W istocie, wokół jego osoby ustawione są, na właściwym miejscu i oddając sobie wzajemne usługi, trzy zhierarchizowane „stany”. Na polu bitwy jak w życiu: u jego stóp szeregi milicji miejskich; bliżej głowy kapelani, szafarze liturgii, którzy powinni poświęcać się bez reszty swojemu rzemiosłu, a przeto, aby dobrze śpiewać psalmy, żyć dostatnio z dochodów

seniorii; wreszcie ludzie wojny, którzy podtrzymują jego mściwe ramię. Tak oto owa harmonijna budowla zdawała się wznosić przeciw wywrotowemu przedsięwzięciu, które mogło doprowadzić tylko do chaosu, bowiem sprzeciwiało się prawom Stwórcy. A On nie lubi kontestatorów. Można liczyć na Jego wsparcie, gdy broni się ładu społecznego. Za Jego to sprawą Szymon z Montfort zdołał zdeptać albigensów, utorować drogę inkwizytorom, przygotować stos w Montségur. Za Jego to sprawą Filip zwycięży Ottona, którego rzekoma reforma wpędziłaby księży w nędzę. Czary Hiszpanki, starej hrabiny Flandrii, nic przeciw niemu nie wskórają. Nawet jeśli spadnie z konia, Bóg go podniesie – zwycięzcę.

Bardzo szybko więc w popołudniowej duchocie zakończył się dramat. „Na chwałę i cześć majestatu i świętego Kościoła.” Majestatu króla trzech stanów. Na chwałę Kościoła zasobnego, totalitarnego i represyjnego. I gdy tylko rozsypały się nieprzyjacielskie szeregi, Filip kończy dzieło Bożej zemsty. Oczyszcza. Na opustoszałym po bezładnej ucieczce polu pozostał jeszcze jeden uparty wrzód. Oddział siedmiuset Brabantczyków, którzy osłaniali Reginalda z Dammartin, kiedy chciał odetchnąć między szarżami. Jak najrychlej trzeba uwolnić świat od tej zgnilizny. Król Francji rozprawia się z nimi przy pomocy Tomasa z Saint-Valéry, jego pięćdziesięciu jeźdźców i dwóch tysięcy piechurów. Bez strat: jednego tylko z mścicieli brak na zbiorce; uważa się go za zabitego, lecz on zdrowieje. Był to cud. Istotnie, zazwyczaj zawar-

te oddziały najemnych *routiers* nie dają się tak łatwo rozgromić. Raz jeszcze Bóg był przy tym. On również natchnął Filipa, by okazał łaskę i pobłażliwość w stosunku do rycerzy, których wziął do niewoli. Król miał prawo ich uśmiercić: idea monarchii była już wtedy na tyle silna, że można było powołać się w 1214 roku – co prawda bez przekonania – na zbrodnię obrazy majestatu. Pozostawia ich jednak przy życiu, nawet Reginalda z Dammartin, owego podłego zdrajcę. Pan jest miłosierny. Jego namiestnik, na Jego podobieństwo, nie zna litości dla pyszałków, ale traktuje wspaniałomyślnie tych, którzy się ukorzą.

Gdy szatańska część zwyciężonej armii jest już wytępiona, gdy zdeprawowani przez pieniądz rycerze zgięli karki, otwiera się era niezmaconego spokoju. Tak jak we Flandrii w 1127 roku, kiedy po egzekucji zbrodniarzy „plagi niedawnych dni odeszły w przeszłość, zaś łaska Boża przywróciła wraz z urokami maja dobroczynny pokój i stary ład na ziemi”. Skutek bitwy jest natychmiast widoczny. Świat wraca do harmonii. Król Filip może spokojnie dożywać swych dni. Jakoż długo się nie znalazł taki, co by wojnę z nim prowadzić zechciał; żył w pokoju, a kraj cały wraz z nim pokoju kosztował.” Prawdę powiada Anonim z Béthune. Po opisie bitwy pod Bouvines przez osiem ostatnich lat panowania *Kroniki* z Saint-Denis nie znalazły nic godnego odnotowania, jak gdyby wszystko zamarło. Wydarzenie to było jak wystrzał, co sprawia, że milknie wrzawa i nastaje cisza. Pograżone w szczęśliwości królestwo nie ma już historii do śmierci Filipa Zdobywcy,

do chwili, gdy żałobny orszak odprowadza jego zwłoki, by złożyć je obok grobowców Merowingów. Niemal bezpośrednio po opisie bitwy następuje apologia zmarłego: „W roku pańskim 1223, na zamku w Mantes, umarł Filip, umiłowany król, mądry władca, prawy swą cnotą, wielki w czynach, głośny sławą, godny chwały w rządach, zwycięski w bitwach. Królestwo Francji powiększył i pomnożył niezwykle jego dobra, seniorii bronił i strzegł mężnie, jakoż i praw oraz czci korony francuskiej. Zwyciężył i pokonał wielu potężnych książąt, którzy jemu i królestwu całemu zagrażali. Tarczą swą Kościół Święty zawsze osłaniał przed wszelką przeciwnością, chronił kościół Św. Dionizego, darząc go szczególną miłością i przekładając ponad wszystkie inne we Francji jako swój własny. Po wielekroć czynem okazywał wielki afekt, jaki żywił dla męczenników i ich Kościoła. Od najwcześniejszej młodości zazdrośnie i z uczuciem strzegł wiary chrześcijańskiej. Wziął znak krzyża świętego, na którym Pana naszego rozpięto, i naszył na swych ramionach, ażeby grób Jego wyswobodzić i w męce i trudzie cierpieć z miłości do Pana. Przez morze się przeprawił wielkim wojskiem przeciwko nieprzyjaciołom krzyża i tak długo z najgorętszym zapalem wojował, aż miasto Akka wzięte zostało. A kiedy na zdrowiu nieco podupadł z racji sędziwego wieku, nie szczędził własnego syna, lecz posłał go dwukrotnie pod Albi z wielką siłą, ażeby wypenił nieprawość mieszkańców tej krainy. Szczodrze wspomagał, tak za życia, jak w godzinie śmierci, dobrych synów świętego Kościoła przeciwko niegodziwym al-

bigensom. Jałmużnę hojnie rozdawał we wszej stronie. Spoczywa złożon w kościele Św. Dionizego we Francji, miejscu wiecznego odpoczywania królów i cesarzy, godnie i w całym majestacie, jak przystoi takiemu księciu.”

W tej samej chwili, w której Bóg, potwierdzając słusność praw Filipa Augusta, zmusił do ucieczki jego wrogów, wydał Ottona na hańbę klęski, skazując go na bezbronną tułaczkę od kryjówki do kryjówki, zanim zmarł w zapomnieniu, podczas gdy moce niebieskie postanawiały, że słowo „niemiecki” będzie odtąd przedmiotem pogardy wśród Welfów. Wiekuisty pokarał również Jana bez Ziemi, doprowadzając do tego, że musiał umykać przed wojskiem dowodzonym przez księcia Ludwika, zaniechać oblężenia Roche-aux-Moines i czym prędzej wycofać się nad Ocean. Powiadomieni o zwycięstwie we Flandrii baronowie z Poitou wysłali do Kapetynga posłów, którzy mieli zapewnić go o ich wierności. Jednakże Filip nie ufał „nawróconym” z Południa. Ruszył na nich z armią spod Bouvines, która nie czuła zmęczenia, dał dowód swej siły i pokazał Akwitańczykom, że słowa mu nie wystarczają. Posuwał się bez przeszkód. Jak niegdyś w Maconnais, była to przejażdżka, przerywana negocjacjami. Również w tych stronach wojna była skończona, i to na długo. Bardziej niż wojsko, świta władcy przypominała podróżujący dwór, który obradował na każdym postoju, naprawiał przy okazji krzywdy, zbierał hołdy i obietnice, brał zakładników, zaprowadzał z powrotem porządek zgodny z prawem. Przyjęto na koniec emisariuszy

Jana bez Ziemi, a wśród nich, nieuniknienie, papieskiego legata. Król Francji – powiada Wilhelm Bretończyk – mógł raz jeszcze postawić wszystko na jedną kartę, zmusić do pojedynku owego drugiego króla, który podważał jego słuszne prawo, wydać jeszcze jedną bitwę. Miał ze sobą dwa tysiące rycerzy. W swej pobożności jednak postanowił nie kusić swego Pana, swego Boga: zgodził się na pertraktacje. Rozejm – nie pokój, lecz tylko zaprzestanie wojaczki – został zawarty na pięć lat. Przez pięć lat wszelkie zatargi miały być rozwiązywane na „posiedzeniach”, a rycerze będą wstawać od stołu sprawiedliwości tylko po to, by rozprostować nieco kości na turniejach.

Przedtem Filip August święcił swój tryumf. W Paryżu, jak należało – w swym mieście, perle korony, które wielkim kosztem otoczył był obronnym murem. We wszystkich szkolnych podręcznikach od I wojny światowej figuruje opis zwycięskiej procesji, jaka wyruszyła z Bouvines, ciągnąc na wozach skrzepowanych, wziętych do niewoli hrabiów. Wilhelm Bretończyk pisze o tym jak o idylli władzy i biednego ludu. O zmierzchu żniwnego dnia wieńczy kwiatami czoła strudzonych wieśniaków, szerniałych od słońca, wysuszonych upałem, i każe im tańczyć z uciechy wzdłuż drogi. W rozświetlonym Paryżu odbywa się budujące widowisko: wspólna radość, jednocząca wreszcie trzy „stany”, zmienia walkę klas w pojednanie, tak miłe Panu Bogu. Rycerze wspaniale wywiązali się ze swej roli obrońców słusznej sprawy. Kler i lud, intelektualiści z Uniwersytetu i rzemieślnicy – a więc Kościół i „biedni” – ra-

zem witają wojowników, których dzielność i prawość wyzwoliły ich od zła. Ludzie modlitwy, kanonicy, bakałarze, żacy śpiewają kantyczki, jak zazwyczaj. Mieszczanie również śpiewają, po swojemu. Siedem dni wakacji. Liturgia, która rozpoczawszy się w niedzielę, trwa przez cały tydzień. Zbiorowe pieńie, jednogłosny chór, rytualny taniec odzyskanego pokoju. Każdy ma swój udział w owej ceremonii, przynależne mu miejsce. Byleby tylko go nie opuszczał: Bóg i król nad tym czuwają.

To święto jest świętem królewskiego ładu, usankcjonowanego zwycięstwem. Bitwa pod Bouvines usprawiedliwiła wszystko: dostatek i lenistwo opasłego Kościoła, feudalny ucisk profitujący ludziom miecza, lecz nade wszystko usprawiedliwiła poczynania „polityczne” Filipa, który tego usprawiedliwienia najbardziej potrzebował – jego podboje, podstępny, intrygi przeciw Ryszardowi Lwie Serce, uwięzionemu krzyżowcowi, wydziedziczenie króla Jana, wygnanie Żydów. Bouvines to zestaw oczywistych znaków. Otton uciekł, zniknął. Insignia Cezara, strzaskane, upadły na ziemię z wozu, z którego wznosiły się ku niebu. Nic nie pozostało ze smoka, złowieszczonego symbolu. Orła zaś Filip posłał temu, którego papież uznawał za dobrego cesarza – Fryderykowi II. Oto więc król Francji rozstrzyga jako arbiter o cesarskiej godności. Któż śmiałby się teraz sprzeciwić jego roszczeniom do pełnej suwerenności? Wszak to on jest dziedzicem Karola Wielkiego, przewodnikiem całego chrześcijańskiego świata. I nikt już w całym królestwie nie ośmieliłby się przeciw

niemu zbuntować. Wszyscy wiarołomcy są pod kłuczem.

Również wartość łupu czyni z Bouvines zdarzenie wyjątkowe. Nigdy dotąd żadna wojna nie zagarnęła za jednym zamachem tak licznych jeńców, i to tak znakomitej rangi. Pod Courcelles, 28 września 1198 roku, Ryszard Lwie Serce zdołał schwytać pięćdziesięciu rycerzy francuskich i dwieście koni, z czego sto czterdzieści było „okutych”, to znaczy okrytych zbroją. Upaja się tak wielkim sukcesem. Nie posiada się z radości, rozgłasza całemu światu wieść o tej niezwyklej zdobyczy. Łup spod Bouvines jest nieporównanie okazalszy. Napis na bramie w Arras mówi o trzystu szlachetnie urodzonych jeńcach, co potwierdza kilku kronikarzy. Według najskromniejszych szacunków, jakie można znaleźć w różnych opisach zwycięstwa, było ich stu trzydziestu. Zachowały się bardzo dokładne ślady, jako że Filip kazał sporządzić skrupulatny spis przywiezionych łupów, które umieścił w różnych skarbcach. Widać, że zależało mu na tym. Myślał jedynie o sobie od chwili, gdy ujrzał ucieczkę Ottona i jego ludzi. Czuwał nieustannie nad tymi bogactwami, obwarowując je, z obawy przed ich utratą, całą siecią rękojmi i zabezpieczeń. „Katalog jeńców”, sporządzony w pierwszych dniach sierpnia, wylicza stu dziesięciu rycerzy przywiezionych na wiejskich wozach do Paryża, szesnastu przekazanych w ręce baronów Francji i trzech – powierzonych rycerzom królewskim. Jednakże lista ta jest bardzo niepełna. Część ładunku zostawiono po drodze na postojach. To pokaźne stadko war-



te było niemało pieniędzy. Nie wszyscy, co prawda, przedstawiali wartość handlową i król wcale nie spodziewał się zagarnąć dla siebie całego zysku. Kierował jedynie zbiorową akcją. Musiał najprzód wynagrodzić swych pomocników, opłacić tych, którzy przynieśli z polowania poszczególne elementy zdobyczy. Niektóre osoby zostały wymienione na przyjaciół, których wróg trzymał w więzieniach. Część łupów rozdał król hojnie krewnym i bliskim. Reszty zaś nie sprzedał w całości. W jego własnym interesie leżało unieszkodliwienie na dobre najgroźniejszych buntowników. Zastwardziali zdrajcy, niepoprawni odstępcy zostali skazani na dożywotnią niewolę. Tak się stało z Reginaldem z Dammartin, który, jak dowiedział się król w Bapaume – lub jak mu wmówiono – nadal przeciw niemu spiskował. Tak czy inaczej, więźniów było dużo, a wielu z nich niezwykle cennych. Jedenastu hrabiów, dziesiątki dowódców chorągwi. Za najmniej znacznego z nich można się było spodziewać co najmniej tysiąca liwrów okupu – dwieście czterdzieści tysięcy srebrnych monet. Z owego znamienitego turnieju, którym także była bitwa pod Bouvines, sam monarcha powracał bogatszy niż którykolwiek z poprzednich królów Francji. Zyskiwał również pozycję, z jakiej mógł pertraktować, układać się – jak z hrabiną Flandrii. I przez długi czas trzymać w ryzach najbardziej nieposłuszne księstwa. Niech Bóg będzie pochwalony: zapewnia wygodny żywot tym, którzy mu należycie służą. Zwycięstwo, które zesłał, było prawdziwym uświęceniem – nadajmy temu słowu jego pełne znaczenie – monarchii Kapetyngów.

Malutki Ludwik, wnuk, trzymiesięczne niemowlę,  
przeznaczony już jest na świętego.

# Legenda

## Narodziny mitu

Niewątpliwie, wydarzenie, które miało miejsce w niedzielę 27 lipca 1214 roku, było wielkiej wagi. Pierwsza od stulecia „bitwa polna”, jaką król Francji ośmielił się stoczyć – choć nie bez wahania i, rzecz można, wbrew sobie. Pierwsze zwycięstwo, jakie odniósł monarcha kapetyński. Jak daleko sięga pamięć ludzka, nigdy dotąd nie widziano tak celnej decyzji, tak świetnego łupu, tak jaskrawego potwierdzenia niepodważalności słusznego prawa. Po Bouvines nic już nie jest w stanie zakwestionować imponującej ekspansji królewskiej domeny. Nic nie jest w stanie przeszkodzić bajlifom w gruntownym wyzysku uzależnionych prowincji, na przykład w „nałożeniu tak surowej pańszczyzny na całą flandryjską krainę, którą po części odebrano Ludwikowi, iż ktokolwiek o tym słyszał, dziwował się, że ścierpieć i wytrzymać tyle można”. W całym królestwie nie było odtąd księstwa, które mogłoby się zbuntować. Bezpośrednie następstwo Bouvines to także, wraz z klęską Ottona, tryumf Fryderyka II i zwieńczone laurami popiersia na bramach Capui, to wraz z porażką Jana bez Ziemi walka baronów angielskich na polach Runnymede. Po Las Navas de Tolosa, po Muret, Bouvines przesądziło na kilka stuleci o losie wszystkich państw zachodniej Europy.

O tym, że waga wydarzenia została należycie doceniona na dworze króla Francji i w sąsiadujących z polem bitwy regionach, świadczy pięć zamieszczo-

nych tu opisów. Podobnie jak rychle włączenie relacji dostarczonej przez Wilhelma Bretończyka do dzieła oficjalnej historiografii, której warsztatem było podówczas opactwo w Saint-Denis. Jak uwaga, którą wpisała do swego modlitewnika królowa Ingeborga. Jak paryski kościół Św. Katarzyny z Val-des-Écoliers, wzniesiony przez Ludwika IX dla uczczenia pamięci ojca i dziada, „dla upamiętnienia radości ze zwycięstwa odniesionego nad wrogami królestwa przy moście w Bouvines”. Jak wreszcie, i przede wszystkim, opactwo kongregacji Św. Wiktora, które król Filip, złożyłwszy w ofierze część zdobyczy, założył koło Senlis. Poświęcił je Najświętszej Pannie Zwycięskiej i pragnął, by śpiewano w nim nieustannie pieśni dziękczynne. Był to zaiste prawdziwy pomnik ku czci bitwy, muzeum jej pamięci. Ruiny kościoła, odbudowanego przez Ludwika XI, do dziś obecne są w krajobrazie Valois. Wszelako reperkusje owego wydarzenia odbiły się echem dalej, kolejnymi falami. Spróbujmy je uchwycić w pisanych śladach, jakie pozostawiły.

Jest ich wiele, bowiem rozwinięta kultura europejska miała w XIII wieku wielkie upodobanie do historyzmu. To prawda, że w przeważającej mierze zapis przeszłości przechowywany był tylko w pamięci ludzkiej i z pokolenia na pokolenie część owego dziedzictwa ulegała zniszczeniu. Pozostała część, w coraz bardziej zmienionej formie, przekazywana była ustnie, w relacjach starszej generacji. Lecz jakieś fragmenty utrwalone zostały na piśmie. Spisywanie historii należało w zasadzie do tradycji w klasztorach, opactwach czy

przykatedralnych kapitułach, i działalność *scriptorium*, naturalnej części owych przybytków, polegała w głównej mierze na ocalaniu od zapomnienia historycznych wydarzeń. Albowiem między funkcją modlitewną, wielbieniem Boskiej chwały poprzez liturgiczny obrządek, a tworzeniem historycznego dzieła istniał bardzo ścisły związek: jeżeli jest prawdą, iż Bóg poprzez wyjątkowe czyny ludzkie przejawia swą wolę, ukazuje swą wszechpotęgę i rzuca ostrzeżenie, czyż nie jest rolą Jego sług gromadzić z uwagą wszystkie te znaki, porządkować je w czasie, oblekać w słowo – po to, by dyskurs ten, fragmentaryczny, nieciągły, enigmatyczny mógł zostać w przyszłości skomentowany, opisany, rozszyfrowany w świetle swej własnej kontynuacji i posłużyć mędrcom za materię do rozmyślań. Znajdą oni w nim zachętę, przykłady, pożyteczne wskazówki, ażeby skierować na właściwą drogę chrześcijański lud i poprowadzić go do zbawienia. Od czasów Adama ludzkość kroczy w niepewności, potyka się, błądzi. Historia śledzi te meandry, wahania, powroty na prosty szlak. Jest to nieprzerwany ruch. Przyjście Jezusa nie zmieniło jego kierunku, zaznaczyło jedynie głęboką cezurę, zmieniając barwy czasu, przynosząc kolor nadziei. Odtąd postęp dokonuje się pośród rozlicznych zasadzek, podobny długiemu marszowi przez Morze Czerwone, zagrożonemu widmem Szatana-Faraona. Zmierza on prosto do wieczności, ku temu ostatecznemu punktowi, ku triumfalnemu powrotowi Chrystusa, paruzji, zmartwychwstaniu zmarłych, ku dniu, w którym wszyscy aktorzy ludzkiej historii staną u kresu

wszeczasów przed sądem prawdy. Dopóki nie otworzą się niebiosy, dopóki odwieczne światło nie rozbłyśnie nad ostatnim aktem widzialnego świata – dopóki historia nie osiągnie swego kresu – dopóty ludzie nie będą w stanie właściwie ocenić przeszłości. Jednakże, dzięki refleksji nad czynami przodków, mogą przygotować się na koniec świata, zbliżyć do doskonałości. Zgłębiając, jak najgorliwiej, tę część historii, która już się dokonała, a zwłaszcza medytując o losach bitew, w nich bowiem Bóg przemawia donośniej, wyraziściej niż kiedykolwiek. Względy te tłumaczą ciągłość annałów, gdzie kolejni redaktorzy zapisywali ważne ich zdaniem wydarzenia, jak również rozwinięcie tego materiału w *Kronikach* lub też, z większym rozmachem, w *Historiach*, z których wiele musiało się rozpoczynać od potopu. W XIII wieku mnisi i kopiści wykazywali niezwykłą gorliwość do podobnych przedsięwzięć.

Lecz także na dworach, tych wielkich i tych pomniejszych, w owych coraz liczniejszych, coraz silniejszych ogniskach kultury, która z wolna traciła swój sakralny charakter, coraz bardziej interesowano się historią i zaczynano ją spisywać. Przyświecały temu jednak całkiem inne intencje: szło o to, by wsławić jakiś ród, dynastię, pisać gwoli wychowania książąt, edukacji rycerstwa, umocnienia władzy, moralności, formacji społecznej. Chodziło również o zaspokojenie ciekawości szlachetnie urodzonych, spośród których coraz więcej umiało czytać, wszyscy zaś pragnęli informacji o zdarzeniach, w których sami brali udział bądź o których słyszeli i które wzbudziły ich ciekawość. Przeto we

wszystkich zakątkach chrześcijańskiego świata powstały w latach po bitwie pod Bouvines niezliczone historie, kroniki i annały, w większości pisane po łacinie, lecz niektóre również w języku rozrywek doczesnych. Niemal wszystkie te rękopisy zaginęły. Lecz wiele spośród tych, co przetrwały, zostało wydanych staraniem współczesnych erudytów. Dwieście siedemdziesiąt pięć owych źródłowych tekstów, spisanych przez współczesne bitwie pokolenie i dwa następne do końca XIII wieku, posłużyło do niniejszej pracy. Większość pochodzi z krajów Cesarstwa, nie tylko dlatego, że prężniej rozwijała się tam podówczas literatura historyczna, ale również dlatego, że niemieccy uczeni prędzej przystąpili do publikowania tego rodzaju dokumentów. Jakim zatem echem odbiła się bitwa pod Bouvines w owych relacjach ze świeżej jeszcze przeszłości?

Pierwsze ważne spostrzeżenie: wzmianka o tym wydarzeniu pojawia się w dziewięćdziesięciu dwóch z owych historycznych dzieł; oznacza to, iż dwie trzecie tekstów nie wspomina słowem o „dniu, który stworzył Francję”. Bierze pokusa, by sprawdzić, z jakich stron pochodzili zarówno ci zawodowi pisarze kronik, historii i annałów, którzy podkreślili zwycięstwo Filipa Augusta, jak ci, których ono nie zainteresowało; czyż wytyczanie w ten sposób stref czułych i mniej lub bardziej obojętnych nie jest drogą do stworzenia głębokiej, prawdziwej, całkiem jeszcze zapoznanej geografii tego, czym była wówczas w Europie świadomość – by tak rzec – polityczna? Nie budzi zdziwienia fakt, że trzydzieści trzy dzieła – jedna trzecia – sławiące Bouvines

pochodzą z dawnej krainy *Francia* – części królestwa leżącej na wschód od Bretanii i na północ od Loary. Rzecz oczywista, wszystkie źródła wywodzące się ze starej domeny kapetyńskiej piszą o bitwie. Najszerszym jednak echem odbiła się ona w hrabstwie Flandrii i sąsiadujących z nim okolicach, regionach najbardziej obfitujących w historyczną twórczość, a zarazem, z racji bliskiego sąsiedztwa z miejscem bitwy, najbardziej objętych jej bezpośrednimi skutkami. Wszelako już tu zainteresowanie zdaje się nieco słabsze: czwarta część kronikarzy pomija wydarzenie milczeniem. Jeszcze wyraźniejsza jest proporcja przemilczeń w Normandii – jedna trzecia tekstów, natomiast aż połowa w Szampanii, Burgundii, Turenii – w prowincjach, które przecież dostarczyły żołnierzy zwycięskiej armii. Wydaje się, że głębszym echem odbiło się Bouvines w królestwie Anglii niż w Dijon czy w Troyes (mniejszym jednak niż inne wydarzenie: zniesienie, rok wcześniej, interdyktu, które wyzwoliło kraj z długotrwałych kłopotów). Sześćdziesiąt procent badanych annałów czy kronik wspomina o bitwie. Mateusz Paris, w połowie XIII wieku, kompilował w Saint-Albans historię Anglików i pod koniec owej księgi, sporządzając streszczenie najważniejszych jego zdaniem faktów, nie omieszkał umieścić Bouvines pośród kilku cudów, owych rzadkich „wspaniałych zdarzeń”, które miały miejsce na przestrzeni ostatniego pięćdziesięciolecia. Zresztą po drugiej stronie kanału La Manche o zwycięstwie króla Francji wspomina się częstokroć pochlebnie: widać to we wszystkich świadectwach mnichów z zakonu cy-



stersów, aż pod krańce Szkocji; Jan bez Ziemi, który uważał nie bez racji, że handel wełną nadmiernie wzbogacił cysterskie opactwa, wydarł im nieco pieniędzy.

Wreszcie, blisko trzecia część wszystkich wzmianek pochodzi z krajów Cesarstwa. Co prawda, biorąc pod uwagę rozkwit historiografii w tych stronach, liczba kronikarzy, którzy zechcieli poświęcić trochę miejsca wydarzeniu, jest stosunkowo nikła. Ci, co uznali to za potrzebne, pochodzili przeważnie z Lotaryngii – z regionu, w którym aż po Kolonię i Wogezy silnie odczuwano wszystkie ważne zdarzenia, jakie miały miejsce we Flandrii. Mimo to wiele dokumentów pisanych w tych prowincjach zachowuje milczenie: kronika książąt Brabantu, która nie zataja porażki pod Steppes, pomija klęskę pod Bouvines. W sumie przemilczenia są tu równie częste jak w Normandii; stanowią trzecią część całości. Pozostałe świadectwa, zebrane przez kronikarzy po tej stronie chrześcijańskiego świata, wywodzą się niemal wszystkie – wyjąwszy odosobniony przypadek w Austrii, w Klosterneuburgu – z Saksonii, kraju Ottona, oraz ze Szwabii i Alzacji, kraju Staufów. Włochy pozostały obojętne. Natrafiamy jednak na bezpośredni ślad w Genui, na inny w opactwie Monte Cassino, gdzie z uwagą śledzono wszystko, co mogło osłabić władzę króla Sycylii – to znaczy, podówczas, Fryderyka II – na ostatni wreszcie w historii cesarzy i papieży, napisanej w 1278 roku, prawdopodobnie w Toskanii.

Poza tym w innych częściach świata nikt, kto parał się utrwalaniem na piśmie doniosłych nowin czy zbieraniem świadectw przeszłości, nie zainteresował się bitwą pod Bouvines. Ani słowa w źródłach skandynawskich, choć trzy z nich wspominają o małżeństwie Filipa Augusta z Ingeborgą. W samej Francji, po przekroczeniu linii Loary, napotykaamy całkowite milczenie. Nic lepiej nie świadczy o grubości muru, jaki dzielił wówczas królestwo na dwoje, niż ta świadoma obojętność. Żadnego echa na terenie Jury, w Alpach, w Prowansji. Jedna spóźniona wzmianka w spisanej przez albigensa Wilhelma z Puylaurens historii, inna w Poitiers, jeszcze inna w Bordeaux, ostatnia w wielkim klasztorze katalońskim w Ripoll; Akwitania w przeważającej mierze pozostaje obojętna. Jej uwaga skierowana jest na Muret, na „sprawę pokoju i wiary”, którą Szymon z Monfort i krzyżowcy usiłują w imieniu papieża bezlitośnie rozstrzygnąć, ochoczo paląc na stosie katarów. Weźmy przykład Bernarda Itier, mnicha zajmującego się księgozbiorem w Saint-Martial w Limoges, na skrzyżowaniu szlaków wielkich pielgrzymek, a więc i wszelkich informacji. Jest to doskonały punkt obserwacyjny. Sam Bernard bynajmniej nie był głupcem. Na marginesie manuskryptów odnotowywał fakty, które zwróciły jego uwagę w ciągu roku. Wiele wydarzeń zdało mu się godnych uwagi w 1214 roku: śmierć jednego z wielkich dobroczyńców klasztoru, śmierć biskupa Poitiers, przyjęcie nowego brata, który ofiarował był zgromadzeniu liczne księgi, jakość winobrania, właśnie, jakie rozdzierały podówczas konkurencyjny zakon

z Grandmont, walka, jaką wydano owego roku heretykom i lichwiarzom, pertraktacje panów prowincji Limousin z Janem bez Ziemi, ogłoszenie nowej krucjaty, wprowadzenie nowego nabożeństwa ku czci Najświętszej Panny, zgon opata, budowa filaru w klasztorze, wreszcie podmuch silnego wichru, który w wilię świętego Andrzeja powyrywał kamienie z dzwonnicy. Natomiast nie wspomina słowem o Bouvines. W Europie, poprzecinanej szlakami wędrownych kupców, zastępami zdążających na turnieje rycerzy i grupami pielgrzymów, gdzie na synody zjeżdżali kościelni dostojnicy z końca świata, którą przemierzały nieustannie gromady biedoty szukające drogi do Jerozolimy, gdzie nowiny, biegnąc od młyna do gospody, dochodziły aż do pionierskich szeregów krzewicieli wiary, odgłos bitwy, w której starły się cztery wielkie potęgi chrześcijańskiego świata i w której Bóg zdecydował o ich losie, mógł łatwo dotrzeć aż do Kampanii, po granice Węgier, po brzegi walijskiego morza. Albowiem pochwytyły go aż tam uszy obdarzone już pewną polityczną wrażliwością. Tymczasem u bram Orleanu czy Chalonsur-Saône to echo ginęło za murem obojętności, odgradzającym od wszystkiego, co dotyczyło „Francuzów” – obcych, nic nie wartych ludzi. O kilka zaledwie mil od pól Cysoing niektórzy pozostali głusi: z toczącej się owego roku wojny kronika położonego pod Dunkierką klasztoru odnotowała jeden zaledwie epizod — zniszczenia, jakich dokonał Ferrand hrabia Flandrii na ziemiach Arnulfa z Guines.

Spośród dziewięćdziesięciu dwóch świadectw, siedemdziesiąt pięć zawiera się w kilku linijkach. Dziewięć z nich zadowala się jedynie usytuowaniem wydarzenia w przestrzeni i w czasie. Dziesiąte dodaje bez żadnego komentarza, że była to niedziela. Kiedy relacje stają się nieco mniej lakoniczne, to właśnie po to, by podnieść ów fakt: bitwa rozegrała się w dniu, w którym bić się nie wolno. Odnotowało to dziewiętnastu kronikarzy. Niemniej ponad dwie trzecie z nich podkreśla ujęcie przez króla Francji kilku hrabiów. Dwóch powiada, że było tych hrabiów pięciu, ośmiu zaś, że było ich czterech. Natomiast siedmiu mówi tylko o jednym, hrabim Flandrii; szesnastu dorzuca hrabiego Boulogne, zaś dwudziestu trzech wymienia jeszcze trzeciego jeńca, hrabiego Salisbury. W sumie, wzięcie do niewoli hrabiego Flandrii stanowi sedno wydarzenia, jego istotne jądro i w całej nowinie jest tym, co najbardziej uderzyło współczesnych. Ucieczka Ottona zwróciła mniejszą uwagę: pisze o niej zaledwie połowa kronikarzy. Ośmiu natomiast, z czego pięciu pisało na ziemiach Cesarstwa, skupia się wyłącznie na niej. Sześciu uważa za konieczne wspomnieć, że nad cesarzem ciąży klątwa. Pięciu ponadto wdaje się w pobieżny szacunek sił. Ośmiu zaznacza, że liczba jeńców była wyjątkowo duża. Tu i ówdzie spotykamy kilka dodatkowych informacji: w Liège wymienia się Fryderyka II, w Dijon – księcia Burgundii, jeszcze gdzie indziej wspomina się o niewielkiej liczbie zabitych, o radości ludu po zwycięstwie. Dwie spośród tych krótkich relacji błędnie umieszczają na scenie księcia Ludwika.

W podobnym świetle przedstawia wydarzenie siedemnaście bardziej rozwiniętych opisów. Żaden z nich, naturalnie, nie pomija wziętych do niewoli hrabiów: najwyraźniej Bouvines sprowadzało się przede wszystkim do tego. Większość mówi o trzech: hrabiach Flandrii, Boulogne i Salisbury; kilka nieco obszerniejszych dodaje, chyba ze względu na jego dziwaczne przezwi-  
sko, „kosmatego hrabiego” Holandii. Natomiast dominikanin Wincenty z Beauvais, zaufany świętego Ludwika, opisując bitwę w swym *Zwierciadle historycznym* i opierając się – jak twierdzi – na świadectwie jeńców, wymienia tylko Ferranda z Portugalii i Reginalda z Dammartin. W rzeczywistości bowiem streszcza, dość uczciwie, Wilhelma Bretończyka. Żaden z tych rozwiniętych opisów nie przemilcza ucieczki cesarza: epizod ten zdaje się drugim co do ważności spośród elementów, na których wsparła się pamięć. Poza tym jedenaście relacji streszcza słowa królewskiej przemowy; dziesięć podkreśla złamanie pokoju świętego dnia, wspomina o pięknym ordynku oddziałów, kładzie nacisk na niesłychaną obfitość łupu, który dzięki bitwie zdobyto; dziewięć przypomina również, że Filip August został wysadzony z siodła. Mimochodem mowa jest o trzech „dzielnych” koniach, które, poświęcając jeden po drugim swe życie, pozwoliły Ottonowi uniknąć niewoli.

Analiza ta pokazuje, do czego sprowadzał się ówczesny szkic wydarzenia: król Francji wziął do niewoli hrabiego Flandrii i kilku innych, a także znaczną liczbę rycerzy; powalony na ziemię, dźwignął się, ażeby zmu-

sić do ucieczki „fałszywego” cesarza, obłożonego kłębami; działo się to w niedzielę A kiedy pamięć wyraża się w swej najprostszej postaci, zachowuje tylko datę – rok 1214, i nazwę mostu na małej flandryjskiej rzeczce.

\* \* \*

Wszelako wydarzenie pozostawiło również gdzieś tam mniej powierzchowne ślady. Powstawały relacje, które bądź wyolbrzymiły wspomnienia, bądź je wypaczyły. Wyolbrzymienia były przede wszystkim dziełem tych, którzy służyli królowi Francji, deformacje zaś – tych, którzy mu nie sprzyjali. W Niemczech, gdzie większość pisarzy słowem nie wspomniała o klęsce, która, według kroniki z Lautersberg w Miśni, na pośmiewisko Galów wydała niemieckie imię, kilku uznało wszakże za swój obowiązek donieść o niej, jakkolwiek uczynili wszystko, by ją ukazać w mniej upokarzającym świetle. W opactwie Ursperg, w Szwabii, mnich zajmujący się podówczas spisywaniem historii, pragnął nade wszystko przekonać czytelników, że króla Francji zdjęła trwoga. Nie bez racji zresztą; uprzedzony był przecież o wyjątkowej waleczności wroga, i to przez własnych baronów. W ich usta zostały włożone słowa, które zazwyczaj przypisuje się Reginaldowi z Dammartin, odwrócone tu przez kronikarza, ażeby ocalić teutoński honor: bohaterami, groźnymi rycerzami bez trwogi są nie Francuzi, lecz Niemcy; „taka jest ich *ferocitas*, że wolą polec w walce niżli uciekać w hańbie”. Przerażony król, nie wiedząc, co czynić, miał powierzyć swym rycerzom kierowanie bitwą. Ci

właśnie wszystko rozstrzygnęli, burząc najpierw most i odcinając drogę tym, co gotowali się do ucieczki, ażeby ich zmusić do walki. Co więcej, przy całym ich przerażeniu nie odnieśliby w końcu zwycięstwa, gdyby nie użyli podstępu wobec niezwyciężonego przeciwnika, zwabiając go w pułapkę oraz posługując się „nędzną piechotą i motłochem”. Ustawili pospólstwo uzbrojone w piki w dwóch ukośnych szeregach, tworząc w ten sposób rodzaj sieci, potem zaś, udając ucieczkę, wciągnęli do tej zasadzki prawych i szlachetnych germańskich wojowników. Gdyby nie ów wybieg, nigdy by ich nie pokonali, nigdy by nie doszło do ucieczki cesarza, któremu autor relacji daje za towarzysza odwrotu samego króla Anglii. We fragmencie kroniki książąt brunszwickich czytamy, że Otton nienawidził wojny, że wstrętne mu były łuny pożarów i niedola ludu, że przez trzy lata chwalebnie i w pokoju sprawował rządy, i że przeto należy mu się miano „pokojowego króla i księcia pokoju”, albowiem wydał bitwę wbrew sobie, zmuszony przez złych ludzi.

Spora część angielskich opisów usiłuje, w tym samym duchu, pomniejszyć chwałę Kapetynga. Wilhelma Marszałka nie było pod Bouvines; mimo to rymowana pieśń na jego cześć mówi o bitwie, również twierdząc, że Francuzi byli przestraszeni, że nie byli skorzy do walki i oczekiwali nocy, by ratować się ucieczką. Reginald z Dammartin słusznie radził, by nie atakować, zanim ci tchórze zaczną się wycofywać; można było w ten sposób bez trudu zająć ziemię i zwrócić je królowi Anglii i cesarzowi. Ten ostatni miał ze sobą zaledwie

czwartą część swego wojska. Francuzi odnieśli zwycięstwo, ponieważ byli czterokrotnie liczniejsi. Gdyby Otton poczekał był do następnego dnia, okryłby się wielką chwałą. Prawdziwym bohaterem dnia stał się Anglik, hrabia Salisbury, który doradził cesarzowi, by się wycofał, po czym, w swym wielkim oddaniu, dał się pojmać zamiast niego. W swym *Kwiecie historii*, pisanym między rokiem 1219 a 1225, Roger z Wendover, mówiąc o wydarzeniach z lat 1193–1216, daje mniej stronniczy, dobrze udokumentowany opis bitwy pod Bouvines, do którego wielokrotnie sięgali inni trzynastowieczni historycy angielscy. Dostrzegł on, że król Filip August wspierał się na trzech „stanach”, to znaczy na hrabiach, baronach i rycerzach, którzy go otaczali, lecz również na konnych i pieszych pachołkach, na wiejskich i miejskich komunach, które dawały mu poparcie ludu, podczas gdy zewsząd rozbrzmiewały modły biskupów, kleryków i mnichów, nie ustających w śpiewach i mnożących nabożeństwa na intencje „losów królestwa”. Lecz jego zdaniem przeciwnik Jana bez Ziemi, mimo tego wsparcia, był niespokojny, obawiał się, iż nie zdoła się obronić, wiedząc, że książę Ludwik jest w Poitou z licznym wojskiem. Toteż król, ogarnięty paniką, miał nakazać zburzyć most na tyłach, ażeby odebrać sobie samemu i swym ludziom wszelką szansę odwrotu. Skrył się ponoć był za osłoną wozów, wzniesioną wokół jego bojowego stanowiska. Roger dostrzegł równie wyraźnie, jak wielką lekkomyślnością ze strony sprzymierzonych było wydanie bitwy polnej w niedzielę. Jednakże w jego mniemaniu Reginald



z Dammartin nie był jedynym, który odradzał „stawać do niegodnej walki w tym świętym dniu” i „zbrukać go zabijaniem i rozlewem krwi ludzkiej”. Darzy sympatią Ottona, który jest po części Plantagenetem. Toteż według jego relacji cesarz miał powiedzieć podczas rady, iż jeśli się rozpocznie bitwę w tym świętym dniu, to nie należy się spodziewać pomyślnego jej wyniku. Otton uległ ponoć namowom bluźniercy Hugona z Boves. I podczas gdy Filip August – od niechybnej śmierci ocaliło go tylko poświęcenie jednego z rycerzy, a potem z trudem udało się jego towarzyszom wydźwignąć go z powrotem na konia – miał się odtąd na baczności, cesarz, zdaniem Rogera z Wendower, sam chwalebnie dźwigał cały ciężar walki po haniebnej ucieczce Hugona z Boves; bronił się mężnie, „dzierżąc miecz, zaostrzony niczym sztylet, tnąc na prawo i lewo, zadawał wrogom oburącz ciosy nie do odparcia. Zdumienie ogarniało tych, których dosięgały, gdy powalał na ziemię jeźdźców wraz z wierzchowcami.” Trzy konie pod nim legły, lecz zostały zabite kopiami rzucanymi z daleka przez Francuzów, którzy nie śmieli przybliżyć się. Za każdym razem podnosił się, znów siadał zwawo na siodło i ruszał na wroga z niespotykaną walecznością. Nie ma tu mowy o ucieczce na oślep, i porzuconych insygniach. Otton miał opuścić pole walki wraz z towarzyszami „niepokonany”, odparłszy wszystkie ataki wroga, przy czym „ani on, ani jego żołnierze nie ponieśli większego uszczerbku”. Jeśli idzie o króla Jana, nie mógł on ponoć nade wszystko odżałować czterdziestu tysięcy marek, które poszły na marne, i miał stwierdzić

z goryczą, iż nic dobrego mu się nie przytrafia, odkąd pojednał się z Bogiem i uznał za lennika Kościoła rzymskiego.

\* \* \*

Czy można mieć pewność, że wersja Rogera z Wendower jest w całości fałszywa? W każdym razie każe nam się zastanowić, czy to nie Wilhelm Bretończyk upiększył, ku chwale swego władcy, obraz wydarzenia. Może legenda wkradła się już do jego kroniki, do opisu, który wybrałem jako świadectwo najwierniejsze, najbardziej bezpośrednie, najczystsze? Tak czy inaczej, zaledwie powstała ta pierwsza relacja, Wilhelm, uważany odtąd za nadwornego piewcę kapetyńskiego zwycięstwa, szybko wrócił do tematu, pragnąc rozśławić jeszcze uroczyściej triumf króla Francji, wznieść jeszcze wspanialszy literacki pomnik i, niczym Wergiliusz Eneaszowe, uwiecznić czyny Filipa. W 1214 roku zaczyna tworzyć *Filipidę*, obszerny poemat – będzie liczył blisko dziesięć tysięcy wierszy – i pracuje nad tym dziełem bez pośpiechu, mozolnie, w skupieniu. Po trzech latach gotowe są trzy pieśni; w roku 1224 ukończona zostaje druga wersja, złożona z dwunastu pieśni, która zostanie przełożona prozą na francuski przed końcem stulecia. Ze wszystkich stron tego panegiryku, którego lektura jest dla nas dziś niestrawna, wyzierają, jakby na innym planie, pierwsze zarysy mitu.

W rzeczywistości bowiem głównym tematem *Filipidy* jest Bouvines. Opis bitwy zajmuje trzy ostatnie

pieśni poematu i zamyka go. To właśnie wydarzenie znaczy kres całego panowania, wieńczy wszystkie godne uwagi wypadki, jest zakończeniem historii, jaką było życie sławnego króla Filipa. Widać wyraźnie, że siedem tysięcy poprzedzających wierszy ma jedynie na celu pokazanie wstępu do zwycięstwa, wyjaśnienie wolno nawarstwiających się faktów, które, krok po kroku, przez trzydzieści pięć lat, przygotowały i umożliwiły tryumf. Pierwszy z nich, początek wszystkiego, to niepodważalny wybór przez Boga i dzień koronacji. Później dzieło wstępnego oczyszczenia, aby usunąć z królestwa wszystko, co je brukało: wygnanie Żydów i palenie tych, co się ociągali z wyjazdem, ukaranie tych, jakże licznych, którzy przysięgali bez wiary na imię Pana, wznoszenie stosów, by oczyścić ogniem świat heretyckiej zarazy. Następnie walka, jaką wydał ten namiestnik Boży prześladowcom Kościoła – hrabiemu Sancerre, księciu Burgundii; rzeź siedmiu tysięcy *cottereaux* w Berry, przypisywana – niezgodnie z prawdą – królewskiej armii. Monarcha wkracza na polityczną scenę w całym splendorze, otoczony łuną płomieni i bryzgami krwi z mocy mściwych wyroków Wiekuistego. Siedem następnych pieśni opisuje zmudną walkę z Plantagenetami, zepsutym, demonicznym rodem, który wydał króla Jana. Ten, począwszy od ósmej pieśni, jest potępiony: to sprzymierzeniec heretyków, owych katarów, których obecność zatruwa południowe ziemie królestwa. Król Francji wspomaga krzyżowców w zwalczaniu tej herezji, gdy Jan martwi się, iż nie jest w stanie przyjąć jej skuteczniej z pomo-

cą. Zwyciężony, kieruje swą złość przeciw Kościołowi – temu dobremu, rzymskiemu, katolickiemu, zaś bogobojny król Filip garściami czerpie ze skarbcza, ażeby wesprzeć świątobliwych kanoników, wygnanych z Anglii przez bezbożnego władcę. Na scenę wkracza wówczas drugi niegodziwiec: Otton Brunszwicki. Sieje zniszczenie w samym Rzymie, prześladując pielgrzymów, zabierając im pieniądze; posuwa się nawet do tego, że zabrania świętych pielgrzymek do grobu apostołów i do Ziemi Świętej. Przepęlnia to Filipa wielką boleścią: rozpacza w pieśni dziesiątej i chcąc pomścić święty Kościół, postanawia uderzyć na „schizmatyków”. Ostatnia zniewaga, jakiej doznaje od hrabiego Boulogne, utwierdza go w tym zamiarze. „Wódz dzieci Francji” oznajmia w Soissons kościelnym dostojnikom i żołnierzom, że wyruszy, by ukarać obydwu wyklętych, Jana bez Ziemi i cesarza, że narazi się na niebezpieczeństwa morza, nie bacząc na nic, by tylko przywrócony został w Anglii prawdziwy kult Boga, wstrzymany od siedmiu lat. Wreszcie nadchodzi dzień spotkania pod Bouvines.

Wilhelm Bretończyk trzyma się dość wiernie swego poprzedniego opisu walki. Wykorzystuje zebrane tymczasem informacje, by uściślić kilka bitewnych epizodów. Lecz odmienny jest zwłaszcza ton, jaki przyjął i któremu dał się porwać. Walka przybiera rozmiary epepei. Staje się monumentalna („otwarte bramy miasta Gandawy wyrzucały tysiące oddziałów”). Okrutna: dochodzi do niej na terenie, którego sama nazwa świadczy, że był jakby do tego stworzony (od strony za-

chodniej Sanghin to „krew”, zaś Cysoing, na wschodzie, to „rzeź”), więc starcie przeistacza się w masakrę. Zaledwie się rozpoczęło, a już rycerze padają pod ciosami walecznych pachołków z Soissonnais: „Bellone rozdaje na wszystkie strony śmiertelne razy, a ręce jego, pierś, szaty, oręż ociekają krwią.” Poetycka forma wymaga należytej emfazy, i oto przewaga przeciwnika rośnie ponad miarę: sami towarzysze hrabiego Flandrii są o kilka tysięcy liczniejsi od ludzi króla; Francuzi wstawili się dlatego, że zwyciężyli walcząc jeden przeciwko trzem. Najważniejsze jednak są ozdobniki, bukiety epitetów, co zakwitają, jak barokowy ornament, na surowym tle wyjściowej wersji. Wyretuszowany, upiękaszony, pełen drobnych, acz niezliczonych przekształceń pierwotny obraz, sam już niezbyt wierny prawdzie, oddalił się od niej jeszcze bardziej, otwierając drogę cudowności. Z wolna, w ledwo wyczuwalny sposób – zbyt wielu bowiem świadków żyje jeszcze, kiedy Wilhelm kończy swe dzieło i ich pamięć nie jest aż taka krótka – punkt widzenia przesuwa się. To niedostrzegalne przejście dokonuje się głównie na trzech płaszczyznach, poprzez dyskretne zmiany, pod naciskiem ideologii panującej wówczas na dworze Francji.

Jest to najpierw nieznaczna zmiana oświetlenia. Podkreśla ono teraz kontrasty światłocienia, jak na płótnach Caravaggia. Bitwa nadal wygląda jak u Uccella – widać gigantyczny pióropusz na hełmie hrabiego Boulogne i wołty rumaków – lecz nabiera tragizmu. Żli są czarniejsi niż kiedykolwiek. Byli odrażający, wydają się jeszcze ohydniejsi. W obozie rozpustników, zada-

waczy uroków i chciwców, najgorsi są ci, których nie wydała ziemia królestwa – obce sfory nasłane przez Cesarstwo: okrucieństwo przyszło z Brabantu, zdrada zrodziła się w Hainaut, furia w Saksonii. Wszyscy nieprzyjacielscy wodzowie są rozdęci pychą, pewni zwycięstwa. Przewidzieli wszystko. Kazali ciurom naznosić stosy sznurów i oczyma duszy widzą już spętanych nimi jeńców. Mają pod swymi rozkazami mrowie piechurów: z nich to Otton czyni potrójną palisadę, by lepiej osłonić własną osobę. Co więcej, są to obłudnicy: Wilhelm Bretończyk powtarza pogłoski mówiące o krzyżach, z którymi się obnosili, udając rycerzy Boga. Żądni krwi, w swej podłości pragną zabić króla. Żądni łupu, myślą tylko o rabunku; uważają się już za panów kapetyńskich ziem, które między siebie podzielili, oraz owych zacnych miast, które, na ironię losu i aby dopełniła się zemsta Boża, zwycięzca przeznaczy na miejsce ich niewoli: Château-Landon i Mantes dla dwóch niemieckich hrabiów, Dreux dla Wilhelma Długiego Miecza, Péronne dla Reginalda, i ni mniej ni więcej tylko Paryż dla Ferranda, najświetniejszej zdobyczy. W długiej przemowie, włożonej w usta cesarza przez autora poematu, Otton odsłania swe prawdziwe oblicze: oblicze Antychrysta. Czyż nie zamyśla wywrócić świata na opak, czując się jego jedynym władcą, zburzyć ład państw i władzy, wreszcie uczynić z duchownych nędzarczy? Ze zdumiewającą naiwnością Wilhelm przytacza w szczegółach ów projekt reformy Kościoła: jako przyszły kanonik, już podówczas żyjący dostatnio, uważa go za wstrętny. Problem dla niego nie istnieje: Kościół

ma prawo jeść tłusto i odziewać się chędogo. Filip, jego pierworodny syn, weźmie w obronę jego dobrobyt, przywileje, wszystkie nadużycia, jakich dopuszcza się na pracującym ludzie, ażeby żyć jeszcze wygodniej. To pierwsza misja, jaką nakłada na monarchę sakra. A ponieważ wywiązuje się z niej bez zarzutu, Bóg i jego kapłani błogosławią zacnego króla Filipa, świętego króla Filipa, którego godło, nader proste – *oriflamme* – złotoczerwony proporzec, „całkiem jest podobne do chorągwi, niesionych zazwyczaj w dniach kościelnych procesji”.

To pierwsze przesunięcie pociąga za sobą drugie, lecz tym razem wyraźniejsze są zmiany w inscenizacji. Cała akcja *Filipidy* skupia się w jednym węźle dramatycznym: w pojedynku, który toczą ze sobą obydwaj wodzowie, pojedynku Boga z Szatanem. Król Francji całym sercem pragnął tego spotkania i gorliwie się doń przygotowywał. Filip zmieniony jest tu nie do poznania. To już nie ów stary, przebiegły wódz, znany z historii prawdziwej – przezorny, nieco podupadły na zdrowiu, unikający walki z obawy przed zadyszką i zbyt wielkimi stratami, który nie miał odwagi postawić wszystkiego na jedną kartę i który 27 lipca pragnął tylko jednego: zaszyć się w bagnach i wznowić wojnę dopiero wtedy, gdy zmniejszy się ryzyko. Bohater *Filipidy* to rycerz bez trwogi i skazy. Nigdy się nie cofnął, a jeśli udał odwrot, to dlatego, że chciał wydać bitwę na odkrytej równinie, na polu, które obrał od dawna jako najbardziej odpowiednie dla wielkiego sądu Bożego. Cóż bowiem rzekł na radzie, kiedy baronowie, mniej

niż on podobni Bayardowi, nalegali, by kontynuować odwrót?: Oto sam Pan zsyła mi to, czegom pragnął. Oto Bóg w swej łaskawości udziela nam więcej, niżśmy śmieli sobie życzyć, ponad nasze zasługi i oczekiwania. Oto ci, których niegdyś usiłowaliśmy dostać w nasze ręce, ścigając ich po dalekich drogach i bezdrożach, zostali, za sprawą miłosiernego Pana, przyprowadzeni ku nam, by mógł On, raz na zawsze, zniszczyć naszymi rękami swych wrogów. Naszymi mieczami odetnie On członki nieprzyjaciół swoich; uczyni z nas swój oręż; On uderzy, a my będziemy toporem; On będzie wodzem bitwy, a my Jego żołnierzami. Pełnomocnictwo dające tyle niszczycielskiej siły wprawia Kapetynga w uniesienie. Na to czekał i pragnie okazać się godny swej misji. Ledwie rozpoczęło się starcie, rzuca się naprzód, ażeby dotrzeć do swego adwersarza, ażeby wreszcie się z nim zmierzyć. Ponieważ Otton ociągał się i nie spieszył, by atakować pierwszy francuskiego króla, przeto ten, niecierpliwy, nie mogąc ścierpieć najmniejszej zwłoki i pałając żądzą walki, śmiało rusza pomiędzy teutońskich piechurów. Zapuszcza się w sam środek niemieckiej dziczy, nie zważa na godzące weń sztylety, gardzi niebezpieczeństwem; wspaniały, pada powalony podstępными ciosami. Natychmiast się podnosi i znów zmiata przeszkody, nie mogąc wszakże się wydostać z bitewnego zamętu. Ani jeden, ani drugi nie mógł utorować sobie drogi, tak gęsty był tłum, tak ściśle byli ze sobą spleceni wojownicy. Okrutne rozczarowanie: Bóg nie zechciał spełnić najgorętszego pragnienia monarchy: stanąć twarzą w twarz z cesarzem



i niczym Eneasza stoczyć pojedynek z tym nowym Turnusem.

Jak wspomniałem, ewolucja w kierunku mitu wynikała z trzech sprzężonych ze sobą przesunięć. Pierwsze ma charakter manichejsko-tragiczny: za jego sprawą Bouvines jest centralnym elementem nieustającej krucjaty – krucjaty dobra przeciwko złu. Drugie, o podobnym charakterze, wysuwa na plan pierwszy sąd Boży i utożsamia całą bitwę z liturgią takiego pojedynku. Ostatnie natomiast, decydujące, czyni ze zwycięstwa Boskiego faworyta tryumf narodowy. Jeśli król Francji odziany jest w *Filipidzie* w strój Eneasza, to nie tylko dlatego, że autor poematu jest pedantem i naśladuje Wergiliusza. Od bardzo dawna sądzi się – Fredegar pisał o tym w swojej kronice już w VII wieku – że Frankowie wywodzą się od Trojan. Otóż Filip nie walczy dla siebie, lecz dla sprawy – dla sprawy wszystkich „dzieci Francji”. Stawką pojedynku jest już nie tylko dziedzictwo władcy czy ukaranie pyszałków i heretyków, lecz losy całego narodu, wybranego, by przewodzić światu.

Do poetyckiej apoteozy Bouvines wkracza triumfalnie duch jedności, jedności – nie wahajmy się użyć tego słowa – narodowej. Jedyni prawdziwi bohaterowie, wojownicy „kipiący męstwem”, to „synowie Francji”. Jakaż to Francja? Oczywiście prastara ojczyzna Franków, Francja Paryża, Etampes i Senlis. Francja opactwa Saint-Denis. Najwybitniejsi współtwórcy zwycięstwa, rycerze, których zbiorowa sława jaśniała na wszystkich turniejach, zrodzili się właśnie na kape-

tyńskiej ziemi, w umiłowanych stronach Chlodwiga i Dagoberta. Żaden z nich nie pochodził z Bretanii czy Akwitanii. Jednakże Francja *Filipidy* jest w rzeczywistości nieco rozleglejsza. Bitwa pod Bouvines odbyła się bowiem w czasach głębokich przeobrażeń. Od dziesięciu lat na dyplomach wydawanych przez królewską kancelarię Filip August tytułował się nie królem Franków, lecz królem Francji. Całe królestwo dążyło do utożsamienia się ze Słodką Francją – ojczyzną swych władców. W czasie gdy rycerze z Parisis zaczynają podporządkowywać sobie Langwedocję, gdy Plantageneci wycofują się do Saintonge, niedostrzegalna zmiana w znaczeniu słowa wyrażała rozszerzenie pewnego obrazu w ramach ideologii, która zręcznie przystosowywała się do idei umocnienia państwa, służąc jej za podporę i usprawiedliwienie. Wilhelm Bretończyk, gorliwy sługa, fanfarami swej epopei pragnął wyrazić poparcie dla tych wszystkich działań, które służyły królewskiej polityce. Za chwilę rozpocznie się bitwa. Brat Guerin zagrzewa do boju szeregi rycerzy. O czym mówi? O ich rodzie: Zwycięski na wszystkich polach, zawsze umiał zniszczyć wroga.

To przypomnienie wspólnoty krwi, afirmacja etnicznej wyższości, zagranie na strunach utajonej ksenofobii są skierowane przeciwko ludziom z Flandrii, którzy są wprawdzie mieszkańcami królestwa, lecz ich hrabia wywodzi się z Portugalii, kraju czarownic, a ponadto, w większości używają germańskiej mowy, co wystarczy, by stali się nienawistni. A także przeciwko „synom Anglii, których bardziej pociągają swymi uro-

kami rozkosze rozpusty i dary Bachusa niżli laury groźnego Marsa”, a przeto wiadomo, że umkną zaraz co sił w nogach. Lecz przede wszystkim przeciwko Teutonom. Dwaj faworyci pojedynku, dwaj królowie szachownicy, to król Francji i król Niemiec. Trzeba zatem, by owo starcie dwóch monarchii stało się potwierdzeniem świadomości narodowej. Podczas wojny siłą Germanów, barbarzyńców, jest „furia”. Pogańska i dzika to cnota – cnota Wodana i dawnych bogów. Niemcy są groźni tak, jak groźni są drapieżcy w puszczy. Brak im prawdziwego francuskiego męstwa, które płynie ze szlachetności serca. Widać to wyraźnie: idą pieszo, niczym pospólstwo. „Wy, synowie Galii, walczyście zawsze konno.” Naprzód! Jeśli zawadza wam ludowa piechota, stratujcie ją – po pańsku. A ów obłudny zdrajca i rozpustnik, hrabia Boulogne, który paraduje z pióropuszem wielkim jak chorągiew – jeśli walczy z takim męstwem, jeśli jest tak bystry w radzie, jeśli okazuje tyle dzielności, zręczności i rozwagi, to dlatego, że choć zboczył z drogi prawdy i dał się zwabić Szatanowi do wrogiego obozu, nie jest ani Flamandem, ani Anglikiem, ani Teutonem: urodził się w Dammartin, na francuskiej ziemi. Wrodzone męstwo, jakie pokazywał na wojnie, niezbitie dowodziło, iż począł się był z francuskich rodziców. I choć przez swój błąd upadł w twych oczach, nie wstydz się go, Francjo, i niechaj rumieniec nie oblewa twego czoła! Dobra krew nie kłamie. W górę serca! Dmąć we Wszystkie fanfary, autor *Filipidy* rzuca do boju nieustraszonych.

Po co? Bynajmniej nie po to, by rozstrzygnęli w bitwie ciągnące się od lat wewnętrzne, feudalne spory. Nie po to nawet, by przesądzili, który z dwóch władców – cesarz czy król – może pretendować do przewodzenia chrześcijańskiemu światu. Chodzi po prostu o to, by zmusić Teutonów do przyznania, iż „są gorsi od Francuzów i nie mogą się z nimi równać w marsowej sztuce”. Pojedynek toczy się już nie pomiędzy dwoma monarchami, lecz pomiędzy dwoma narodami. Hrabia Boulogne, znarowieni wasale Płantagenetów – i oni zresztą są „dziećmi Galii”. Flamandowie, Anglicy grają drugorzędną rolę. Białe i czarne figury to odtąd Francuzi i Niemcy. Król Francji – nowy Eneasze, dziedzic Karola Wielkiego, tego, który miał obrać sobie za chorągiew złoto-purpurową *oriflamme*, który w swej wielkiej mądrości ukarał już był Saksonię i „z pomocą francuskich, mieczy okrył ją wstydem” – kieruje w *Filipidzie* swoje mowy do potomków Trojan; traktuje ich tak, jak legendarny cesarz traktował swych parów. Rycerzom tym, których duma i cała świadomość historyczna karmi się genealogią, także przypomina o przodkach, rasie, rodowej cnocie. Ale żeby ich scalić w jeden naród, nawiązuje do głównych motywów opowieści i poematów wyśpiewywanych na zgromadzeniach rycerskiej „młodzi”, do starożytnych treści eposu o Eneaszu, do francuskich treści *chansons de gestes*. W eposie Wilhelma Bretończyka ideologiczne wyolbrzymienie nie dotyczy właściwie roli króla. Sławi się ją, lecz w sposób pośredni. Nie powtarza się tu tego, co wszyscy dobrze wiedzą, a mianowicie, że osoba króla

jest święta, że nikomu nie wolno nań podnieść ręki, że wydając bitwę, władca kładzie na szalę nie tyle swe własne życie, co honor królestwa i korony. Natomiast przedstawia się zwycięstwo monarchy jako tryumf całego narodu.

W ostatniej części poematu wiktoria Filipa Augusta jest na miarę Pompejusza, Cezara, Wespazjana i Tytusa. Podniósł porzuconego na bitewnym polu orła; Cesarstwo znalazło się w jego rękach. Naturalną kolejną rzeczą triumfalny pochód prowadzi go do Paryża – nowego Rzymu dla nauczycieli i uczniów. Lecz jego zwycięstwo donioślejsze jest nawet od zwycięstw starożytnych cesarzy, bowiem nie dotyczy tylko jednego miasta; uczestniczy w nim, jednocząc się w głębokiej komunii, cały organizm królestwa, aż po najdalsze jego krańce. Jest niczym rzęsisty, docierający do głębi deszcz chwały. Jedno zwycięstwo rodzi tysiąc tryumfów [...] w każdym mieście, w każdej wiosce, w każdym zamku.” Wspólna radość zaciera nawet granice pomiędzy stanami. Ludzie wszelkiej kondycji, „bez różnicy majątku, stanu, płci, rzemiosła, wieku radosne hymny śpiewają”. Unisono. Znikają nawet, na pewien czas, różnice w stroju, który był wtedy wyznacznikiem pozycji społecznej i mówił o klasowej przynależności: „Rycerz, mieszczanin, wieśniak jaśnieją w szkarłatach.” Jednakże okryci szkarłatnym płaszczem triumfalnym, wszyscy stali się równi. Ku wielkiemu zdumieniu prostaczków, którzy nie mogą się nadziwić, iż przystrojeni są jak sam cesarz: sądzili, „że zmieniwszy swe szaty, człowiek sam się zmienia”. Stało się tak

istotnie na chwilę, dzięki zwycięstwu. Zmieniło ono sens obrzędów, przekształciło święto żniw w święto wolności, równości, braterstwa, w pierwsze święto narodowe. Nie było to naruszeniem kosmicznego porządku, przewrotem, owocem złośliwych intencji – takich, jakie kierowały Ottonem. Przeciwnie, niebiosa dały swoje błogosławieństwo. Na pewien czas – tak krótki jak czas wielkich świąt – powstało społeczeństwo doskonałe, społeczeństwo wybrańców. W ten sposób drugi opis Bouvines sytuuje się w bardzo starej, eschatologicznej perspektywie. Zwycięstwo jest jakby ponownym chrztem. Zmyło grzech, zmyło nieczystość, jaką było usprawiedliwianie nierówności, wyzysku ludzi pracy przez innych ludzi. Łaska Pana i męstwo monarchy uczyniły z królestwa utracony raj. Triumfalny orszak jest hołdem dla kapetyńskiej monarchii, lecz także dla narodu, a może najbardziej dla ich przymierza. Także nie wiadomo już było, czy bardziej król miłował swój lud czy też lud króla. Odbywała się między nimi jakby rywalizacja w przyjaznych uczuciach i zastanawiano się, kto komu był droższy, u kogo miłość występowała z większą mocą, tak tkliwy był afekt, który ich łączył najczystszymi więzami.

\* \* \*

Po śmierci Filipa Augusta, zmarłego w czasach pokoju, przez trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt kolejnych lat XIII wieku pamięć o wydarzeniu pozostała niezwykle żywa. Wówczas właśnie postanowiono umieścić na bramie w Arras napis, który wymieniał

Bouvines w długim ciągu zwycięstw odniesionych przez królów Francji – prawdziwych spadkobierców Karola Wielkiego – nad niemieckimi władcami. Bitwa ciągle wzbudzała zainteresowanie. Powstały nowe relacje, lecz obraz, który przekazywały, ulegał coraz większym zniekształceniom. Przesada tych opisów szła znacznie dalej niż ta, na jaką pozwolił sobie Wilhelm Bretończyk w *Filipidzie*. I tak, Richer, mnich w Senones w Wogezach, donosi w kronice napisanej w latach 1225–1264, że cesarz Otton przywiódł ze sobą dwadzieścia pięć tysięcy jeźdźców, osiemdziesiąt tysięcy piechurów, wielką liczbę wozów załadowanych bronią i prowiantami, i że tego dnia stracił trzydzieści tysięcy ludzi, poległych bądź wziętych do niewoli. Natomiast po stronie francuskiej – prawdziwy cud! – było tylko dwóch zabitych: jeden rycerz i jeden pacholek. Według kroniki z Saint-Martin z Tours, doprowadzonej do roku 1225, według brata Tomasza, franciszkanina, prowincjała z Toskanii, który długo podróżował po Francji w towarzystwie świętego Bonawentury, a pisał w 1278 roku – ludzie króla Francji walczyli już nie jeden przeciw trzem, lecz jeden przeciw dziesięciu. Spośród wszystkich wpływów, jakie usiłowały nadać nowy kształt plastycznej materii wspomnień, najsilniejszy szedł z Saint-Denis. Uległo mu wyraźnie dzieło Filipa Mousketa. W wierszowanej kronice, którą napisał po francusku około 1240 roku, ten amator, wywodzący się z bogatej rodziny urzędniczej z Tournai, wielkie znaczenie nadaje wojennym okrzykom. Każdy z wodzów wznosi swój. „Roma” – wołano wokół Ottona,

„Montjoie-Święty Dionizy!” – wokół Filipa. Samo wypowiedzenie tych trzech słów w magiczny sposób wystarczy, by zachwiały się flamandzkie szeregi: silni nagle słabną, odważni stają się tchórzami, bowiem słowa te śmierć im zadały i na pastwę wstydu ich wydały. A gdy wzniesiono królewski proporzec, zdało im się,

Jakby smoka srogiego ów Dionizy święty  
Zesłał na sposób jaki, ludziom niepojęty,  
Aby ich pożreć, całkiem żywota pozbawić.

Ognista bestia nie znajduje się w obozie zła, lecz jest po stronie króla Filipa i tym razem Bóg ją błogosławi. Również z Saint-Denis czerpał informacje Richer z Senones, okreśną wprawdzie drogą, bo za pośrednictwem przeorstwa położonego nie opodal jego klasztoru. Sprawia to, że pamięć jeszcze bardziej się zaciera: wśród towarzyszy króla Francji figurują hrabia Normandii i hrabia Bretanii. Natomiast źródło to tłumaczy niewątpliwie rolę, jaką odgrywa w opisie Richera królewski proporzec. Filip August szuka wokół siebie kogoś, komu mógłby powierzyć ową chorągiew, która – jak mówiono – od czasów siwobrodego cesarza nie opuszczała nigdy królewskiego skarbcza. „Kto chce nieść honor Francji?” Książę Burgundii wysuwa kandydata – najczystsze, bo wielce ubogiego: ażeby kupić konia i dołączyć do królewskiej armii, musiał zastawić cały swój majątek. Jest nim Galon z Montigny. Odtąd cały opis bitwy koncentruje się wokół świętego proporca i tego, kto go dzierży w dłoni. Lecz to chorągiew raczej go niesie, a nie on chorągiew. Na nic inne-



go nie warto patrzeć. Ani na baronów, ani nawet na króla. To już nie pojedynki, ale ciąg wielkich czynów, których dokonuje ona sama. Sama rozprawia się ze wszystkimi, i to w najdzikszy sposób. W dłoniach Galona znajduje się już nie symbol pewnej liturgii, procesji, lecz mściwa i okrutna broń. Purpurowy jedwab jest spragniony świeżej krwi: sztandar zamienia się w pikę, na wskroś przebija ciało hrabiego Flandrii i wychodzi z rany jeszcze czerwiejszy, ociekając posoką. Po dwakroć jeszcze się w niej zagłębia, by potem, w swym niszczycielskim pędzie, skierować swe ostrze w Ottona. Przedziera się przez tłum, dociera do cesarza, uprzedzając wszystkich. Królewska *oriflamme* rozgramia wówczas cały obóz zła. Ona jedna przynosi zwycięstwo.

Prawdę powiedziawszy, podobne opowieści są już tylko niestworzonymi baśniami. Należy natomiast zwrócić uwagę na fakt, że wciąż rozrastający się mit wzbogaca się o elementy, które dotyczą wyłącznie symboliki monarchii. W opisach z tej epoki pojawiają się dwie innowacje. Do poprzedzającej bitwę liturgii zostają wprowadzone dwa rytualne gesty – gesty, które podkreślają wyraźniej jedność władcy i służącego mu rycerstwa. Pierwszy z tych gestów uwydatnia kapłańską funkcję uświęconego monarchy: to, co w pierwotnej ceremonii było tylko wstępnym oczyszczeniem, przekształca się teraz w ofiarę eucharystii – król Filip ukazany jest w pozie Melchizedecha. Załączek tej transformacji tkwił w malowniczym detalu, który zdobił pierwotną relację: gdy zwiadowcy przynieśli wiadomość o ataku wroga, król Francji pokrzcypiał się nieco

w cieniu jesionowego drzewa – moczył kawałki chleba w winie.

Pierwsze upiększenie pochodzi od Filipa Mousketa, który uwzniośla epizod: miska króla zmienia się w „szczerozłoty puchar”, stając się jakby rytualnym kielichem. Jednak prawdziwy zwrot dokonał się dopiero w opisie Minstrela z Reims, anonimowego autora pieśni, który w dwadzieścia lat później, około 1260 roku, gwoli dostarczenia rozrywki szlachetnie urodzonym słuchaczom, kreśli w samym mieście koronacji wdzięczny obraz Bouvines. Najpierw, był jeszcze rano, Filip wysłuchuje mszy w kaplicy przy moście – mszy pontyfikalnej, którą celebruje dlań biskup Tournai, i bierze w niej udział przybrany w zbroję, w pełnym rynsztunku bojowym. Na zakończenie przynoszą mu obydwie postaci Chrystusowego ciała: chleb i wino. Kroci chleb, ujmuje kawałek, moczy go w winie i je. Zwraca się wówczas do otaczających go towarzyszy w te słowa: „Wszystkich moich szczerych przyjaciół, co są przy mnie, upraszam, by jeść ze mną chcieli, jako dwunastu apostołów z Panem Naszym Chrystusem jadło i piło. A jeśli jest wśród was który, co zdradę knuje szpetną, niechaj z miejsca ku mnie się nie rusza.” Zanim zacznie się męka, ostateczna próba, najcięższe trudy, ofiara dla zbawienia ludu, król odtwarza Ostatnią Wieczerzę i gra rolę Jezusa. Za pomocą gestów komunii on z kolei próbuje zacieśnić grupowe więzy, zgromadzić wokół siebie swych parów. Obawia się Judaszy, pragnie ich zdemaskować. Enguerrand z Couci pierwszy otrzymuje kromkę chleba z rąk celebransa. Następ-

nym jest domniemany zdrajca, Gaucher hrabia de Saint-Pol, przeciwko któremu podburzyły króla „złe języki”. I on je bez wahania, pokazując, iż wyrzeka się zła, i patrząc Filipowi prosto w oczy, zapewnia go, że dziś zobaczy, kto naprawdę jest zdrajcą. Potem nadchodzi kolej hrabiego de Sancerre i wszystkich baronów. Tak wielu się cisnęło, że trudno było „dosięgnąć kielicha”.

Wymowa drugiego upiększenia nie jest równie jasna. Bez wątpienia przede wszystkim chodziło o hymn ku chwale korony; ornamentacja ta, jak wiele innych, mogła zrodzić się w Saint-Denis. Już Filip Mousket wprowadza obraz korony do modlitwy, którą zanosi do niebios król po popołudniowym posiłku. Obraz ten leży w samym centrum. Wzywając Jezusa, Ojca, Syna i Ducha Świętego, Filip błaga o wybawienie od zła jego samego i tych wszystkich, którzy, konno czy pieszo, za nim podążyli. Lecz nade wszystko oczekując od nieba, że chronić będzie jego koronę. O to również prosi usilnie świętego Dionizego: czyż od czasów Karola Wielkiego królowie Francji nie oddali mu się w opiekę, nie uciekli pod jego obronę?

Koronę moją zachowaj więc trwale,  
Boć przecież każdy król Twym jest wasalem,  
Jak o tym Karol Wielki postanowił.  
Przeto rozkazuj mi w potrzebie, Panie

(Oznacza to, że król jest w seniorii świętego jego „przybocznym”, oddanym wasalem).

Mego więc prawa i honoru mego  
Strzec Ty winieneś...

(tak, jak jest to obowiązkiem seniora wobec wasala).

Wreszcie błaga Najświętszą Pannę o to, by „w owym dniu korona nie została utracona”. Prawdę mówiąc, w trosce tej nie ma nic dziwnego. Nowość tkwi gdzie indziej. Daje się uchwycić w jednym wyrażonym miejscu: niektóre opisy, gwoli dodania widowisku siły wyrazu, umieszczają królewskie insygnium na samym polu bitwy. Jak gdyby Filip August, przewidując od dawna, że podczas tej kampanii dojdzie do pojedynku, postanowił, opuszczając Paryż, zabrać ze sobą symbol swej potęgi, wydobyć go z królewskiego skarbcza razem ze sztandarem Karola Wielkiego. Jak gdyby pragnął, by cały ceremoniał bitwy rozwinął się wokół tego przedmiotu. Jak gdyby, powierzając koronie główną rolę, chciał usunąć siebie w cień i uczynić z niej nie tylko stawkę pojedynku, którego miejscem miała być bitwa, lecz także stawkę zawodów, swoistego konkursu dla wszystkich rycerzy kapetyńskiej armii. Oto bowiem, nim nadejdzie chwila prawdy, monarcha pokornie wyznaje im, iż, być może, nie jest godzien, by nieść ów symbol i bronić jego czci. Jeśli ujawni się lepszy wódz, niechaj jemu zostanie oddana korona. Materiałem dla tej ostatniej nad wyraz zręcznej manipulacji, jakiej poddano pamięć o Bouvines, jest przemowa wygłoszona przez Filipa Augusta przed rozpoczęciem walki. Warto przyjrzeć się bliżej, w jaki sposób, po-

przez różne wersje wydarzenia, skrzywienie pojawia się i stopniowo pogłębia.

W relacji Filipa Mousketa ewolucja ta jest jeszcze w załączku. Król przemawia, lecz jego słowa mają być jedynie wyrazem solidarności z rycerzami. Tak jak we *Flandria generosa*:

Wasza droga mą drogą będzie,  
Za wami ja rad dążę wszędzie.

Pragnie zapewnić towarzyszących mu rycerzy, iż nie są dlań zwykłym narzędziem walki, lecz prawdziwymi przyjaciółmi, toteż będzie trwał przy nich w każdej niebezpiecznej chwili. Niechaj go jednak pilnie strzegą, jest bowiem królem Francji. Dobrym królem, który nie zapomni o nich przy podziale łupu i który w zamian ma prawo liczyć na ich „niewzruszone” oddanie. Lub raczej na opiekę. Tak więc wzywa rycerzy, swych pomocników, aby byli strażnikami jego osoby. Ponieważ jest to osoba króla. Wszelako, na wstępie homilii, na widocznym miejscu, pojawia się decydujący element: osoba ta w niczym nie różni się od innych i nie jest od innych więcej warta. Obowiązek roztaczania nad nią szczególnej troski, strzeżenia jej przed niebezpieczeństwami przypadkowych spotkań, wypływa jedynie z godności, jaką nadano owemu kruchemu ciału.

Człowiek jam tylko, szlachetni panowie,  
Lecz nadto i król Francji, więc me zdrowie  
I życie waszej powierzone pieczy...

Richer z Senones idzie tym samym tropem, lecz posuwa się dalej. Filip rozpoczyna swą mowę do rycerzy, „kwiatu Francji, chluby królewskiej korony”, podobnym stwierdzeniem: „Oto widzicie koronę na mej głowie. Lecz jako żem jest takim samym jak wy człowiekiem, nie mogę jej nosić bez waszego wsparcia.” I tu, dzięki scenicznemu zabiegowi, następuje zmiana tonu. Jestem królem”, ciągnie dalej Filip. Co powiedziawszy, zdejmuje koronę z głowy – miał ją zatem na skroniach w owej doniosłej chwili, a więc przygotowania do bitwy przybierają zupełnie inny kształt, właściwy najbardziej wyjątkowym ceremoniom królewskiej liturgii, najokazalszym pokazom majestatu – i wyciąga ją ku rycerzom. „Pragnę – powiada – ażeby każdy z was był królem [Czyżby w ten sposób monarcha-kapłan – czy raczej sam Richer z Senones – chciał nawiązać do *Pierwszego listu świętego Piotra*, w którym wzywa on wszystkich wiernych, by uczestniczyli w królewskiej godności i posłannictwie Chrystusa?]. Bez was nie mogę władać królestwem.” Czyniąc tę podniosłą ofiarę, która jest również formą komunii, lecz tym razem jednoczącą w obliczu odpowiedzialności za wspólną sprawę, gdy nadeszła chwila rozstrzygającego wysiłku, wzywa stan rycerski do zawarcia z nim swoistej umowy. Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, wróg panoszy się na naszych ziemiach. Jeśli będziemy razem, pokonamy go, by potem powrócić, zwycięscy i okryci wspólną chwałą, do domów, do żon, synów i córek, na których życie czyhał nieprzyjaciel. Odpowiedzią jest okrzyk zgody i ślubowanie jednomyślnego

posłuszeństwa. Wówczas król może zakończyć mowę, oznajmiając: „Szlachetni panowie, wszyscy jesteście moimi ludźmi, jam zaś, jakimkolwiek byłbym człowiekiem, waszym władcą.” Słowa te są niczym ostateczne *dictum*, niczym wyrok ogłoszony przez trybunał.

Według Minstrela z Reims początek przemowy brzmi inaczej: król odwołuje się nie tyle do owej chłodnej nieco wierności, jakiej monarcha może oczekiwać od swych poddanych, co do wasalskiego przywiązania. Nadaje to słowom całkiem inny ton: Filip jest najlepszym z seniorów, szczodrym jak żaden i kochanym za swe dary. „Kocham was wielce i honoru waszego strzegę, jako powinno, straty żadnej u boku mego nie poniesiecie, [...] przeto proszę, sercem przy mnie bądźcie i ciałem, a ja tako przy was będę.” Uczynić to mają, dając seniorowi, co nigdy nie uchybił swym powinnościom, zbrojną pomoc, jak to ślubowali przy składaniu hołdu i przysięgi dochowania wiary. Teraz motyw, który rysował się już w relacji Filipa Mousketa, zostaje podjęty i rozszerzony, a jednocześnie na scenie zjawia się korona. „A jeśliby kto mniemał, że jest pośród was kto ode mnie godniejszy, komu by bardziej wypadało koronę nosić niżli mnie, niechaj to powie, a oddam mu ją ochoczym sercem.” Nastąpił decydujący krok: to, co było dotąd wyznaniem pokory, przekształca się w inscenizację abdykacji. Niebezpieczeństwo chwili wymaga w istocie, by role zostały rozdzielone na nowo. Bitwa ma się rozpocząć. Jej przebieg może wystawić na szwank godność królewską. W obliczu tak wielkiego zagrożenia na obrońcę barw Francji winien

być wybrany najdzielniejszy. Ma się odbyć zatem coś w rodzaju elekcji. Lecz to, co dzieje się potem, jest jeszcze bardziej godne uwagi. Żadnego poruszenia wśród słuchaczy, najmniejszego śladu niepewności. Dla zebranych rzecz jest oczywista: najdzielniejszym rycerzem nie może być nikt inny jak potomek Karola Wielkiego. Wszyscy baronowie zalali się łzami wzruszenia i rzekli: „Na Boga łaskawego, panie, żaden z nas króla nad ciebie nie chce. Ruszaj tedy nie mieszkając na wroga, a spośród nas żaden ci nie uchybi i pomrzemy w gotowości u twego boku.” Oto kolejna transformacja: w poprzednich wersjach sam król mówił: „Umrzemy razem.” Teraz jednak obietnica wychodzi od rycerzy, pieczętując pakt.

Dialog pomiędzy królem a *ordo* wojowników zostaje uzupełniony jeszcze jednym elementem przez brata Tomasza. Nie do potężnych wasali, baronów zwraca się tym razem monarcha, lecz bezpośrednio do *parva militia*, do zastępów ubogich rycerzy, jako do swych *commilitones* – towarzyszy walki. Prawda, że góruje nad nimi wszystkimi, lecz tylko z mocy swego królewskiego tytułu. Wielu przewyższa go siłą, bitnością. I oto król ujmuje w dłonie ową koronę, którą nosi ku chwale wszystkich. Tym razem wyzbywa się jej zupełnie – kładzie ją na ziemi, wraca do szeregu i wreszcie pyta: „Zali chcecie jej bronić? Polegnę w samotności, jeśli mnie opuścicie.” Z ust zgromadzonych wojowników pada jedna odpowiedź: „Podnieś koronę. Oddamy życie dla obrony królestwa.”



Te kolejne retusze w inscenizacji mają ukazać, iż osoba króla nie zlewa się z funkcją, jaką pełni i której konkretnym obrazem jest diadem ze szlachetnego metalu – przedmiot nieśmiertelny i niezniszczalny. Przeobrażenia, jakim ulegała z wolna we Francji idea monarchii, zachęcały w naturalny sposób, w połowie XIII wieku, do silniejszego wyrażenia za pomocą takich słów i gestów – podobnie jak w wielu innych miejscach, a zwłaszcza w scenerii katedr – ponadczasowej i dobitnej wartości godności królewskiej. Cóż jednak myśleć o tych znakach pokory i pozorach licytacji w wydaniu nowego Eneasza, który zdaje się zrzekać wszelkich przywilejów i chce się zmieszać z tłumem pospolitych szlachetków? Jaki nadać sens iluzorycznej skromności człowieka, świadomego wszechpotęgi danej mu przez namaszczenie sakry, a nadto, będącego ostatnią latoroślą z drzewa Jessego, którego genealogiczne korzenie giną w mrokach merowińskiego barbarzyństwa; potomka dziesiątków królów, który udaje, że chyli czoło przed waleczniejszymi, zręczniejszymi, bardziej krzepkimi niż on? Co sądzić o postawie tak sprzecznej z afirmowanym z takim naciskiem majestatem w czasach, gdy coraz bardziej umacnia się duch dynastyczny w panującym rodzie, gdy sam tytuł królewskiego syna zaczyna, właśnie w tych latach, zapewniać nietykalność, wyposaża tych, co go noszą, we wszelkie cnoty i w ów magiczny atrybut, który przeznaczają ich na władców? Czyżby autorzy relacji, odpowiedzialni za te uzupełnienia, pragnęli w ten sposób podać w wątpliwość roszczenia wnuków Filipa Augu-

sta? Czyżby upiększenia pojawiające się w ostatnich wykwitach legendy były ukłonem zawodowych pisarzy, takich jak Minstrel z Reims, w stronę publiczności warcholskich arystokratów? Czyżby owi pisarze, ażeby łatwiej zarobić na chleb, stawali się rzecznikami czegoś, co można by nazwać ideologią feudalną? Czyżby chodziło o schlebianie bogatym mecenasom, książętom i hrabiom, parom Francji? W takim razie, po cóż było obniżać poprzeczkę i dopuścić do licytacji najniższe warstwy rycerstwa, *parva militia* młodych poszukiwaczy przygód? I dla jakiego to mecenasa miałby pisać mnich z Senones?

Gdzie indziej, jak mniemam, należy szukać znaczenia symbolu. Czyż nie miał on raczej ukazać wyraźniej, że Bouvines uratowało monarchię francuską? Cóż bowiem naprawdę odgrywa Filip August, gdy kładzie koronę na ziemi, jeśli nie swoją własną śmierć? Na chwilę tron jest wolny. Czyż król nie powinien umrzeć, zanim podda się ostatecznej próbie? Umrzeć, by niebawem powtórnie się narodzić. Tak właśnie jak Filip ponownie ukoronowany. I przeznaczony już na zwycięzcę. Korona dotknęła ziemi, ożywczego gruntu, i zacerpnęła zeń nowych sił. Można było wątpić w szanse króla. Jest w końcu tylko człowiekiem, i to nie najmłodszym, ani najpiękniejszym, ani też najbiegłym w sztuce wojennej. Musi się zanurzyć w rycerskich szeregach niczym w odmładzającym źródle, zniknąć w nich na chwilę, zatonać. Ażeby potem wypłynąć na powierzchnię, oczyszczony przez tę ablucję w falach pełnych kipiącego męstwa i młodzieńczego zapału.

A przynajmniej odmłodzony, pokrzepiony, wzmocniony owym drugim symbolicznym gestem: zgodnym chórem wojowników, okrzykiem, jaki wznoszą razem, by go zapewnić, że nie chcą mu odebrać tytułu, że jeden tylko człowiek ma prawo go nosić – on właśnie. Nie dlatego, że jest od innych silniejszy, ale dlatego, że w jego żyłach płynie krew dawnych królów. Podobnie jak *Koronacja Ludwika*, opis Minstrela z Reims nie jest bynajmniej schlebianiem nostalgicznym aspiracjom baronów do niezależności. Przeciwnie, ma być proklamacją praw Kapetyngów.

Za chwilę Bóg wyda wyrok. Któż może wiedzieć, czy władza, jaką niegdyś – przed trzydziestu pięciu już laty – przekazał Filipowi w dniu koronacji, jest wciąż jeszcze prawomocna? Czy ciągle uważa króla za swego namiestnika? W gruncie rzeczy bitwa jest niczym innym jak oczekiwaniem odpowiedzi na to najważniejsze pytanie. Ma pokazać, czy Bóg podtrzymuje swój wybór. Pytanie to rodzi się w przełomowym momencie dynastycznej historii: dotyczy ono prawa monarchy, który, mocno wsparty na dziedzicznej tradycji, jako pierwszy z rodu nie uznał za konieczne dzielić za życia ze swym najstarszym synem królewskiego urzędu. Bouvines – bitwa polna, sąd Boży – powinno być rozumiane jako confirmacja. Jest ponownym namaszczeniem, tym razem nie krzyżmem świętych olei, lecz krwią – krwią oczyszczającą, którą ociekać wkrótce będzie, w oczach niektórych, królewski proporzec. Otóż, na wzór pierwszej, powtórna sakra winna zostać poprzedzona aprobatą szlachty. W dniu, w którym

wszyscy wielcy wasale królestwa stali zgromadzeni w katedrze w Reims, korona leżała przed nimi, a ten, na którego głowie miała wkrótce spocząć, zwrócił się do nich przedtem o poparcie. Odpowiedzieli mu wszyscy, jak niegdyś ich przodkowie, kiedy unosili na tarczy długobrodego króla – był on bowiem długobrody, co oznaczało jego prawowite pochodzenie. Stan rycerski wyrażał swą zgodę owacją dla tego, którego mieli ukoronować biskupi. Wołali wówczas jak najgłośniej, że on jest tym prawdziwym, najlepszym, i że pójdą za nim w bój, by strzec jego osoby i jeśli trzeba, przeleją zań krew. Cóż innego czynią rycerze pod Bouvines? To, co zostało dodane w opisie bitwy w tekstach z połowy XIII wieku, nie jest ani ustępstwem autorów na rzecz feudalnych urazów, ani czczą dekoracją, ani parodią. Przeciwnie, jest to nader poważny, wykorzystujący najbardziej dramatyczne efekty wyraz oddania, okazany w godzinie największego zagrożenia królowi-kapłanowi, gotowemu złożyć siebie w ofierze na podobieństwo Jezusa i który na Jego wzór rozdzielił hostię, lecz zarazem królowi-rycerzowi, pierwszemu rycerzowi królestwa. Tak oto legenda o Bouvines wyniesiona została do rangi mitu jedności narodu i korony. Korony, którą wspierają, złączone ścisłą więzią dla dobra pokoju i na chwałę Boską, trzy stany społeczne. Kape-tyng mógł od dawna liczyć na poparcie ludzi modlitwy i ludu pracującego: był ich obrońcą. Trzeba było teraz, żeby z kolei ludzie wojny zapewnili go najuroczyściej, iż przyjdą mu z pomocą. Za panowania świętego króla, który przywraca sprawiedliwość w cieniu dębów i od-

wiedza przytułki trędowatych, Richer, anonimowy autor z Reims, a wkrótce i brat Tomasz umieszczają wielką scenę jedności na samym polu bitwy.

Spóźniony plon. Wydany został na krótko przed ową chwilą, w której wspomnienie o zwycięstwie miało się rozproszyć ostatecznie w wyobraźni piewców historii, zanim nie porwał go, pod piórem Jana des Pres z Outremeuse, wir wielkiej szalonej opery. Karuzel czterech synów Aymona. Magic-Circus obłądu.

## Echa bitwy

Z nadejściem XIV wieku nazwa Bouvines zacierała się w pamięci ludzkiej. Pochodzące z tego okresu zarysy historii Francji głoszą nadal chwałę króla Filipa. Lecz nie Augustem go zwa, ale Zdobywcą, dlatego że podbił Normandię i Andegawenię, które przedstawiały ogromną wartość: teraz to się liczy. Píše się również, że zwyciężył Ottona, nie wymieniając jednak nazwy Bouvines. Bowiem w otoczeniu Filipa VI i Jana Dobrego niechętnie wspomina się o bitwach. Teraz wygrywają je inni: królowie Anglii, najwięksi wrogowie królestwa. Cesarz uważany jest za poczciwego kuzyna króla Francji i mniejsza jest niż dawniej nienawiść do Teutonów. Ale największy wpływ na zatarcie pamięci o wydarzeniu wywarło zaćmienie sylwetki Filipa Augusta przez jego wnuka, świętego Ludwika, który uznany został za wielkość rodu. Nie stało się tak z powodu wojennych sukcesów, lecz z powodu jego świętości i krążących o nim niezliczonych, budujących opowieści; stało się tak dlatego, że kochał on biedaków na wzór Franciszka z Asyżu, jak Chrystus, dlatego, że własnymi rękami karmił trędowatych, że pomagał w budowie opactwa w Royaumont, że nosił włosienicę pod koszulą. Za męczeństwo, za śmierć pod Tunisem, za zbawienie dla ludu całego. Tak jak pobici królowie, tak i całe chrześcijaństwo oczekiwało teraz od wybrańców Boga innych znaków niż wojenne zwycięstwa. Wykruszały się ślady Bouvines. Przez dłuższy czas pozostać miały prawie niewidoczne.

W XVII wieku pojawiają się one znowu, bo właśnie wtedy ulega zmianie sposób pisania historii, która odwołuje się teraz do starych kronik; rozpoczyna się długie, uczone poszukiwanie wszelkich śladów z przeszłości. W napisanej przez siebie i wydanej w czterech tomach w Paryżu w 1686 roku *Historii początków i rozwoju monarchii francuskiej wedle porządku czasu* Guillaume Marcel podaje tylko krótki opis bitwy. Pokazuje króla tak samo jak na licznych ilustracjach w dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych podręcznikach szkolnych, jak pełen odwagi, mimo że powalony na ziemię, znowu rzuca się na przeciwnika i zmusza go do ucieczki. Ale już Mezeray, w trzytomowej *Historii Francji od Faramonda po dzień dzisiejszy* wydanej w 1643 roku, poświęca wydarzeniu pełnych dziewięć stron. Opiera się na *Wielkich Kronikach Francji*, czyli na dziele Wilhelma Bretończyka, dodaje, nie wiadomo dlaczego, że Jan bez Ziemi zaproponował Miramolinowi z Afryki złożenie mu hołdu, zwiększa liczebność wojsk koalicji do stu pięćdziesięciu tysięcy. Ani słowem nie wspomina o niedzielnym rozejmie Bożym; w jego czasach zakaz ten popadł w całkowite zapomnienie i nikomu nie przyszłoby do głowy, aby zaprzestać w dzień Boży szlachetnej gry wojennej. Podoba mu się bardzo scena z koroną, którą zamieszcza w centrum opisu i upiększa dodatkowymi szczegółami. Król Francji „umieszcza na przenośnym ołtarzu, wzniesionym i widocznym dla całej armii, berło swoje i złotą koronę, i podnosząc głos, a także prawą rękę, mówi głosem donośnym: «Senirowie Francji i wy wszyscy, waleczni żołnierze, gotowi

narazić życie dla obrony tejże korony, jeśli zdaje się wam, że którykolwiek spośród was bardziej jest jej godny ode mnie, oddaję mu ją i rezygnuję z niej ocho-  
czo, byle tylko zamierzał on zachować ją nietkniętą i nie pozwolił, aby dostała się w ręce tych wyklętych.»  
Całe wojsko, głęboko wzruszone tymi szlachetnymi słowy, wykrzyknęło jak jeden mąż: «Niech żyje i kró-  
luje nam wiecznie Filip, niech żyje nam król August i do niego niech na zawsze przynależy korona; będzie-  
my o nią walczyć dla niego przeciwko wszystkim wro-  
gom i z narażeniem życia.»” Wtedy to August, „najwa-  
leczniejszy i najzapalczywszy z rycerzy świata”, rzuca się do walki jak lew. Wielmoże, mimo że nie zezwolił im na to, otoczyli go palisadą z własnych ciał, lecz on, „nie dając się zatrzymać niespokojnym o niego panom, prze naprzód jak fala, a niechby ktoś próbował go za-  
trzymać, i atakuje, i niszczy wszystko, co staje mu na drodze”. Dla kontrreformacji był więc król Filip czymś w rodzaju Rolanda Furioso. Ubiera go ona w rzymskie szaty i zwraca baczną uwagę na wyimaginowane ozna-  
ki przymierza pomiędzy monarchą a szlachtą. Dla niej Francuzi z królewskiego dworu walczą teraz w propor-  
cji jeden przeciwko stu, a „liczba zabitych przerażająco była wielka”, lecz nie mówi się nic o rozradowaniu lu-  
du. Dopiero Velly w 1770 roku, a Anquetil w roku 1839 powrócili do bezpośrednich śladów z epoki, które zostały uratowane, skompletowane i utrwalone.

\* \* \*



Wspomnienie nabrało naprawdę życia za monarchii lipcowej. Przyczyniło się do tego romantyczne rozmiłowanie w średniowieczu. Lecz również obfitość argumentów, których bitwa mogła dostarczyć na korzyść ideologii monarchii burżuazyjnej. Weźmy, na przykład, takiego Guizota, który w swoim *Wykładzie z historii współczesnej*, powtórnie wydanym w roku 1840, ukazuje Filipa Augusta jako pierwszego spośród francuskich władców, który nadał instytucji monarchii ową „właściwość inteligentnego i czynnego czuwania nad polepszeniem stanu społeczeństwa”. Dlatego też „monarchia nabierała charakteru narodowego” i wzbudzała „w umysłach ludu” entuzjazm dla „postępu, który dzięki niej dokonywał się w społeczeństwie”. Tu następował, oczywiście, hymn pochwalny na cześć zwycięzców spod Bouvines; spójrzmy tylko, jak wielką popularnością może się cieszyć wśród uczciwego, gorliwie dążącego do wzbogacenia się ludu król-ojciec, broniący interesów mieszczaństwa. Kiedy ten sam Guizot trzydzieści pięć lat później opowiada historię Francji wnukom, wyjaśnia im przede wszystkim rolę milicji z komun, będącej jakby prefiguracją gwardii narodowej; zwycięstwo jest według niego „dziełem króla i ludu”, a odniesione zostało dzięki pomyślnemu dla wszystkich „połączeniu klas”, które dnia tego, „razem i niezależnie od feudalnych zależności”, doprowadziło do powstania narodu i monarchii francuskiej.

Nic dziwnego, że zupełnie inaczej patrzył na te same źródła Michelet. Relacja Wilhelma Bretończyka jest według niego „zniekształcona pochlebstwem”.

I w sumie rzecz biorąc, „bitwa pod Bouvines, mimo że taka sławna i o narodowym wymiarze, nie wydaje się mieć zbyt wielkiego znaczenia”. Michelet nie lubi bitwy pod Bouvines. I rzeczywiście, jaki odniosła ona skutek, jeśli nie umocnienie znienawidzonego przez niego przymierza pomiędzy tronem a ołtarzem? Filip był marionetką, narzędziem obskurantyzmu w rękach księży, posłuszny krwawemu hipokrycie, jakim był papież, żądający zagłady całego ludu katarów, których wiara symbolizuje nadzieje wolności. Otton przedstawiony jest jako znacznie mniej bezwolny: kpił sobie z rzucanych na niego klątw, a król Jan potrafił utrzymać w ryzach duchowieństwo, nie pozwalając mu sobie szkodzić. Przedstawiciele prawdziwej, głębokiej historii, ci którzy reprezentują nadchodzące Oświecenie, nie znajdują się wówczas po stronie francuskich rycerzy, zbyt prymitywnych. Bouvines to zwycięstwo bigoterii i feudalnego ucisku. A miano bohaterów Michelet przyznaje wiarusom, ostatniemu czworobokowi gwardii, najemnym żołnierzom wywodzącym się z ludu i porządnie wykonującym swoje rzemiosło: „chwała odwagi, lecz nie zwycięstwa, przypadła w udziale brabanckim rozbójnikom; ci starzy wojacy w liczbie pięciuset nie chcieli poddać się Francuzom i woleli zginąć”. Rycerze tymczasem pozwalali brać się do niewoli. Opis bitwy zajmuje niecałą stronę.

Najbardziej obiektywną wizję tego tak nagle wskrzeszonego w pamięci ludzkiej wydarzenia wydaje się mieć Augustin Thierry. Oczywiście, on również głosi chwałę nierozzerwalnych więzów, jakie aż do Re-

wolucji łączą władzę królewską z trzecim stanem. Oczekuje od historii, aby wyszukiwała „korzenie naszych zainteresowań, pasji i poruszających nas opinii” oraz „zamierzchły ślad tych przemożnych wzruszeń, wciągających nas w kolejne wybory polityczne, które uwznioślają lub gubią nasze dusze”. Chciałby więc udowodnić, że „klasa średnia i klasy niższe istnieją nie od wczoraj”. „Wystarczy spojrzeć na jakikolwiek okres, w którym zaistniała wojna, lecz nie domowa, ale inwazja nieprzyjacielska z zewnątrz, a od razu można zauważyć, że ten ostatni stan narodu nie pozostawał w tyle w dziedzinie poświęcenia i zapału.” Na przykład pod Bouvines: „Stu pięćdziesięciu konnych pachołków z doliny Soissons, wszyscy nieszlachetnego pochodzenia, rzuciło się do bitwy, a mieszczanie z komun stanęli do walki w pierwszych szeregach.” Pośród śladów spod Bouvines Augustin Thierry ukazuje przede wszystkim to, co spowoduje nagłe i ostateczne wskrzeszenie fragmentów zapomnianej przeszłości, wskrzeszenie, któremu towarzyszyła gorączka nacjonalizmu, fanfary poborów do wojska, łopotanie flag na wietrze na pociechę wszystkim nieszczęśnikom, z których bardzo chciano uczynić bohaterów. Poza wszystkim, on właśnie, jako pierwszy, nakłania do metodycznej krytyki przekazów i do odróżnienia prawdy od legendy, aby nie karmić potem patriotyzmu młodych rekrutów wyłącznie kłamliwą strawą. „Trzeba, aby reforma dosięgła owych katechizmów, z których pobieramy pierwsze nauki. Większość tego typu dzieł, aktualnie dostępnych publiczności, zawiera jednocześnie najściślejszą prawdę

chronologiczną i najogromniejszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, fałsz historyczny. Możemy w nich odnaleźć wszystkie błędy, zawarte w wielu opasłych tomach, wyrażone na dodatek w sposób skrótowy i autorytatywny i, aby fałsz ów mógł docierać do czytelnika poprzez wszystkie jego zmysły, jakże często liczne ryciny ubierają bohaterów historii w najdziwaczniejsze szaty.” Tak dzieje się również z „Filipem Augustem, który, przyodziany w stalową zbroję na szesnastowieczną modłę, składa w dniu bitwy pod Bouvines koronę na ołtarzu. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie podkreślić tego ostatniego szczegółu, którego popularność u nas jest swego rodzaju historycznym skandalem. Król, ofiarowujący w obecności tłumów koronę i berło temu, kto bardziej od niego jest ich godzien, przedstawia sobą bez wątpienia niezwykle budujący widok, lecz naiwnością byłoby sądzić, że sceny takie mogły mieć miejsce gdzie indziej niż w teatrze. A jak inteligentnie wybrana została chwila, w której następuje owa prezentacja królewskich insygniów na wolnym powietrzu; chwila, w której wojsko francuskie zostaje zaatakowane z nienacka! Jakże to pasuje do charakteru króla Filipa, tak zazwyczaj przezornego, trzeźwego i zręcznego dyplomaty! Pierwszą wzmiankę o tej dziwacznej anegdocie znajdujemy co prawda we współczesnej wydaniu kronice, lecz jest to kronika napisana przez mnicha mieszkającego poza Francją, gdzieś w głębi Wogezów, nie mającego żadnych bezpośrednich kontaktów z wielkimi ludźmi tamtych czasów. Był to człowiek o dużej wyobraźni, skłonny dawać wiarę wszystkim

możliwym cudownościom, słuchać niezwykłych opowieści i bezkrytycznie je spisywać.”

Już *Mała historia Francji do użytku szkół powszechnych*, napisana w 1848 roku przez F. Ansarta, profesora Królewskiego Gimnazjum Św. Ludwika, zawierała krytykę Mézeraya i podawała w wątpliwość opowieść o wystawionej na ołtarzu koronie. Lecz gdy Augustin Thierry w napisanych przez siebie *Listach o historii Francji* nawoływał do walki z anachronizmem i do poprawienia przeinaczonej prawdy, wspomnienie owo od pewnego już czasu ożyło i znów było eksploatowane. Trzeba było wtedy czcić bitwę pod Bouvines, trzeba było brać z niej przykład.

W roku 1833 Société d'Émulation z Cambrai przyznało złoty medal i dwieście franków panu M. Lebon, kawalerowi orderu Świętego Ludwika i Legii Honorowej, za najlepiej napisany fragment historii, dotyczącej departamentów północnej Francji. Lebon spróbował wydobyć z opowieści o bitwie wszystkie zawarte w niej informacje o sztuce walki z tamtych lat, przy okazji zwracał honor mieszkańcom miasta Lille: jako poddani Ferranda nie dopuścili się oni byli zdrady, przyjmując u siebie rodaków, Flamandów, a uraza zaślepiała Filipa Augusta, gdy pustoszył ich miasto. Ale studium owo ukazuje przede wszystkim, i na tym polega jego główna zaleta, jakie ślady po wydarzeniu były jeszcze wtedy żywe w umysłach ludzi mieszkających w tamtych okolicach. Prawdę mówiąc, było tych śladów bardzo niewiele: niejasne wspomnienia masakry i poległych bohaterów, opierające się na „równoległe ułożonych i usy-

panych w kształcie grobów pagórkach wilgotnej ziemi”, na kilku szczątkach „starego żelastwa”, wydobytych na światło dzienne podczas orki. Ot, takie bliżej nie określone strzępy pamięci, jakie krążą zawsze wokół każdego pola minionej bitwy.

W roku 1845, podczas obrad kongresu archeologicznego pod przewodnictwem M. de Caumonta, powstała myśl, aby na miejscu bitwy postawić pomnik. Ale na wzniesionym wkrótce obelisku, mimo że „serce naszego flamandzkiego ludu należy do Francji”, wyryto wówczas tylko datę: 1214. Nie należało zadrażniać bardzo wrażliwej miłości własnej Flamandów. Wciąż bowiem uważano ich za najbardziej pokonanych w tej rozgrywce. Po roku 1870 sytuacja uległa zmianie: znowu cesarz niemiecki stał się jedynym przeciwnikiem króla Filipa. Zwłaszcza klęska Francuzów spowodowała, że odżyła nagle pamięć o Bouvines. W roku 1879 zdecydowano, że sam obelisk nie wystarczy: szereg witraży miał głosić w kaplicy buwińskiej chwałę obrońców ojczyzny. H. M. L. Delpech, uczony znany z licznych prac dotyczących historii wojskowości, otrzymał za zadanie służyć radą artystom. Przedziwna, zredagowana przez niego nota, gromi odwiecznego wroga, Niemca. „Otton był hipokrytą, brutalem i egoistą”; pod postacią króla Francji, który zarządził właśnie ofensywę, umieścić należy „niemieckich rycerzy, którzy zatrzymują się, tracą kontenans, ścieśniają szeregi i defilują przed królem marszem flankowym, w postawie wyrażającej hamowaną strachem nienawiść; w scenach centralnych powinna się znaleźć złożona na ołta-

rze korona Francji, oddana pod bezpośrednią opiekę Kościoła, i cały naród zebrany wokół błogosławiącej mu ręki suwerena; a jeśli wstrętnym byłoby malarzom przedstawienie biskupa, który zabija, to można obejść tę przeszkodę, malując chwilę, w której biskup Beauvais, już po zabiciu hrabiego Salisbury, oddaje jego ciało Janowi z Nivelles”, a na końcu, „w niczym nie uchylając historycznemu prawdopodobieństwu”, czyż nie należałoby wprowadzić na scenę, na samym końcu walki, „czegoś w rodzaju przeglądu honorowego”, jakby zwycięskiego przemarszu?

Dziewięć lat później inny komitet, któremu przewodniczył generał de Galliffet, podejmuje się uświetnić jeszcze wspanialej pamięć bitwy, „zapraszając wszystkich artystów do przedstawienia jej w najpiękniejszych fragmentach, a szeroką publiczność – do wzięcia udziału w sfinansowaniu tego kultu narodowego wspomnienia. E. Lavisse zainwestował w powyższe przedsięwzięcie, co prawda nie finansowo, lecz tylko piórem; czuł się „zaszczycony, biorąc udział w dziele upamiętnienia takiego dnia”, uradowany, że „trafia mu się okazja rzucenia wiązki światła na to wielkie wydarzenie, jakże różne od precyzji, która towarzyszy wydarzeniom współczesnym, i tym samym otoczenia go nimbem poezji i blaskiem jutrzeńki”, jak pisze w wielkim artykule dla gazety „Journal des Débats” w grudniu 1888 roku. Cała sprawa pozostaje, oczywiście, w związku z „rozdanym przez Anglików złotem (sic!)”. Ale artykuł nie pozostawia żadnej wątpliwości: prawdziwy wróg jest za Renem. „Dwadzieścia dziewięć lat temu doznałem

wielkiej, narodowej radości, takiej, jakiej doznaje lud, szczęśliwy, że zwyciężył i że zwycięstwem swoim wyzwolił inny lud; później, osiemnaście lat temu, doznałem wielkiej narodowej żałoby.” To właśnie uczucie przepełnia autora. I zmusza do wyznania, że były też i rzeczy dobre „w polityce naszych królów, która zjednoczyła naród w posłuszeństwie i kulcie dla wielkości Francji”, lecz tu szybko wprowadza poprawkę – czytelnicy należą do różnych orientacji politycznych – i składa hołd „Rewolucji, która każdego z nas uczyniła współwłaścicielem ojczyzny”.

Wszystkim owym współwłaścicielom, gdy byli jeszcze mali, Republika udzielała od niedawna, obowiązkowo i bezpłatnie, lekcji historii Francji, aby poznali dobrze cenę nierozzerwalnego dziedzictwa, a także dla pokrzepienia serc. „Ojczyźnie naszej wielce dzisiaj potrzebna oddana służba wszystkich jej dzieci. Nauczanie historii narodu przyczyni się bardziej niż jakiegokolwiek inne nauczanie do pełnego uświadomienia zarówno błędów z przeszłości, jak i zadań na przyszłość. Oby tylko mogła niniejsza książeczka udowodnić braciom naszym nieszczęsnym z Alzacji i Lotaryngii, że ani na chwilę nie zapomnieliśmy o nich, i przypomnieć wszystkim, że nastąpiła wielkiej wagi godzina, że odrodzenie narodu trzeba zawsze zaczynać od edukacji jego dzieci i że tylko za tę cenę możemy uratować Francję.” W tym i podobnych podręcznikach szkolnych szczególny nacisk położony jest na fakt, że pod Bouvines zwyciężony został ustrój feudalny, który, o zgrozo, spowodował zaturę poczucia przynależności narodo-



wej: „Niezliczona ilość posiadłości senioralnych spowodowała zanik pojęcia ojczyzny. Lecz pojęcie owo nie całkiem zginęło i zawrzała krew Francuzów, gdy rozeszła się wieść o zbliżaniu się armii złożonej prawie wyłącznie z Niemców.” A któż „spowodował upadek ducha w szeregach nieprzyjaciela”, któż przeważył szalę zwycięstwa? Milicje z komun. Niech uwierzą w to ubodzy chłopci, a oni również odniosą zwycięstwo, niech tylko wykażą się, oprócz takich cech, jak posłuszeństwo wobec panów, grzeczność, szacunek i uczciwość, również odwagą, tą samą, która cechowała ich przodków, uwolnią wówczas Alzację i Lotaryngię. Bracia ze szkół chrześcijańskich przyłączają się do akcji, lecz podkreślają, że to właśnie monarchia utworzyła komuny, które darzyły ją sympatią. W każdym razie Bouvines stanowi drugi, zaraz po Alzacji, przejaw patriotyzmu Francuzów. „Pierwsze zwycięstwo całego narodu” – głosi *Podręcznik* napisany pod kierunkiem E. Lavisse'a (1894) – „wszystkie klasy tworzące naród, zarówno rycerze, jak kler i milicje z komun wzięły udział w walce i po raz pierwszy cała Francja jak jeden mąż raduje się ze zwycięstwa.” Chodzi więc w tym wypadku rzeczywiście o jedność narodową. W centrum tej jedności znajduje się lud, uznany nagle za najważniejszy. „Zwycięstwo pod Bouvines zawdzięczamy całkowicie odwadze dzielnych mieszczan z komun” – stwierdza bez ogródek w roku 1901 *Podręcznik historii na użytek nauczania powszechnego*, autorstwa D. Blancheta i J. Periarda.

Z początkiem dwudziestego wieku ton wypowiedzi staje się bardziej zapalczywy: Jest to nasze pierwsze zwycięstwo nad Niemcami” – oświadcza chłodno C. Calvet, autor *Podręcznika* z 1903 roku; roku, w którym przychylnie nastawiony Leon XIII pozwala na przeniesienie do kościoła w Bouvines relikwii świętego Fulgencjusza i świętej Saturniny, wspaniałomyślnie ofiarowanych przez biskupa z Anagni; od tej chwili nic nie stoi na przeszkodzie, aby zaliczyć Bouvines, jak zażąda tego cztery lata później kanonik Salembier, do miejsc „patriotycznego kultu i pielgrzymek, a jednocześnie adoracji, dziękczynienia i modlitwy do Boga bitew”. Pielgrzymkę taką odbędzie w roku 1905, przyodziany w skórzane spodnie, kapitan H. de Malleray. Wracając z przyjemnej i bogobojnej wycieczki do miejsc, w których odbyły się w dawnych czasach rozliczne jatki, przejeżdża on przez Bouvines, gdzie entuzjazm jego sięga zenitu: „Czysta to rozkosz dla żołnierza ujrzeć, jak rodzi się, wzrasta i rośnie na polu bitwy pojęcie narodu (...), pojęcie przesiąknięte do szpiku kości nienawiścią do obcego panowania, energicznym pragnieniem obrony rodzinnej ziemi (...). Francjo najdroższa, drogi nasz kraju, z pewnością przeżyjesz jeszcze niejedną ciężką chwilę. Zbyt piękna jesteś, aby cię miano nie pożądać, zbyt bogata, byś nie wzbudzała zaawiści.” Zbyt skąpa zarazem, aby w kościele w Bouvines znalazły się wreszcie wszystkie witraże: „Z powodu braku funduszy prace nie posuwają się naprzód od

wielu już lat.” Trzeba by podjąć je od nowa. Dlaczegoż by więc nie poświęcić tej narodowej pamiątki „chwale nieznanych i nieustraszonych bojowników, dla których już dawno temu Michelet żądał choć słowa, choć łzy, choć wspomnienia”? Nasz kapitan, czytelnik Micheleta, kocha żołnierzy: „Czyż nie można by wznieść we Francji pomnika ekspiacyjnego, wojskowego Panteonu, poświęconego pamięci nieznanych i zapomnianych bohaterów?”

W tym samym czasie do akcji przyłącza się poezja, i to nie byle jaka. W roku 1879 wielebny ojciec Longchamp z Towarzystwa Jezusowego komponuje na cześć Bouvines, na cześć Francji, na cześć „świętego Kościoła, świętej Ojczyzny” i „pola chwały” obłudną i przepyszną trylogię z chórem, w której wszystko staje się szlachetne i „nie masz szkaradzieństw”. A. Fraisse, który podejmuje ten sam motyw w roku 1911, opisuje Filipa Augusta jako dobrego króla, który na wpeł prze- rąbał feudalizm i tysiące chłopów wyzwolił z pańszczyzny. Oczywiście Bouvines daleko było do rozgłosu, jakim cieszyła się wówczas Joanna d'Arc. Być może właśnie dlatego, że pospólstwo i uzbrojony naród obcuja jednak na buwińskim polu zbyt blisko z ludźmi Kościoła, ze szlachtą i z samym królem. Nie bardzo wypada wychwalać tylko pierwszych, a całkowicie pominąć drugich. Z Dziewicą Orleańską sprawa jest znacznie prostsza. Jako dziecko ludu, na dodek rodem z Lotaryngii, może ona służyć za wzniosły temat zarówno takiemu pisarzowi jak Péguy, jak i takiemu jak Déroulède. Jedno tylko nie pasuje: wróg,

którego Joanna wygnała z Francji, to Anglicy. Lecz teraz nadeszły czasy Ententy. W tym kontekście Bouvines prezentuje się dużo lepiej. Nie zawiera żadnej dwuznaczności: wrogiem są Niemcy, zwyciężeni i uciekający w popłochu, niczym zające.

A właśnie zbliża się siedemsetna rocznica wydarzenia. Niemcy w roku 1913 uczcili z rozmachem rocznicę bitwy pod Lipskiem, wzniesli pomnik na jej cześć. Z pewnością Anglia nie omieszka uczynić tego samego z okazji rocznicy Waterloo. Na co więc czeka Francja? Tworzy się nowy komitet, który z początkiem czerwca 1914 roku organizuje wielką uroczystość w Saint-Denis: przy grobach monarchów Francji zatknięty zostaje królewski proporzec. Powstaje projekt wzniesienia na polu bitwy monumentu, który byłby mniej ostrożny niż istniejący już obelisk i miałby jaśniejszą wymowę. Przedstawiać ma on „średniowieczną fortecę, nad którą góruje kolosalna postać Filipa Augusta, dosiadającego bojowego rumaka, jako żywe wcielenie ojczyzny”. Pomnik jednego z królów, którzy stworzyli Francję – i komitet rzuca natychmiast hasło uroczystego zgromadzenia, które ma się odbyć w samym Bouvines, położonym nie opodal Sedanu. Rząd Republiki waha się, lecz w końcu wyraża zgodę, pod jednym co prawda warunkiem: z uroczystości wykluczeni będą księża. 27 czerwca artykuł wstępny w gazecie „L’Echo de Paris” porównuje bitwę pod Bouvines z bitwą pod Lipskiem: „Lipsk dał początek sztucznej jedności niemieckiej, krainy południowe nie mogą się tam pogodzić z północnymi. Bouvines zaś zapewniło nierozzerwalną jed-

ność francuską, która od roku 1214 do 1914 trwa. W pierwszej z bitew zwycięstwo odniosły trzy nacje zjednoczone przeciwko jednej; w drugiej zaś – jedna przeciwko trzem. Które ze zwycięstw bardziej jest chwalebne? (...) Gdy wzniesiemy już pomnik na przesławnej nizinie, świat cały przyłączy się do naszej sprawy, albowiem w tym właśnie miejscu, tak jak pod Tolbiac i Poitiers, nie pojedynczy kraj, lecz cała cywilizacja odniosła zwycięstwo.” Następnego dnia, w niedzielę, specjalne pociągi odjeżdżają w kierunku Bouvines. Przy moście wzniesiono trybunę, przed którą defiluje wojsko. Na samej zaś trybunie zasiadają potomkowie wojowników spod Bouvines; jest nawet jakiś przedstawiciel rodu de Montigny. Przemówienia, kantata, bankiet, uroczysta defilada z pochodniami, pod sztandarem zdobnym w kwiaty lilii, sztuczne ognie. Dla gazety „L’Action Française” nie ulega wątpliwości, że „od rana do nocy czczono tam pamięć króla Francji”. Wznoszono okrzyki: „Niech żyje Filip! Niech żyje król!” Czyżby na tym odwetowym jarmarku panowała całkowita zgodność poglądów? Niezupełnie. „Przybyło również kilkuset socjalistów, którzy bez sensu wygwizdali w piątek wieczorem w Lille wojskowe obchody zorganizowane na pamiątkę bitwy pod Bouvines.” „L’Echo de Paris” z 29 czerwca ubolewa nad tym faktem i usiłuje otworzyć oczy uczestnikom wrzawy: „Niestety! Nie przyjdzie do głowy tym prostaczkom, że bitwa owa, to tryumf komun nad ustrojem feudalnym.” W odpowiedzi „przeciwnikom uroczystości buwińskich” – a było ich wielu – „Le Journal” z dnia 30

czewca sięga po argument z arsenału kultury: „Z tego właśnie narodowego i wyzwolenczego zwycięstwa sprzed siedmiuset laty narodził się wspaniały rozwój średniowiecznej kultury francuskiej, na której wychowała się cała współczesna Europa.”

Ten motyw dominuje w przemówieniu wygłoszonym z wyżyn trybuny w Bouvines przez dożywotniego sekretarza Akademii Francuskiej, E. Lamy'ego. Mówił on o „prawach ludu i o przyszłości cywilizacji”, cywilizacji, dla rozwoju której „społeczeństwo feudalne było przeszkodą”. Ówczesna Francja wspierała biskupów w ich wysiłkach, a tymczasem w Niemczech „mało kogo wzruszało, że księża nie dotrzymują ślubów czystości”, a kraj ten „usiłował przywrócić pogański porządek społeczeństw, w których religia nie jest sędzią, lecz narzędziem w rękach władzy”. Ale wojsko Filipa Augusta miało zniszczyć ten feudalny i teutoński opór. Po stronie wroga stoją milczący, przyczajeni barbarzyńcy. „I tę ciszę gotującej się do skoku dzikiej bestii przerywa tylko straszliwe ślubowanie Ottona, Ferranda i Reginalda, którzy przysięgają, że zabiją Filipa, oraz okrzyk, będący wyrazem czystej zmysłowości (w dziedzinie pruderii dożywotni sekretarz może śmiało rywalizować z Wilhelmem Bretończykiem), owo sławetne «myślmy o naszych ślicznotkach», rzucone przez któregoś z Flamandów.” Tylko Brabantczycy „ratują germański honor”. Zwycięstwo jawi się jako tryumf inteligencji nad ilością, tryumf zwinnej i ruchliwej jazdy nad ciężką piechotą. Jawi się ono również jako cud. A więc, bracia, zachowajmy ufność. „Niejeden raz naszej nacji

udzielona została tajemnicza pomoc: w godzinach największej próby podnosiły ją z upadku czynniki, które same w sobie nigdy nie mogłyby zapewnić ratunku.” „Dla narodu naszego, jak i dla każdego stworzenia, czyż nie ma większej chwały jak tymczasowa służba [Lamy już sam nie wie, jakich użyć wykrętów, aby nie wypowiedzieć słowa Bóg] na rzecz niematerialnej mądrości?” Wyznawcom monarchii, którzy przygotowali całą uroczystość, bardzo były nie w smak te porozumiewawcze spojrzenia, rzucane w stronę duchowieństwa i demokracji. Panu E. Lamy, jako „jednej z owych trzystu sześćdziesięciu trzech osób, których zwycięstwo, zaraz po 16 maja, *Bismarcko juvente*, ostatecznie uszczęśliwiło nas owym cudownym ustrojem”, natarto więc z hukiem uszu w gazecie „L'Action Française”; najpierw uczynił to hrabia de Lur-Saluces, a potem Charles Maurras, kolejno 8 i 12 lipca.

Tego samego dnia duchowieństwo również zorganizowało w Bouvines uroczystość we własnym gronie. Głos oddano monsignorowi Touchet, biskupowi Orleanu, ostrożnemu i co najmniej tak przebiegłemu jak Filip August. Czy wypadało mu, jako duchownemu, głosić chwałę bitwy? Bitwy nie, ale „surowych i wielkich wartości, które niesie ze sobą wojna (...) i jeszcze czegoś, co udaje się czasem uzyskać (...): niepodległości ziemi ojczystej, zagrożonej lub pogwałconej przez nieznośnego okupanta z zewnątrz. W takim widziane światło, wydarzenia, które miały miejsce w Bouvines, nie są wyłącznie fragmentem jakiejś epopei. Są podniosłym, obywatelskim świętem. Przyklasnęliby mu Hen-

ryk IV, Bonaparte, Górale z 1793 roku. I my także klaszczemy. Biskupi i obywatele, obywatele i biskupi w jednej osobie, czyżbym się mylił?” „Otton był ubogim rozbójnikiem. Skusiła go napaść na bogatego sąsiada. Od czasów Tolbiac, Niemcy myślą tylko o jednym: jak nas ograbić, aby odbudować swój własny kraj. Prawdą jest, że za każdym razem odpłacaliśmy im pięknym za nadobne, raz wygrywając, raz przegrywając. Niech dobry Bóg sprawi, aby skończyła się epoka tych śmiercionośnych walk! Lecz gdyby znowu przyszło stanąć do walki, racz Panie pamiętać, że nasza teraz kolej na zwycięstwo, że my musimy pobić, a nie zostać pobici.” Niechaj Francja żyje „dla dobra ludzkości, a nawet, mówiąc po prostu: dla Boga. Bóg też jest tego zdania. Ileż to razy uczynił cud, aby nie pozwolić nam zginąć.” Lecz Bóg żąda przede wszystkim zjednoczenia. Chodzi, oczywiście, o zjednoczenie klas, dokonane po ojcowsku i połączone z polepszeniem nieco doli najbardziej upośledzonych. „Czy wiecie, czego jeszcze brakuje powyższej scenie dla pełnego wyrazu? Jednego: Filip August powinien był wezwać któregoś z chłopów lub mieszczan, którzy udowodnili właśnie, że mają krew tak samo czerwoną jak inne stany, i pasować go na rycerza.” Chodzi o święte zjednoczenie. Zjednoczenie w wierze katolickiej. I prałat kończy wyznaniem „niewzruszonej wiary w ostateczne zwycięstwo Kościoła na jakimś innym polu buwińskim”. „L'Action Française” wołała nie wspominać na swych łamach o tej jakże pokrętnej homilii.



Wiemy, jakie wypadki miały miejsce trzy tygodnie później. Jatki Wielkiej Wojny zmiotły do reszty to, co zostało jeszcze z Bouvines. O zwycięstwie w pisanych dla uczniów szkół powszechnych podręcznikach historii Francji zapada głucha cisza. No, może nie całkiem głucha, ale prawie: w podręczniku dwóch autorów, Fauberta i Huleuxa, zgodnym z programem z 1923 roku, tylko trzy linijki poświęcone zostały bitwie. I nie o samej bitwie jest mowa, lecz o ludowym święcie, o czymś w rodzaju feudalnej wersji 11 listopada. To samo w licealnym podręczniku historii Francji L. Brossette, której motto głosi zresztą: „Lud zamiast arystokracji. Cywilizacja zamiast bitew.” A jednak w tym samym czasie, gdy za Renem zbierały się czarne chmury, a we Francji weterani z ostatniej wojny marzyli o nowym porządku, A. Hadengue poświęca „twórczemu zwycięstwu” książkę uczciwą i płonąca tym samym entuzjazmem, który niegdyś rozplómił lirykę kapitana de Malleray. „Śmiertelne niebezpieczeństwo wykrzeszło z naszego ludu uczucie całkiem nowe, które nazwać można jedynym tylko słowem: patriotyzm.” Wzrusza Hadenguea ciągle nie dokończona seria witraży w kościele buwińskim. Przejmują go do głębi słowa starego wieśniaka, który oświadcza: „Przyszli już wówczas do nas Prusacy. No tośmy się zmobilizowali. Panowie i maluczcy, zgodnie, wszyscy razem.” Tak jak w okopach. Wstęp do książki wychodzi spod pióra generała Weyganda. Jest niedwuznaczny. Jakże można wycią-

gnąć wnioski z powyższej historii? Takie, „że u podstaw zbawienia Francji leży zdecydowany charakter jej wodza”. Każdy może łatwo odgadnąć, czyj cień kryje się za tym zdaniem. „Bogate w siedemset-letnią przeszłość buwińskie tradycje przeżywają drugą młodość w dzisiejszej Francji, która dopiero co odbyła bezpardonową walkę o zachowanie swego istnienia i cieszy się drogo opłaconym zwycięstwem, którego rezultaty, niepodważalne, ale w pełni nie wykorzystane, sieją zwątpienie w umysłach zwycięzców! W chwili gdy aktualny wódz Niemiec pisze: «Francja jest wrogiem, wrogiem śmiertelnym od XIII wieku. Trzeba tę sprawę w końcu wyjaśnić i załatwić z nią porachunki.», I rzeczywiście, Bóg, jakby na prośbę biskupa Touchet, zamierza przestrzegać zasady przemienności. Tym razem kolej na Niemców.

Po roku 1945 Bouvines popada w całkowite zapomnienie. Dziś już w ogóle nie mówi się o tej bitwie w szkołach. Nauczyciele mają przykazane, aby prosto od wypraw krzyżowych, panów feudalnych, zamków i katedr przechodzili do dobrego króla, świętego Ludwika, jedynej kapetyńskiej postaci upoważnionej do przebywania w dziecięcych główkach. W roku 1961 ustalono Kalendarz najważniejszych dat, który zawiera ich dwadzieścia. Tylko dwie daty dotyczą bitew: Crecy i Marignano. Na próżno by szukać w nim Bouvines. W książkach przeznaczonych dla liceów jedna strona poświęcona jest jednak bitwie, np. w serii Portes-Reynaud, zgodnej z programem z 1970 roku. Zawiera ona między innymi miniaturę (z XV w.) i pytanie: cze-

mu lud się raduje? Cytat z Wilhelma Bretończyka ma pomóc uczniowi w znalezieniu odpowiedzi; powinien on również przestudiować „rozlokowanie wojsk” i w tym celu ma do dyspozycji plan bitwy – lecz nie widać na niej Niemców: przeciwnikiem króla Francji jest Reginald z Boulogne. Seria Bordas jest bardziej wspaniałomyślna: na 192 strony dwie poświęcone są wydarzeniu. Ten sam opis radości ludu, opis przypisywany Rigordowi; lecz pokonanym, według podanego streszczenia, nie jest cesarz niemiecki, jest nią Anglia. W *Encyklopaedia Universalis* Filipowi Pięknemu poświęcone jest oddzielne hasło, Filipowi Augustowi – nie. A kiedy sam Jacques Le Goff przedstawia nam historię średniowiecza od 1060 do 1330 roku w około dwu tysiącach wierszy, bitwie pod Bouvines poświęca ich trzy, przypominając, że Otton IV „pokonany tam został przez króla Francji, Filipa Augusta”, który zebrał w drodze powrotnej „daninę hołdów od zgromadzonego tłumu”. I to jest wszystko.

\* \* \*

Jest rzeczą zrozumiałą, że ostatnie ślady po tym wydarzeniu rozplywają się na naszych oczach. Nie ma miejsca na opowieść o Bouvines w nauczaniu przeznaczonym dla dzieci połączonej Europy, nauczaniu, któremu przyświeca idea historii wolnej – po długich perypetiach – od zbędnych obciążeń przyczynkowością. Nasza epoka próbuje wymazać z pamięci wspomnienie o bitwach. I słusznie. Jakże mogłaby pamiętać o tym, że były czasy, gdy przywódcy państw stawali do walki

wręcz, zdając swą moc w ręce Boga! Za naszych czasów żadna władza nie uzależnia przecież swego istnienia od wyniku walki zbrojnej, ani nie szuka swojej praworządności w zwycięstwie. Dzieje się raczej odwrotnie: to rozgłos, niezależnie od tego, czy zasłużony, czy nie, jakichś wątpliwych sukcesów służy mniejszej lub większej rangi kapitanom za pretekst do sięgnięcia po władzę. A gdy już ją mają w rękach, unikają ryzyka jak ognia. Wojna, którą toczą, odbywa się w ciemnościach, nie zna ona otwartej walki, używa środków bardziej podstępnych i bardziej skutecznych niż te z dawnych lat; środków, które dążą do zniszczenia. Mimo to, zarówno generałowie, jak i pułkownicy pragną bliskich związków z *sacrum*. Nawet za naszych czasów miecze chylą się nieprzerwanym ciągiem w stronę kropideł. Wodzowie lubią zapach kadzidła. Często można ich zobaczyć w katedrach, jak niecierpliwie wypatrują jakiegoś znaku wybrania ich przez Boga. Chcieliby móc uzdrawiać owrzodzonych. Lubią snuć opowieści o minionych zwycięstwach, być może chcąc w ten sposób ulżyć nieco obarczonemu pozłacaną tyranią sumieniu, które jednak od czasu do czasu daje im się we znaki. „Bóg bitew istnieje z pewnością. Przed wolą i pragnieniami ludzi jest zawsze wola Boża, Bóg rozdziela klęski i zwycięstwa. Nie ma On w zwyczaju opuszczać w potrzebie tych, którzy jakiejś słusznej sprawie lub Jemu samemu wiernie służą. Jeżeli przyjrzymy się z takim właśnie teologicznym nastawieniem zwycięstwom wojskowym, tworzącym główne węzły na sznurze historii świata, nietrudno nam będzie dostrzec, że kiero-

wała nimi wola Boża. Jak niewiele dzieli zwycięstwo od klęski, jak zmienne są okoliczności, którymi rządzi przypadek, i najpomyślniej rozpoczęta bitwa łatwo może zostać przegrana z powodu siły wyższej; nikt nie może być pewnym, że wola Boża jest po jego stronie.” Słowa te napisał również generał: Francisco Franco. Napisał je w roku 1964. A 25 lipca 1971 roku, w dniu świętego Jakuba z Composteli, patrona Hiszpanii, klęcząc w otoczeniu członków swego gabinetu i około dwudziestu biskupów przed posągiem świętego, ponownie zabrał głos. Cóż takiego powiedział? „Przez cały czas trwania naszej krucjaty o wolność mieliśmy częste okazje stwierdzić, że najbardziej decydujące zwycięstwa odniesione zostały w dni przypadające na największe hiszpańskie święta. Tak było z bitwą pod Brunete, gdzie po długich dniach stania w miejscu zwycięstwo przypadło nam w udziale akurat w dniu naszego świętego patrona. I nic innego przypaść nie może w udziale temu, który walczy o wiarę, o Hiszpanię i o sprawiedliwość. Łatwiej prowadzić wojnę, mając Boga za sprzymierzeńca.”

\* \* \*

Bóg. Bóg całopalenia i defilad wojskowych. Bóg przywróconego porządku. Jak ten siny zarys konia, który snuł się pewnego wieczoru nad polem poległych pod Brunete, tak jak niegdyś snuł się pod Bouvines. Można go również zobaczyć nad Guerniką, nad Oświęcimiem, Hiroszimą i Hanoi, i nad każdym szpitalem w czas zamieszek. Ten Bóg nieprędko jeszcze zamierza rozstać

się z tym światem. A swoich wyznawców rozpoznaje od razu.

\* \* \*

W książce znajdują się także teksty źródłowe:

1. Relacja z Marchiennes (MGHS, XXVI, s. 390–391).

2. Anonim z Béthune (Historiens de la France, XXIV, s. 768–770).

3. Filipida (Oeuvres de Rigord et de Guillaume Le Breton, historien de Philippe Auguste, publiées pour la Société de l’Histoire de France par H.-François de la Borde, t.II, Philippide de Guillaume le Breton, Paris, 1885).

4. Roger z Wendower (Roger de Wendower Chronica, sive Flores Historiarum, wyd. H.O. Coxe, London 1841, t. III, s. 287–290).

5. Filip Mousket (MGHS, XXVI, s. 757–762).

6. Minstrel z Reims (MGHS, XXVI, s. 538–541).

7. Ugoda zawarta między Filipem Augustem a Janem Bez Ziemi (Recueil des Actes de Philippe Auguste, roi de France, t. III: Années du règne XXVIII à XXXI – 1<sup>er</sup> nov. 1206 – 30 oct. 1215, Paris 1956).

8. Układ między Filipem Augustem a hrabią Flandrii (Rerum Gallicorum et Francorum Scriptores, t. XVII, s. 105 – Recueil de Historiens des Gaules et de France, t. XVII).

9. Roczniki z Tiel (MGHS, XXIV, s. 25).

10. Kroniki Królestwa z Kolonii. Kontynuacja pierwsza. (MGHS, XXIV, s.18).

11. Krótka kronika w rymy ujęta (MGHS, XXVI, s. 61).
12. Rocznik z Osney (MGHS, XXVII, s. 489).
13. Kronika z Bury (Chronica Buriensis 1212–1303, wyd. Gransden, London 1964, s. 2).